

KATARINA435

*Tam, gdzie nie ma już nadziei,
ich miłość wskaże mu drogę*

KLATWA BURZ

MEREDITH WILD
& ANGEL PAYNE

PRZEKLEŃCI. TOM 3

hot level 



MEREDITH WILD
& ANGEL PAYNE

KLĄTWA BURZ

PRZEKŁĘCI. TOM 3

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



Angel,
dziękuję za wszystko.
– Meredith

** * **

Thomasowi.
Bo jesteś zapisany w moim wszechświecie.
– Angel

*Zbądź obawy; nikt nie jest dość silny,
Aby nam bruździł, gdy Bóg wolność daje.
Tu na mnie czekaj i pokarm posilny
Nadziei spożyj, i niech myśl się cuci,
Wiedząc, że twego bezpieczeństwa pilny.*

– Dante Alighieri, *Boska komedia*, *Piekło*, pieśń VIII
(tłum. Edward Porębowicz)

Kara

– PIĘKNY WIDOK, NIEPRAWDAŻ?

Hades szepcze te słowa stanowczo zbyt przesłodzonym tonem, a ja wbijam paznokcie głębiej w nagą skórę rąk. Uparcie unikając jego spojrzenia, obejmuję tępym wzrokiem rozciągającą się za oknem panoramę.

To coś więcej niż odrętwienie. Mam wrażenie, że jestem martwa. Czuję jedynie niekończący się lodowaty ból. Moje trzewia przeszywają ostrza rozpacz, sięgając samej duszy. Jeśli wciąż ją mam, teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej wiem, do kogo tak naprawdę należy: do diabła, który nieśpiesznie się do mnie zbliża, stukając zelówkami o krwistoczerwoną marmurową podłogę. Boga, którego głos odbija się uwodzicielskim echem od kamiennych ścian i gotyckich sklepień przepastnej sali.

Wzdrygam się, czując na ramieniu lekki jak mgła dotyk jego ciepłej, delikatnej dłoni.

– Och, Karo, najdroższa, ty marzniesz.

– Przeżyję.

Przecież nie zamrznę na śmierć, choć po stokroć wolałabym taki los od jego dotyku.

Pomimo to w szerokim kominku zniecka bucha ogień. Zaciskam zęby, ale błyskawicznie rozlewające się po wnętrzu ciepło zaczyna topić moją wściekłą determinację. Do tej pory trzymałam się jej kurczowo, wbrew nadziei odmierzając godzinę za godziną w tej niezmiennej otchłani.

Tu czas nie istnieje. Słońce nie wschodzi ani nie zachodzi. Jak okiem sięgnąć, jest tylko krajobraz bezdennej rozpacz. Pod ołowianym niebem rozciąga się w nieskończoność ponure bezkształtne miasto.

– Proszę... – Przyciska czule usta tam, gdzie przed chwilą spoczęła jego dłoń.

Gdy sztywnieję, zaciska ją na tyle mocno, bym poczuła jego pierścienie i paznokcie wrzynające się w moje rozgrzewające się ciało.

– No już, już. Nie utrudniaj. Nie mamy dużo czasu, nie marnujmy go.

Odwracam się i wbijam wzrok w czarną otchłań jego oczu.

– Co masz na myśli? Czas jest wszystkim, co mamy.

Rozluźnia uścisk i podchodzi do kominka. Bursztynowa poświata ognia ciemnieje. Płomienie wycierają z paleniska, jakby próbowały sięgnąć swego władcy.

– Niestety nie – mruży. – Mamy tylko parę tygodni. Potem przestaniesz być panią mojego domu.

Momentalnie zdaję sobie sprawę, o czym mówi. Tu czas może i nie istnieje, ale w Los Angeles pojawiły się już pierwsze oznaki nadciągającej jesieni.

– Persefona.

– Stęskniłem się za nią – odpowiada lekko łamiącym się głosem. – Po jej powrocie zamierzam się skupić wyłącznie na niej.

Czuję, jak w gardle rośnie mi gęsia kupa.

– A co się stanie... ze mną?

Wzrusza ramionami, a od jego drogiego szkarłatnego płaszcza odbija się światło.

– Pójdiesz tam, gdzie już dawno powinnaś była się znaleźć. Gdyby wspomnienia Maximusa o tobie tak silnie do mnie nie przemówiły, posłałbym cię tam bez zastanowienia.

Wpatruję się w kanały oplatające u podstawy zamek jego przerażającego królestwa. Na dole nic się nie zmieniło. Odległy lament zbołałych dusz – nieuchwytny, choć słyszalny skowyt potępieńców – przerywają jedynie głucho uderzenia łodzi o nabrzeże i pokrzykiwania ich wychudłych kapitanów we wszystkich językach świata.

Hades staje przy mnie i podąża za moim wzrokiem i wyżej.

– Naprawdę kocham ten widok – mówi lekko.

Nie chcę wdawać się z nim w dyskusję ani przebywać w jego towarzystwie nawet minuty dłużej, ale ciekawość bierze górę.

– Gdzie jesteśmy?

– W stolicy oczywiście. Każde królestwo ją ma.

– Dis – mówię.

Ponownie wzrusza ramionami.

– Giudeka. Dis. To miasto ma wiele nazw. Ja nazywam je domem. Na razie jest nim również dla ciebie.

Na razie...

– A reszta?

– Och, moje królestwo jest o wiele większe. – Wędruje palcem wzdłuż rysujących się na horyzoncie granic miasta, gdzie kilometry kanałów i budowli poskramia szeroka rzeka, za którą w nieskończoność ciągnie się jałowa ziemia spustoszona w różnym stopniu. Ze zwęglonych pól niczym dymiące groby wyrastają drzewa. Bezkres czarnego błota zdaje się żyć

własnym życiem pod naporem czołgających się w nim poddanych Hadesa. W oddali w ołowiane niebo wrzynają się postrzępione górskie wierzchołki i choć nie widzę ich z bliska, czuję przez skórę, że i na tych grzbietach odbywają się jakiegoś rodzaju tortury.

Mój głód wiedzy staje się już niepohamowany i nie mogę się oprzeć odpychającej, acz naglącej potrzebie, by zrozumieć to miejsce.

– Są tu kręgi?

Hades krzyżuje ręce na piersi i opiera się swobodnie o krawędź okna w moim polu widzenia.

– Raczej dystrykty, każdy przystosowany do wymierzania kary stosownej do przewinienia potępionego.

– Do którego ja trafię?

Znów zaczyna cicho mrużyć w zamyśleniu, co zupełnie nie pasuje do diabła we własnej osobie.

– Cóż, twoi przodkowie pomagają nadzorować dystrykt trzeci, ale ponieważ twoim grzechem jest sprzeniewierzenie się przeznaczeniu dla zaspokojenia cielesnych żądz, być może miejscem dla ciebie jest dystrykt drugi. Ale podobno jesteś prawdziwą ekspertką w tej dziedzinie, więc może ty mi powiesz.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Nie połykam haczyka i powstrzymuję się przed podzieleniem się z nim swoimi teoriami naukowymi – które są tylko teoriami. Luźnymi koncepcjami, kolejną interpretacją osobliwych wyobrażeń piekła. Bez porównania do przerażającej rzeczywistości, którą on zna z pierwszej ręki.

Przekrzywia głowę z tą samą upiorną pewnością siebie.

– Przyznaj, twoja ciekawość jest rozbudzona. Nie krępuj się i pytaj śmiało, Karo. Otwórz przede mną umysł. Pokaż mi wszystkie myśli.

W każdym innym miejscu i czasie nawet bym się nie zawahała, ale nie chcę znać uczuć choćby jednego jego paznokcia, a co dopiero całego szatańskiego jestestwa. Choć jakiś instynkt z najmroczniejszych zakamarków mojej duszy podpowiada mi, że on chce właśnie tego.

Sztywnieję jeszcze bardziej, rozpaczliwie się obejmuję, jakbym w ten sposób mogła utrzymać go na dystans. Ale jednocześnie wiem, że to naiwne. Jestem bezsilna w starciu z nim i jego żelazną wolą.

I osamotniona. Nie mam tu sprzymierzeńców, przyjaciół, nadziei.

Ale jest jeszcze rodzina. To musi coś znaczyć.

– Powiedziałaś, że moi przodkowie nadzorują dystrykt trzeci.

Mija długa chwila. To prawdziwe tortury i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że on wie. Ale nawet jeśli tak jest, nie daje tego po sobie poznać. Na jego twarzy maluje się skupienie, gdy spogląda z okna na swoje bezkresne królestwo.

– Może się wydawać, że panuje tu chaos, ale jesteśmy dobrze zorganizowani. Nie jestem w stanie zapanować nad wszystkim sam, więc polegam na tych, którzy się sprawdzili jako liderzy poszczególnych dystryktów. Naturalnie w moich szeregach wybiją się tylko najbardziej bezwzględne i przebiegłe istoty. – Uśmiecha się złośliwie. – Hierarchia ma to do siebie, że wyzwala to, co najgorsze. Nic nie raduje tak, jak widok tłuszczy zbrodniarzy próbujących wybić się po trupach dla tak nędznych korzyści. – Po dłuższej chwili przenosi wzrok z powrotem na mnie. – Tak się składa, że jesteś do niej bardzo podobna.

Marszczę brwi.

– Do kogo?

– Do swojej babki, Charleny. Od wieków jest dla mnie niezastąpiona.

Od zawsze znałam jej imię i wiedziałam, że moja matka, rodzeństwo i ja przyszliśmy na świat, bo oszukała dziadka. Jej obraz z tych kilku

starych fotografii w zderzeniu ze świadomością, że jest mieszkającym tu demonem, budzi we mnie kolejne niepokojące odczucia. I brak wiary, że mogłoby zależeć jej na mnie na tyle, by pomóc mi się stąd wydostać. Moja matka to soplek lodu, ale obawiam się, że pod tym względem nawet się nie umywa do Charleny. Jeśli jest tak bezduszna jak twierdzi Hades, nie ma co na nią liczyć.

– Skoro jest tu taka potrzebna, czemu to właśnie ją wybrano, by zwieść i ukarać mojego dziadka?

Hades wzrusza ramionami.

– Dobrze mi służyła. Chwilowe opuszczenie mojego królestwa to jak wakacje.

– Długie wakacje... – Na tyle długie, by spłodzić moją matkę i jej rodzeństwo.

– W istocie. – Odrywa się od ściany i rusza w moją stronę. – Ale po wykonaniu zadania chętnie wróciła. Po pewnym czasie na ziemi czujemy się jak śmiertelnicy w piekle, wierz mi.

Gdy wyciąga do mnie rękę, odwracam się i zaciskam powieki, ale nie jestem w stanie uciec przed jego ciepłymi palcami wędrującymi po mojej szczęce.

– Uważam cię za swoją poddaną, ale doceniam twoje ziemskie piękno. Jesteś równie urodziwa, co fascynująca.

Wypuszczam powietrze, drżąc – choć nie wiem: od jego dotyku czy z zimna opuszczającego moje kości.

– Czego ode mnie chcesz?

Powoli i cierpliwie rysuje palcem kółka na moim ramieniu.

– Jesteś grzechem, którego jeszcze nie zaznałem... I już nie mogę się doczekać, by go skosztować.

Na te słowa uciekam spod jego dotyku i wbijam w niego nienawistne spojrzenie.

– Tego właśnie chcesz? Wykorzystać mnie i wyrzucić? – Wskazuję ze złością kontrastujące z surowym wnętrzem łożo obite jedwabiem i aksamitem. Na razie nie zmrużyłam oka, wpatrując się pośepnie w nieskończoność. Na myśl o tym, że miałabym je dzielić z władcą piekieł, to królewskie łożo staje się jeszcze mniej pociągające.

Po ciągnącej się w nieskończoność chwili okrutnego milczenia Hades wybuchą gromkim śmiechem, przez co czuję dobitnie, jak niewiele wobec niego znaczę.

– Och, Karo, zapewniam, że w niczym nie przypominam mojego rozpustnego brata. Uleganie pokusom ciała to zgrany grzech. Już dawno mi się znudził. Jesteś piękną istotą, ale pociąga mnie w tobie coś innego: to, co obudziłaś w Maximusie.

Nie wiedzieć czemu jego zapewnienia tylko potęgują moje dreszcze. Oddanie mu ciała byłoby dużo prostsze, tego jestem pewna.

– Emocje, które wyławiasz... – Kręci głową niczym dziecko pierwszy raz oglądające fajerwerki. – Tak różnorodne, intensywne, żywe i rzadkie... Nic dziwnego, że jest od ciebie uzależniony. A teraz i ja nabrałem na nie apetytu.

Wciągam ze świstem powietrze.

– Nigdy ich nie zakosztujesz. Nie rozumiesz tego? To, co jest między nami, istnieje tylko między nami. Przed nim z nikim tak nie miałam.

Jego źrenice rozszerzają się z zaintrygowania.

– Uwielbiam wyzwania. Może sam mój dotyk nie rozbudzi tej anomalii jak w jego przypadku, ale z pewnością znajdziemy sposób, by ją w tobie wskrzesić. A gdy to się stanie... gdy sięgnę w głąb twojego umysłu... doświadczę nowych doznań.

Kręcę gwałtownie głową.

– Co takiego mogę ci dać, czego nie zdążyłeś już poznać przez niego?

Oblizuje usta. Płomienie odbijają się od ich wilgoci i tańczą w jego czarnych jak węgiel oczach.

– Tę nieskończoną pętlę... Obwód połączenia. Chcę zobaczyć ich barwy twoimi oczami. Zajrzeć na drugą stronę tego fascynującego lustra. Cudownie byłoby zobaczyć je przez uniesienie, ale skoro nie chcesz mi go dać, mogę obudzić w tobie cały wachlarz emocji. Strach... smutek... gniew. Jest tyle nieprzyjemnych możliwości.

Robię kolejny krok w tył, choć wiem, że to na nic się nie zda. Nie jestem w stanie stawić mu oporu. Nie jestem w stanie uciec. Mogę jedynie mieć nadzieję, że go rozczaruję, a on da mi spokój i odeśle tam, gdzie czeka mnie straszny los. Będę musiała otoczyć się szczelnym murem. Zaciskam powieki, by już teraz zacząć go wznosić.

– Może to jeszcze przemyślisz – dodaje łagodnie. – W końcu mamy trochę czasu. Gdybyś zmieniła zdanie, sprawiłabyś mi miłą niespodziankę. W głębi duszy jestem wielkim zwolennikiem wolnej woli. – Podaje mi rękę. – Chodź, oprowadzę cię.

ROZDZIAŁ 2

Maximus

PO RAZ TRZECI W CIĄGU NIESPEŁNA GODZINY na śliskiej ulicy pod moim oknem jakieś auto hamuje z piskiem opon, po czym rozlega się klakson i głośny łoskot. Niemal natychmiast trzaskają drzwi i obaj kierowcy zaczynają na siebie wrzeszczeć.

Sięgam po pilota i podkręcam głośność, by zagłuszyć awanturę na zewnątrz. Telewizor jest włączony od rana, bo Jesse twierdzi, że lubi biały szum, choć zabronił włączania fonii. Wyświadczyłem mu tę grzeczność, bo teraz potrzebuję go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Usadowiony w moim kąciku jadalnym spogląda na mnie z uniesioną brwią.

– Może zakręciłbyś na chwilę tę ulewę, żebym mógł się skupić?

Marszczę brwi, spoglądając na burzowe niebo, i krzywię się na dźwięk ogłuszającego grzmotu, który kilka sekund później rozlega się w oddali.

– Nie mam wyłącznika, okej?

Na szczęście w kolizji pod oknami ucierpiały tylko zderzaki, a kierowcy zdążyli już zedrzeć sobie gardła.

Na powrót wyciszam telewizor, usiłując nie zwracać uwagi na lód w żyłach, ogień lęku w trzewiach i gonitwę myśli.

Mój najlepszy przyjaciel już zdążył to wszystko wyłapać.

– Cholera, stary. Szkoda, że wiem, kto i co *à propos* tego deszczmaggedonu za oknem, inaczej miałbym niezłą radochę.

Rzucam mu przez ramię gniewne spojrzenie. Zachowując spokój, dyplomatycznie nie odrywa wzroku od ekranu laptopa. Od wczorajszej nocy przyrósł do komputera w imię pomocy przyjacielowi, który wlał w niego morze herbaty, błagając o ratunek.

Ale ma rację. Rozgorączkowane relacje na żywo z rozpętanej przeze mnie nawałnicy na wszystkich kanałach lokalnej telewizji nie pomagają nam się skupić. A teraz potrzebuję każdej szarej komórki jego mózgu.

Na szczęście do moich drzwi na razie przynajmniej nie dobija się półdemon od stóp do głów ubrany w Pradę.

– Racja – bąkam. – Wizyta Veroniki to ostatnie, czego mi teraz trzeba.

Jesse chichocze.

– Naprawdę myślisz, że jeszcze nic nie wie? Pewnie Z. już dawno puścił farbę. Hades to w końcu jego brat. A poza tym Z. to władca Olimpu. Założę się, że w piekle też ma swoich sługusów, którzy skwapliwie donoszą mu o wszelkich dramatycznych zwrotach akcji.

– Skąd pomysł, że dla mojego ojca to jakiś zwrot akcji?

– Że co? – pyta zszokowany Jesse i odsuwa komputer, nadstawiając uszu.

Czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Naprawdę miałem nadzieję, że uda mi się go nie mieszać w tę nieboską płataninę, w którą zamieniło się moje życie. Ale już za późno: znalazł się w samym oku cyklonu i żadnym sposobem nie byłbym w stanie go zeń wyrwać.

– Nawet jeśli o wszystkim wie, nie przybędzie mi ot tak na ratunek. W każdym razie już nie.

Na czole Jessego pojawia się co najmniej tuzin bruzd.

– To twój stary.

– Który chyba jest wypalony.

– To bogowie tak mają?

– Jest na świecie od bardzo dawna, Jesse. Wszystko już widział i robił, pewnie ma na koncie nawet parę dobrych uczynków. Nie wspominając, że ludzkość włożyła go między bajki. Ma zazdrosną, zgorzkniałą i roszczeniową żonę. Jego bracia to uparte skurczybyki z własnymi królestwami. Jego poddani to istoty o nadprzyrodzonych mocach i zapewne stosownie przerośniętym ego. I teraz wyobraź sobie, że musisz na co dzień zmagać się z tym wszystkim, a końca wcale nie widać.

– No tak. Cholera. – Jesse kiwa głową. – Tam na górze raczej nie ma limitu kadencji.

– Raczej nie.

Mój przyjaciel unosi kącik ust.

– Maximusie Kane, czyżbyś bronił swojego ojczulka?

– Mówię po prostu, że życie na Olimpie to nie tylko arkadyjskie łąki i słodki nektar – odparowuję. – Ale to nie wymówka dla niego, tylko wytłumaczenie dla mnie.

Niewygodne wytłumaczenie. Nie potrafię wyobrazić sobie większego kryzysu, ale dla Z. rodzina nigdy nie będzie najwyższym priorytetem.

To prawda, do zeszłego tygodnia nie był nawet punkcikiem na horyzoncie mojego świata i byłem bez niego najzupełniej szczęśliwy: zapracowany, otoczony przez rodzinę i przyjaciół i zakochany jak nigdy dotąd. Nie potrzebowałem ojca. Wcale.

Ale bez Kary mój świat przestałby istnieć.

Zgasłoby światło rozjaśniające mój mrok. Pochodnia prowadząca mnie przez labirynt życia, które już nigdy nie wróci do normalności.

Z pomocą Jessego odnajdę do niej drogę. A wtedy pomaszeruję prosto do piekła. W przeciwieństwie do Dantego nie popchnie mnie tam

ciekawość i przeczeszę każdy jego centymetr, a jeśli będzie trzeba, zburzę każdy mur. Stanę do walki ze wszystkimi potępieńcami, którzy zastąpią mi drogę.

Z oddali dobiegają kolejne uderzenia pioruna, a ja wstaję i zaczynam się przechadzać z zaciśniętymi pięściami.

– Czyli naprawdę to wszystko łykasz?

Mój przyjaciel unosi brew.

– Że jesteś półbogiem?

Niestety ja już dawno w to uwierzyłem. Parę wypadów do Labiryntu i wizyta Hadesa w moim umyśle pozbawiły mnie resztek nadziei. Tego ostatniego nie życzyłbym najgorszemu wrogowi, a co dopiero najlepszemu przyjacielowi, który siedzi teraz zgarbiony przy stole przede mną. Patrząc na tę odmienioną rzeczywistość jego oczami, znów czuję nadciągającą falę lęku, ale walka z nią jest teraz ponad moje siły.

Obracam się w stronę aneksu kuchennego.

– Tak. A reszta?

Zagląda do komputera, po czym zapisuje parę linijek w jednym ze swoich nieodłącznych kołnotatników.

– Nauka zajmuje się faktami, ale fikcja też może być wiarygodna, nawet w twoim przypadku. Po prostu niektóre rzeczy są łatwiejsze do przełknięcia, na przykład mentalne sztuczki Kary, które stosuje, by uspokoić twoje biedne zszargane nerwy.

Na te słowa mam ochotę się uśmiechnąć. Powstrzymuję ciągnące w górę kąćki ust, ale jego deklaracja ściska mnie za serce.

– To prawda – przyznaję mu rację. – To dobra dziewczyna, ale kiedy chce, potrafi być zawzięta.

– Ta cecha plus fakt, że jest demonem, sprawią, że wasz związek albo zmieni kosmiczne zasady gry, albo będzie najbardziej pokreconym reality

show w historii świata.

Słyszając z jego ust potencjalne wersje naszej przyszłości, wreszcie się poddam i uśmiecham. Ale tę chwilę szybko pochłania tsunami gniewu, gdy na powrót uderza mnie świadomość naszego beznadziejnego położenia.

Muszę ją odnaleźć.

Bez względu na wszystko.

Nawet jeśli to niemożliwe.

Jesse czyta to wszystko z mojej twarzy, gdy się pochylam, bębniąc palcami w stół.

Wskazuję brodą jego notes.

– Co masz? Powiedz, że coś znalazłeś. Cokolwiek. – Teraz już będę tak mocno, że w blacie zostają wgłębienia.

– Coś znalazłem. – Bruzdy na jego czole pogłębiają się. – A raczej... wszystko.

– To znaczy?

– To znaczy, że próba zlokalizowania wrót piekła przypomina szukanie igły w stogu siana.

Mówiąc to, przysuwa notes w moją stronę. Pożeram wzrokiem teorie, które streścił na kartce – plus co najmniej tuzin kolejnych.

– Od czego zacząć? – bąkam pod nosem.

– Obawiam się, że nie ma prostej odpowiedzi. Na każde biblijne czy literackie odniesienie, które wygrzebałeś, przypada kilkanaście naukowych odpowiedników – tłumaczy.

– Ale niektóre je wykluczają, zgadza się? – odparowuję. – Więc możemy od razu je odrzucić.

– Te oczywiste, owszem. Strefę 51, Stonehenge, Roswell, Oko Sahary, Loch Ness, Blood Falls...

Unoszę brew.

– Ktoś naprawdę uważa Loss Ness za wejście do piekła?

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, Nessie i jego sekrety...

Przerzucam kartkę, przebiegając wzrokiem kolejną porcję notatek.

– W przypadku Hadesa nic nie jest oczywiste. Wczoraj myśleliśmy, że trafiliśmy po prostu na luzacką imprezę na plaży. – Poczułem ukłucie w piersi, które momentalnie przeszło w ochryply głos. – A potem wyszło szydło z worka.

– I na tym koniec z chandrą. – Łapie za mysz niczym treser lwów za bicz i zaczyna równie metodycznie i błyskawicznie klikać. – W obozie pracy nie ma czasu na uzalanie się nad sobą, kolego. Jeśli ma nam się udać, twój mózg musi być w dobrej formie.

– Masz rację. – Kiwam głową, przywołując się w duchu do porządku, i dla pewności powtarzam całą operację, strząsając z siebie jak najwięcej ponurych wspomnień, by poświęcić mu pełną uwagę.

– Wprowadź mnie. Jaką masz teorię?

– Teorie – poprawia Jesse. – Stary, jesteśmy dopiero na początku drogi.

– To jak szybko możemy zawęzić ich liczbę?

Musi wiedzieć, że abstrahując od niekończącej się ulewy, moja nadzieja wisi już na włosku.

– Zostawiłem kryształową kulę w drugiej rezydencji – odparowuje z kamienną twarzą. – Miejmy jednak nadzieję na szybki przełom. – Przygląda mi się bacznie. – Ale najpierw... Jesteś absolutnie pewien, że w salonie Rereka Horne'a nie było więcej portali? Nie ostała się żadna rzeźba kryjąca w sobie przejście między wymiarami?

Biorę głęboki oddech i wypuszczam powietrze.

– Wtedy już dawno by mnie tu nie było.

Jesse wraca do klikania.

– No tak, to pewnie był portal wyłącznie dla użytku króla. W tym wymiarze mają je nawet pałace. Albo Hades jest tak cholernie wyjątkowy, że nie potrzebuje żadnych portali. Jest na tyle potężny, by każdorazowo je sobie stworzyć.

– Musi być jakieś inne wejście. – Ozdabiam blat kolejnymi wgłębieniami. – Coś większego. Fizycznego. A nawet metafizycznego. – Nie będę kaprysił. Obejdę się bez neonu i złotych schodów. Potrzebuję tylko jakiejś wskazówki, by ruszyć z miejsca.

– Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu bym to wyśmiał – odpowiada Jesse – ale wczoraj nie wierzyłem też w demony i półbogów.

– To według ciebie gdzie powinniśmy zacząć szukać tych... wrót?

Od odpowiedzi na to pytanie zależy los Kary.

– Cóż... – Jesse się odchyła i wyjmuję jedną ze swoich ulubionych przyklepanych zabawek. Naciąga żelową gumkę jak procę i wypuszcza, a łapka przywiera do okna mojego tarasu, by zaraz wrócić do właściciela.

– Przyłożyłem twoje mitologiczne i socjologiczne odwołania do tego, co dzisiejsza nauka i geografia są w stanie mniej więcej potwierdzić. Twoja pierwsza sugestia, że Hades włada surowymi, posępnymi zaświatami na skraju morza, pasuje do opisów pokaźnej garści wysp rozsianych po świecie.

Pokazując mi ich listę, przerzuca kartki notesu za pomocą żelowej łapki. Oczy prawie wychodzą mi z orbit.

– Pokażna garść?

Wzdycha.

– No dobra, bardziej wyczerpujący spis.

– Do którego wrócimy później. – Próbuję czytać jego „wyczerpujący spis”, ale szybko daję za wygraną i pośpiesznie przerzucam kolejną kartkę. – Co jeszcze masz?

– Tu jest wszystko, co pasuje do Elizjum, czyli tej części zaświatów, która nie znajduje się pod bezpośrednią jurysdykcją Hadesa. Twój kolega Dante był jednym z nielicznych, którzy mieli na ten temat inne zdanie. To miejsce jest również nazywane Białą Wyspą i w wierzeniach występuje jako raj dla bohaterów i szlachetnych wojowników.

– Czyli tę ewentualność też możemy zarchiwizować.

– Przypuszczałem, że tak powiesz. – Wzdycha, gdy przewracam kolejną kartkę. – *Au revoir*, Bora-Bora. *Aloha*, zatoka Kapalua.

– Powiedziałem zarchiwizować, nie wykreślić – uderzam w defensywny ton.

Fantazjuję o leniuchowaniu z Karą na którejś z tych egzotycznych plaż, najlepiej bez ubrań. Potrzebuję tych obrazków jako motywacji, by stawić czoła kolejnej gęsto zapisanej kartce notesu Jessego.

– Dalej: Tartar – ciągnie mój przyjaciel. – Najmroczniejsza i najniżej położona część krainy podziemia *vel* wielka kosmiczna otchłań. Pozbawiona światła i rzekomo głębsza niż piekielna. Zaopatrzona w żelazną bramę tudzież umocnienia, których strzegą węże. Mówiąc językiem nauki, to...

– Jaskinia – kończymy chórem.

Moja twarz tężeje w odpowiedzi na jego grymas.

Przewracam kartkę, jęcząc na widok kolejnej gęsto zapisanej strony.

Kiwa głową.

– To lista jaskiń położonych nad poziomem morza. Podzieliłem je na dwie grupy. Najwięcej jest tych naturalnych, ale spokoju nie dawał mi ten

fragment z żelazem. Jeśli chodzi tu o jakąś rudę, naszą główną kandydatką jest Australia. Choć w Brazylii, Chinach i Rosji też znajdują się duże złoża.

– A ta druga grupa? – Jeśli nie zacznę go ponaglać, zaleje mnie lawiną informacji i utkniemy tu na dobre. – Odrzucone?

Kręci głową.

– To jaskinie podwodne.

Wzdycham ciężko. Pomimo najlepszych starań mój umysł już zaczyna wysychać jak błoto w pełnym słońcu, a to dopiero początek.

Surowym głosem wykładowcy przypominam sobie w duchu, że to ja wezwałem go na pomoc. Sam się o to prosiłem, dobrze wiedząc, że research z Jessem to nie przelewki. Jeszcze mu podziękuję za tę drobiazgowość. Tylko nie teraz.

– To co jest na reszcie kartek?

– Niesklasyfikowane teorie – odpowiada bez zająknięcia. – Miejsca i zjawiska, które nie wpisują się w żadną kategorię, ale mogą być tym, czego szukamy. Na przykład wyładowania atmosferyczne nad Catatumbo, krater gazowy Derweze czy wulkany na Kamczatce. Warte odnotowania, ale zbyt oczywiste, prawda?

– No pewnie – odpowiadam z przekąsem, choć wiem, że nawet nie zwróci uwagi na mój ironiczny ton.

– Innym jednak można by się przyjrzeć. Dajmy na to w Kotlinie Danakilskiej panują wyjątkowo nieprzyjazne warunki... Wyspa Węży, park narodowy Madidi czy jaskinie Gomantong też są ciekawe, ale chyba zbyt oczywiste.

– Tak jak wulkany?

Znów strzela łapką w okno. Od jednego z żelowych paluchów odbija się słaby promień słońca. Nie obiecuję nic w kwestii pogody, ale sama rozmowa o tych wszystkich ewentualnościach podnosi mnie na duchu.

– Świetna robota, stary – mówię prosto z serca. – Naprawdę.

Ale to i tak za mało, by wyrazić moją wdzięczność. Po pierwsze przyleciał tu, gdy tylko powiedziałem mu prawdę o sobie i Karze. Po drugie ani na chwilę nie odszedł od komputera. Siedzimy tu praktycznie cały dzień. Choć słońce wreszcie zaczęło nieśmiało wyglądać zza chmur, za niespełna godzinę będziemy oglądać jego zachód.

– Pfff – rzuca lekceważąco i znów strzela łapką, co rozluźnia atmosferę. – Podziękuj mi pizzą i skrzydełkami, kochaniutki.

– Już się robi, kierowniku – odpowiadam, przeciągając samogłoski, i włączam apkę w telefonie.

Czekając na przyjazd kolacji, Jesse sięga po notes i jeszcze raz go kartkuje.

– Jak zawężimy nasze opcje?

– Myślisz, że mam pomysł?

– Któryś z nas będzie musiał zdecydować. Sprawdzenie wszystkiego zajęłoby lata.

– W najlepszym wypadku mamy parę dni.

Ogarnia mnie rozdrażnienie i zniecierpliwienie. Co robić? Od czego zacząć? Jak oddzielić ziarno od plew, rzeczywistość od mitologii? Dokąd ten cholerny Hades porwał połowę mojego serca i duszy?

Twarz Jessego wykrzywia się, jakby słyszał moją wewnętrzną rozpacz. Wyjeżdża zza stołu i powoli sunie przez salon.

– Kiedy już myślałem, że wszystko można znaleźć w podręczniku albo dziennikach z podróży... – zaczyna, wpatrując się w ciemny ekran telewizora, i ciężko wzdycha – musiałeś rozpocząć poszukiwania mapy drogowej do piekła – mrczy pod nosem, wracając.

W chwili gdy mówi te słowa, podnoszę gwałtownie głowę. Ścisza mnie w gardle, a serce chyba chce mi połamać żebra. I tak jak przedtem, Jesse

natychmiast to wychwytuje.

– Co? – Podjeżdża do stołu. – Znów skończył im się lepszy sos do skrzydełek?

Kręcę głową.

– Nie – wyduszam z siebie. – Dziennik podróży po piekle...

– Wiesz, gdzie możemy go dostać? – pyta na wpół kpiarsko.

Wpatruję się w przestrzeń bez mrugnięcia okiem, bo nie żartuję.

– Może.

– No dobra – odpowiada powoli. – Jedziemy po niego na Bora-Bora? Na Hawaje? Bo jeśli tak, to się na to piszę.

– Ani tu, ani tu.

Smutnieje.

– To dokąd?

– Do Beverly Hills.

ROZDZIAŁ 3

Kara

– NIE TERAZ – mówię najłagodniej, jak potrafię.

Nie przeczę, że po części pragnę poznać lepiej wielkie królestwo Hadesa, choćby po to, by zlokalizować ewentualne drogi ucieczki, ale wycieczka po jego stolicy jest ostatnim, na co mam teraz ochotę. I być może ostatnim, na co mam siłę.

Hades marszczy brwi zaskoczony.

– Przecież mamy tyle do zobaczenia.

– Z pewnością, ale jestem bardzo zmęczona. Proszę...

– Dlaczego nie odpoczęłaś, Karo? – pyta odrobinę delikatniej.

Próba wytłumaczenia mojego przeciążenia emocjonalnego bogu, który jest jego przyczyną, wydaje się bezsensowna, ale jego zatroskane spojrzenie wbrew rozsądkowi budzi we mnie potrzebę bycia zrozumianą, nawet przez najgorszego wroga. Spoglądając w ciepłą czerń jego oczu, zastanawiam się, czy głęboko w środku jest zdolny do współczucia.

Czy pomimo mojej zdrady możemy znaleźć nic bratniego porozumienia? Albo lepiej: czy wejrzenie w lustro własnej dobroci okaże się na tyle egzotyczne, by zaspokoić jego fascynację moimi zdolnościami? Ale odkąd się tu znalazłam, resztki nadziei przeciekły mi przez palce, więc czemu z tym szalonym pomysłem miałyby być inaczej?

To posępne pytanie pulsuje mi w głowie, zagłuszając swoją kakofonią mój nierealny optymizm. Każe mi rozluźnić ręce, którymi wciąż się kurczowo obejmuję.

– Wyrwałeś mnie z jedyne go świata, jaki znałam, i sprowadziłeś w to obce miejsce. Jestem... przytłoczona. I do teraz nie wiedziałam, jaki los mnie czeka. Chyba nie trzeba dodawać, że nie myślę o niczym innym. Sen nie wchodził w rachubę.

Jego usta układają się w królewski, acz drapieżny uśmiech.

– Twoje obawy są zrozumiałe – mówi z protekcjonalną nutą w głosie. – Ale musisz być także podekscytowana, choćby odrobinę? Przecież to miejsce od tak dawna było obiektem twojej fascynacji.

Zaciskam usta, ciesząc się, że nie jest w stanie mnie do końca rozgryźć. Na razie.

– No cóż, nareszcie tu jesteś – ciągnie. – A ja postaram się w pełni zaspokoić twoją ciekawość. Obiecuję.

I to przeraża mnie najbardziej. Pośpiesznie odsuwam od siebie tę myśl, skupiając się na podtrzymaniu uśmiechu. Żałośnie próbuję dorównać mu entuzjazmem. Tym razem chyba udało mi się go wyprowadzić w pole.

Ujmuje moją dłoń, podnosi ją do swoich uśmiechniętych ust i powoli całuje.

– Ale na razie pozwolimy ci odpocząć.

Tym razem mój uśmiech jest dużo bardziej szczery.

– Dziękuję.

– Znam idealne miejsce, w którym twoje skołatane nerwy znajdą prawdziwe ukojenie.

Oto moja kara za szczerość.

– Ale...

Cmoka głośno, ciągnie mnie za sobą i na tym kończy się mój sprzeciw wobec tej nowej wycieczki. Po raz pierwszy, odkąd tu przybyłam przez nie wiem jaki portal, opuszczam więzienie swojej komnaty. Sklezione drzwi płynnie się przed nami otwierają, ukazując naszym oczom wąski kamienny korytarz. Moje bose stopy marzną na zimnej posadzce, a pomimo długiego trenu moja zwiewna suknia to żadne okrycie przed chłodem. Robię, co mogę, by ją unieść, gdy mój porywacz przyśpiesza kroku.

Raz po raz niemal się potykam, podążając za nim ciągnącymi się w nieskończoność korytarzami i krętymi schodami zamku. Odgłosy nabrzeża zastępuje zgrzytliwy trajkot stworzeń służących Hadesowi w jego domostwie. Moja ciekawość jest już w pełni rozbudzona, ale mkniemy tak szybko, że sceny tylko migają mi przed oczami.

Przechodzimy przez jasno oświetloną komnatę pełną popychających się i pokrzykujących żołnierzy-demonów o rozwartych plamistych paszczach pełnych zepsutych zębisk. W sali, z której bije przyjemne ciepło, paskudny demon o wybałuszonych oczach wymyśla zza suto zastawionego stołu małego, skulonemu ze strachu sługusowi. Jest tu także biblioteka, a przynajmniej tak mi się wydaje. Wygląda, jakby przeszło przez nią tornado: podłoga jest zawałona papierzyskami i porozrzucanymi książkami.

Hades prowadzi mnie przez krużganek na zewnątrz, gdzie panuje przeraźliwy chłód. Daleko w dole rozciąga się szeroki zamarznięty kanał. Wyteżam wzrok, by zobaczyć, co nadaje mu jego osobliwej faktury.

Nagle dostrzegam ich: uwięzione pod lodem zniekształcone sylwetki z wyłupiastymi oczami błagalnie zwróconymi ku niebu. Zasłaniam usta ręką, ale za późno, by powstrzymać okrzyk przerażenia.

Hades zatrzymuje się tak gwałtownie, że wpadam na jego zastygłe ciało. Z mojego gardła ponownie wyrывa się krzyk, tym razem bardziej ze strachu przed nim i naszą niepokojącą bliskością. Obrzuca mnie

skonsternowanym spojrzeniem, zwłaszcza że nie mogę ukryć oszołomienia. Jego ciało jest ni to ciepłe, ni specjalnie zimne, a twarz nie zdradza ani dobroci, ani wrodzonego zła. Od pojawienia się na imprezie Rereka wszystko w jego wyglądzie sprawia uderzająco ludzkie wrażenie, przez co im więcej z nim przebywam, tym bardziej rozbijający się wydaje – i czuję, że to bardzo, ale to bardzo niebezpieczne.

Nie mogę ani trochę uwierzyć w jego zakłamanie. Ani na chwilę nie mogę opuścić gardy. Gdy zrobiłam to przy Rereku, jednym z jego pacholków, skończyło się tym koszmarem. Nie chcę nawet myśleć, co by się stało, gdybym obdarzyła Hadesa podobnym zaufaniem.

– O co chodzi, Karo?

Robię parę chrapliwych wdechów na uspokojenie, a mój wzrok wędruje ku zamarzniętemu kanałowi.

– Ach. – Wykorzystuje naszą niespodziewaną bliskość, by rozetrzeć moje skostniałe dłonie. – Zastanawiasz się pewnie, co takiego zrobiło to robactwo, by zasłużyć sobie na ten los.

Nie muszę go o to pytać, bo po pierwszym szoku mój umysł trzeźwieje na tyle, by wyszperać odpowiedź w archiwum. Przed oczami staje mi wyobrażenie uwięzionych w wyludnionej Giudece grzeszników wyłaniające się z pieśni Dantego:

*Stałem już, ledwo śmiem powtórzyć w śpiewie,
Tam, gdzie tłum cieniów pod korą lodową
Przeświecał niby źdźbła w szklanej polewie*.*

– Zdraycy dobroczyńców – mówię na bolesnym wydechu.

Usta Hadesa układają się w zadowolony uśmiech mogący świadczyć jedynie o dumie.

– W punkt. – Przygląda mi się jeszcze przez chwilę wzrokiem intensywniejszym od obiektywu jakiegokolwiek aparatu, z jakim miałam do czynienia. – Nie mogę się już doczekać, by zajrzeć w twój umysł, Karo. Naprawdę.

W geście rozpaczliwego, milczącego protestu sztywnieję w jego delikatnym uścisku. W odpowiedzi stopniowo się wycofuje, zostawiając mnie na pastwę przenikliwego wiatru ciągnącego przez kruzganek.

– A jeżeli mi go nie pokażesz... – zaczyna ostrzegawczym tonem. – Jeżeli jeszcze raz mnie zdradzisz, nie będę miał nic przeciwko temu, byś trafiła do ich grona. Często korzystam z tego przejścia i widok twojej urody zamrożonej tuż pod taflą sprawiłby mi nie lada przyjemność.

Na te słowa czuję, jak każda komórka mojego ciała jeszcze bardziej lodowacieje. Jego groźba przenika moją skórę i przeszywa kości tysiącem igiełek. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie gorszego losu niż ten, który tak sugestywnie przede mną odmalował, ale boję się, że straszna lista kar nie ma końca.

Czy kiedy przyjdzie mój czas, wszystkie one staną się moim udziałem?

Czy tak właśnie ma wyglądać moje życie do końca wieczności?

Hades odsuwa się jeszcze na kilka kroków, ale jego chłodne zdystansowanie bynajmniej nie uśmierza mojego przerażenia.

– Chodź – mówi. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Podążam za nim, starając się dotrzymać mu kroku, wdzięczna, że przestał mnie za sobą ciągnąć. Powinnam się cieszyć, że szybkie tempo marszu odrobinę mnie rozgrzewa, choć obawiam się, że chłód na dobre zagościł w moich kościach.

W końcu zatrzymujemy się przed wysokimi drzwiami zwieńczonymi łukiem, nieróżniącymi się niczym od tych, które mijaliśmy po drodze. Ale zamiast kotłowaniny demonicznych żołnierzy i uwijających się jak

w ukropie sługusów ukazuje się za nimi komnata, w której panuje osobiwy spokój.

Wchodzimy do środka. Zauważając przed nami jakiś ruch, zatrzymuję się w pół kroku, ale okazuje się, że to tylko nasze odbicie w kilku wysokich lustrach w ozdobnych złotych ramach wiszących na przeciwległej ścianie. Każde ma przynajmniej dwa i pół metra długości i tyleż szerokości, a w środkowym odbija się stojąca przed nim złota wanna.

– Wow – szepczę.

Komnata w niczym nie przypomina żadnej, którą tu widziałam. Powiedziałabym nawet, że jest piękna. Ze sklepionego sufitu zwisa olbrzymi żyrandol, oświetlając dwa płytkie baseniki w marmurowej podłodze. Ze złotych kranów osadzonych w gładkich kamiennych ścianach wypływają do nich bezszelestnie dwa strumienie wody. Przed każdym basenem leży pluszowa mata kąpielowa w tym samym królewskim kolorze.

– Gdzie jesteśmy?

– W miejscu służącym do refleksji. I zmycia z siebie wszystkiego, co nas boli.

Nie wierzę mu. Mimo że ta nowa komnata kusi jak diabli, nie zapomniałam o wszechobecnej w zamku atmosferze śmierci i fałszu. Wiek jego przesiąkniętych cierpieniem murów, choć tu czystszych, liczy się w eonach. Przemawiają do moich zmysłów bardziej niż jakikolwiek człowiek.

Hades mnie okrąża, a w lustrach, przed których stoimy, widzę, jak zuchwale taksuje mnie wzrokiem.

– To również miejsce do podziwiania własnej urody. W twoim przypadku w całej jej ziemskiej krasie. – Zamaszystym gestem wskazuje kolekcję luster. – W końcu próżność to ulubiony grzech Valarich, nieprawdaż?

Mam ochotę przewrócić oczami, ale się powstrzymuję. Teraz wystrój tej komnaty nabiera ohydneho sensu. Który poddany Hadesa nie uległby jednemu z grzechów głównych?

– Nie jestem jak reszta. – Te słowa wychodzą z moich ust niczym odruchowa reakcja na lata wmawiania sobie czegoś zgoła innego.

Unosi brew.

– Nie?

– Nie.

Wyciąga rękę i bezpardonowo zaczyna się bawić kosmykiem moich włosów.

– Nie doceniasz piękna tych gęstych pukli? – Nasze spojrzenia się spotykają. – A oczu, których spojrzenie przenika do samej duszy? Jedwabistej skóry? Ciała pożądanego przez miliony? Niektórzy zabiliby za twoje dary.

Jego oczy błyszczą, jakby ta perspektywa go podniecała. Zabójstwo w imię zawiści.

– Wygrana na loterii, nic więcej. Tak naprawdę liczy się coś zupełnie innego. Moja rodzina jeszcze nie uświadomiła sobie tej prawdy.

Na te słowa wybucha śmiechem.

– W takim razie oświeć mnie, panno Valari. Co tak naprawdę się liczy?

Przełykam z trudem, bojąc się udzielić mu odpowiedzi, ale każda komórka mojego ciała niemal wykrzykuje wyznawaną przeze mnie prawdę. Prawdę, która pozwala mi nawet tu zachować zdrowe zmysły.

– Miłość – oświadczam, wypinając dumnie pierś i unosząc brodę. – To ona jest najważniejsza.

Jego arogancki uśmiezek przekształca się w brzydki grymas.

– Czyżby?

– Tak uważam.

Nie. Ja to wiem, ale mówienie tego na głos chyba nie byłoby teraz najmądrzejsze. Prowokuję go, zamiast pozwalać mu myśleć, że ma mnie w garści.

– Miłość. To wszystko?

Zerkam na niego w lustrze.

– Ona wystarczy.

– W takim razie dlaczego tak łatwo ginie przez chciwość, żądzę władzy, dumę i zazdrość?

– Dobre pytanie, choć podejrzewam, że odpowiedź ma związek z tobą – nie wytrzymuję.

Natychmiast żałuję swoich słów i pasji, z jaką je wypowiadam. Jego nozdrza się rozszerzają, a spojrzenie nabiera intensywności.

– To nie ja jestem twórcą ciemności, Karo – mówi niskim, groźnym głosem – lecz ją szanuję. Widzę ją taką, jaka jest.

– Robisz dużo więcej – odparowuję oskarżycielsko. – Nadajesz jej potęgę.

Wzrusza ramionami.

– Powiedzmy, że mam w tym swój interes. Ale to twoi ludzcy przyjaciele wprawiają w ruch koło nienawiści. Nie wiń mnie za ich wrodzoną słabość. Ja tylko po nich sprzątam. To podłe zajęcie, lecz takie mi powierzono.

Bez słowa podchodzi do wanny. Idę za nim jak na niewidzialnym sznurku przytroczonym do jego pleców. Nachyla się i wodzi palcami po szklistej tafli perfumowanej wody, która pod jego dotykiem zamienia się w parę.

Odwraca się na pięcie i raz jeszcze patrzy mi prosto w oczy.

– Może to i dobrze, że nie zabawisz długo w zamku. Nie mam wątpliwości, że inni zaczną wkrótce cię nienawidzić za to, że zachowałeś swoją ziemską urodę.

To prawda. Z wyjątkiem oblicza mojego porywacza każda trupio blada twarz, którą tu widziałam, przerażała brzydotą i rozkładem. Czyli jednak nie jestem martwa, choć nie należę również do sfery życia w jego najczystszej postaci. Ale nawet moje odbicie w lustrze nie daje mi prostych i jednoznacznych odpowiedzi. Jedyna wyraźna zmiana, jaka zaszła w moim wyglądzie, dotyczy stroju: zamiast drogiej sukienki, którą miałam na sobie, gdy mnie uprowadził, jestem teraz odziana w elegancko upiętą czerwoną togę.

Wbrew sobie czuję, jak oczy zaczynają mnie piec. Dni balowych sukni, szpilek i szampana odeszły na zawsze. Nigdy nie sądziłam, że kiedyś za nimi zapłaczę, ale za cenę powrotu do żywych z radością chodziłabym na wszystkie przyjęcia hollywoodzkiej elity, których tak nie znosiłam.

Hades jednak ma niestety rację. Do powrotu Persefony może i jestem bezpieczna, ale podczas wędrówki po zaświatach mój wygląd może się okazać problematyczny.

– Mógłbyś to zmienić. Upodobnić mnie do reszty.

Przełykam z trudem. Czy te słowa rzeczywiście wyszły z moich ust? Czy w imię przetrwania naprawdę chcę się wyrzec swojego ziemskiego ciała i przybrać postać potępionej?

– Nigdy bym nie śmiał. – Hades podchodzi blisko. Muska grzbietami palców mój policzek, szczękę i szyję, po czym zatrzymuje się przy kołnierzu sukni. – Jestem zbyt samolubny, by nie pragnąć tego widoku za każdym razem, gdy nasze drogi będą się przecinać. Bez względu na to, czy trafisz do swojego rodzinnego dystryktu, czy pod zamarznąłą tafelą u moich stóp, zawsze będę mógł podziwiać to piękno. Cokolwiek z tobą zrobimy,

jakikolwiek wieczne męki cię czekają, nic nie zniszczy tej twarzy. Należy do mnie, tak jak ty.

Zamykam oczy, uciekając w ciemność przed tą prawdą. Nigdy nie będę jego. Należałam i należę tylko do jednego mężczyzny... jednego boga. Maximusa, mojego kochanka, mojego bohatera.

Na wspomnienie jego dotyku, jego miłości i namiętności emocje zaczynają palić mnie w gardle i znów czuję napływające do oczu łzy. Nie chcę pokazywać ich Hadesowi, bo tylko sprawiłyby mu to przyjemność.

– No już, otwórz się przede mną. Spójrz na mnie.

Odwracam głowę, sprzeciwiając się jego żądaniu. Jego westchnienie miesza się z cichym szumem wody.

– Niech ci będzie. Możesz tu zostać, jak długo chcesz, a gdy skończysz, każę cię zaprowadzić do twojej komnaty.

Rozluźniam się odrobinę z nadzieją, że zaraz zostawi mnie samą, ale gdy otwieram oczy, stoi tam, gdzie stał, wciąż obrzucając mnie drapieżnym spojrzeniem.

– Pamiętaj tylko, Karo, że wszystko, co widzisz... to, czym jesteś... wszystkie twoje dary, zdolności... należą do mnie. – Milknie, wwiercając we mnie swoje czarne oczy.

– Czas dany ci na ziemi był przywilejem, na który sobie nie zasłużyłaś. Twoje miejsce jest tutaj i nigdzie indziej.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń XXXIV (wszystkie fragmenty *Boskiej komedii* cytowane w tekście pochodzą z tłumaczenia Edwarda Porębowicza).

ROZDZIAŁ 4

Maximus

– ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ, że łatwiej było mi przełknąć, że jesteś nieślubnym synem władcy Olimpu zakochanym w demonie?

Jesse podkreśla swoje oskarżycielskie pytanie setnym zerknięciem zza pogniecionej mapy turystycznej opatrzonej wytłuszczonym nagłówkiem „Z wizytą u gwiazd”. Nie zwracając uwagi ani na niego, ani na żółte światła, mknę na zachód. Mój przyjaciel składa mapę, dopiero kiedy dzielnica nocnych klubów przechodzi w porośnięte zielenią obrzeża miasta.

– Na Roxbury skręć w prawo.

Chwilę później stajemy naprzeciw imponującej żelaznej bramy rozległej posiadłości w stylu śródziemnomorskim.

Jesse bębni palcami w deskę rozdzielczą.

– Co sądzisz?

– Sądzę, że dobrze trafiliśmy – odpowiadam i zaciągam hamulec.

A raczej wiem, że dobrze trafiliśmy, gdy tak przyglądamy się rezydencji z naszego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy. Nie chodzi nawet o samą bramę, choć dwa stykające się na środku groźne wilki robią nie lada wrażenie. Mówi mi o tym raczej energia tego miejsca, niekonwencjonalna i wyjątkowa, która dosłownie wibruje w powietrzu.

Czuć ją tak wyraźnie jak petrykorę po deszczu czy kakao w autorskiej barbajadzie Reg.

W przeszłości Kara tu bywała. I to często.

Jestem tego równie pewien, co następnego oddechu, który nie bez trudności wypełnia mi płuca.

– Tak – szepczę, pochylając się nad kierownicą, by lepiej widzieć położoną za rozłożystymi palmami i drzewami oliwnymi wielopiętrową rezydencję. – To na pewno tutaj.

Jesse kiwa głową, kończąc składanie mapy.

– A masz pomysł, jak się dostać do środka? Bo coś mi mówi, że ten malec ma całą masę kolegów. – Wskazuje niewielką kamerę ochrony umieszczoną na jednym z filarów bramy, po czym i on się pochyła, by zajrzeć do środka.

W posiadłości panuje pozorny spokój, jakby Veronica wciąż nie miała pojęcia, w jakie bagno wdepnęło dwoje z jej trojga dzieci, ale to jasne, że głowa rodziny jest w domu. Przed rezydencją stoi jej bentley, a z większości okien bije złocista poświata.

Odrywam się od kółka z pomrukiem irytacji. Jak mogłem nie wziąć pod uwagę kamer? Dawny ja, opanowany i do bólu logiczny, na pewno by o nich pomyślał. Ale wtedy żyłem tylko na pół gwizdka, nigdy nie pozwalając sobie nawet na kilka sekund utraty kontroli nad własną siłą. Tyle samo wystarczy, by wymówić teraz znajomą łacińską sentencję.

– *Ex ignes victoria.*

– „Z płomieni zwycięstwo”? – powtarza Jesse i prycha gburliwie. – Mam ci to jeszcze raz przetłumaczyć?

Kątem oka rzucam mu pogardliwe spojrzenie.

– Jasne, że nie.

– To o co chodzi? Bo nie jestem pewien, czy okrzyk bojowy Valarich jest abrakadabram, której szukasz. W kategorii zaklęć magicznych... okej, wow.

W trakcie jego tyrady skupiam się na kamerze, pozwalając, by potężne łacińskie credo wypełniło mój umysł i zmysły. Im mocniej się koncentruję, tym powietrze bardziej gęstnieje nad urządzeniem, po chwili zamieniając się w ciemną minichmurę burzową. Jeszcze chwila i następuje jej oberwanie, w komplecie z najprawdziwszymi błyskawicami.

Jesse chichocze w takt do wyładowań.

– Profesor Kane mówi dobranoc, suki.

Po wszystkim wysiadam i obchodzę furgonetkę, by rozstawić jego wózek. Gdy tylko się nań przesiada, przechodzimy na ćwiczony od piątej klasy podstawówki tryb „nindza”. Wślizgujemy się przez niedomkniętą bramę ciszej niż dwa śmietnikowe koty i przekradamy szeroką brukowaną ścieżką biegnącą wzdłuż bocznej ściany rezydencji. Oświetlające ją latarnie zdają się prowadzić na tyły.

I rzeczywiście. Chwilę później naszym oczom ukazuje się olbrzymi basen, duże kamienne palenisko, dwie marmurowe fontanny i iście hotelowa kolekcja leżaków. I co najważniejsze, dostrzegam domek gościnnie i wiodącą do niego wąską ścieżkę.

Gdy stajemy przed jego drzwiami, waham się jednak, by zapukać. Tylko czemu? To ja się uparłem, by porzucić gorącą pizzę oraz naukowy research i tu przyjechać. Teraz przez ułamek sekundy powątpiewam w słuszność tej decyzji. Boję się, że to nie senior rodu Valarich otworzy nam drzwi. Albo co gorsza, nie zechce nam pomóc.

– Serio? – bąka Jesse, zupełnie jakby na niewielkiej werandzie moje myśli zmaterializowały się w postaci hologramów. Oszczędza mi jednak wykładu i zamiast tego się pochyla, by samemu zdecydowanie zapukać.

Zza drzwi dobiera jakiś szelest.

– Jestem w gabinecie! – słyszymy.

Instynktownie obracam gałkę. Otwarte.

– Wchodzimy.

W środku widzimy wysłużone, acz czyste meble, a w powietrzu unosi się zapach herbaty owocowej i cantuccini. Już w progu czuję ucisk w piersi i rozumiem, dlaczego Kara tak lubiła odwiedziny u dziadka. Gdy powoli przechodzimy dalej, wyobrażam ją sobie siedzącą z nim przy niewielkim kuchennym stole i przytulającą się do niego na sofie pod ciepłym kocem, gdy próbuje go namówić na obejrzenie filmu.

„Tęsknię za tobą, mały demonie. Każdą komórką ciała”.

– Dalton! Do diaska, mówiłem, że tu jestem!

Męski głos prowadzi mnie do drzwi w głębi domku, za którymi znajduje się okazałych rozmiarów gabinet. W swoich pogniecionych spodniach, swetrze w romby i szylkretowych okularach siedzący w skórzanym fotelu starszy pan stanowi idealne, choć osobliwe dopełnienie sceny.

Teraz przygląda mi się spokojnie zza szkieł.

– To nie Dalton.

Kręcę głową. W odpowiedzi wciąga powietrze.

– Wiem, kim jesteś. Myślałem tylko, że gdy przyjdzie pora, to Kara nas sobie przedstawi. A ponieważ zjawiasz się tu bez niej i wyglądasz, jakbyś miał zaraz rozpętać tsunami w basenie...

Jej silny zapach w powietrzu przypomina mi, jak daleko stąd jest, i moją twarz wykrzywia grymas bólu.

– Co się stało? – wyrzuca z siebie. – Jest w niebezpieczeństwie?

Opadam na wolny fotel. Gdy Jesse przejeżdża przez próg, opieram ręce na kolanach, pochylając się, by być twarzą w twarz z człowiekiem, który chyba jako jedyny jest w stanie zrozumieć głębię mojej miłości do Kary Valari i powagę sytuacji.

Jesse wjeżdża odrobinę dalej i z kieszeni wózka wyjmuje swoje kołonotatniki.

– Potrzebujemy twojej pomocy, Giovanni. Kara jej potrzebuje.

Gio przenosi zaniepokojone spojrzenie ze mnie na Jessego, który unosi rękę na powitanie.

– Dobry wieczór. Jestem Jesse, tak na marginesie. Najlepszy przyjaciel tego tu, przez co zostałem wciągnięty na pierwszą linię frontu tej operacji ratunkowej.

– Ratunkowej? – Gio jeszcze bardziej wybałusza oczy i zaczyna mu świszcząć w gardle. – Co się stało?

– Byliśmy na randce – zaczynam. – A w zasadzie Jaden zaprosił ją na imprezę, którą organizował razem ze swoim kumplem Rerekim.

Jęk starszego pana świadczy wymownie o jego opinii o Rereku, więc postanawiam darować sobie szczegóły. Ten gad prędzej czy później dostanie za swoje, ale teraz moim priorytetem jest odnalezienie Kary.

– Rerek był w zмовie z Hadesem. – Wzdycham ciężko. – Mój wuj ją porwał.

– Tak przy wszystkich? – dopytuje Gio. – Przy śmiertelnikach?

– Na imprezie nie było ani jednej żywej duszy – odpowiadam. – Wszystko zostało ukartowane. Hades od początku miał przewagę. Zaskoczył nas, a jego siła i moce niestety przewyższają moje. Nie mieliśmy żadnych szans.

– Chcesz powiedzieć...

– Obawiam się, że Hades zaciągnął Karę do piekła... że się tak wyrażę – wtrąca Jesse. – A to oznacza, że musimy znaleźć do niego wejście. I nie mamy żadnego pomysłu. Opcji może być równie dobrze milion, co zero.

– Nie. – Valari patrzy to na mnie, to na niego. – Jest tylko jedna droga. Chyba że prowadziliście grzeszne życie i planujecie przedwczesną śmierć bez nadziei na powrót.

Oddycham z ulgą. Rzeczywiście brałem pod uwagę to rozwiązanie, ale miałem cichą nadzieję, że istnieje jakaś alternatywa.

– Dzięki Bogu.

Patrzę z niedowierzaniem, gdy starszy pan postanawia parsknąć śmiechem.

– No co? – pytam. – To by przecież wszystko uprościło.

Kiedy ponownie podnosi głowę, spodziewam się zobaczyć załzawione oczy, ale jego źrenice są rozszerzone do brzegów tęczówek przypominających opalizujące szkło.

– Czyli zdążył pan już poznać swego wuja, profesorze?

Kiwam głową.

– Zatem proszę mi łaskawie powiedzieć... w jakim świecie nazwałby pan Hadesa „prostym”?

Odchylam się, bo kusi mnie, by przykryć nerwowość bębnieniem o krawędź biurka, a te płyty wiórowe nie są tak wytrzymałe jak mój mahoniowy stół.

– Rozumiem. To znaczy, że nie umie nam pan pomóc? Czy zwyczajnie nie chce?

Kręci głową.

– Pan i moja biedroneczka rzeczywiście jesteście ulepieni z tej samej gliny.

Jesse prycha i dodaje:

– Ma pan na myśli to, że oboje są zawzięci i uparci jak osły? Czy że nie przyjmują do wiadomości odmowy?

Zrywam się na równe nogi.

– Doceniam tę lawinę komplementów, panowie, ale każda zmarnowana sekunda to dłuższe męki kobiety, którą kocham, w szponach władcy piekieł, przeciw któremu się zbuntowała.

Obaj się na mnie gapią, a w dali słychać grzmoty.

– A więc jednak ją kochasz.

Gio mówi to z mieszaniną spokoju i surowości. Wytrzymuję jego wzrok bez mrugnięcia okiem.

– Każdą komórką mojego ciała i całym sercem.

Wstaje od biurka i odwraca się sztywno, by podejść do wysokiej szklanej witryny, po czym otwiera drzwiczki, automatycznie włączając wbudowane światła. Dwie górne półki zajmują zbindowane scenariusze podobne do tych, które przeglądałem w bibliotece uniwersyteckiej, a dwie najniższe są zastawione imponującą kolekcją statuetek, w której znajduje się paru legendarnych złotych dżentelmenów z mieczami w dłoniach.

Ale Gio nie zwraca uwagi ani na swoje scenariusze, ani nagrody, które za nie dostał.

Wzrok ma utkwiony w dwóch środkowych półkach, w intrygującym zbiorze fotografii i bibelotów. Wśród nich jest fiolka apteczna w drucianym uchwycie rodem z laboratorium samego Wesaliusza, a w czerwonym aksamitnym pudełeczku spoczywa okazała złota moneta, która wygląda na rzadszą od Podwójnego Orła. Nachylam się, by lepiej się jej przyjrzeć. Na widok napisów w obcym języku dostaję gęsiej skórki.

Ale nie czas na to.

Mój wzrok spoczywa na kolekcji eleganckich spinek do mankietów. Są zakurzone i dawno wyszły z mody, to ewidentnie pamiątki specjalnych okazji. Obok leży złoty pierścionek wysadzany diamentami i rubinami, które przypominają mi rodowe kolczyki Kary. Ale jeszcze większą ciekawość budzą we mnie fotografie, którymi jest zastawiona niższa półka, a raczej powód, dla którego Gio się w nie wpatruje. Nawet z profilu wygląda jak człowiek, który pokazuje nam swoje największe skarby. W tych migawkach uśmiechniętych twarzy i rodzinnych dokonań widzimy jego najcenniejsze wspomnienia. Jego świat.

A co najistotniejsze, na większości z nich jest Kara.

– Widzę, że to twoja ulubienica.

Nasze spojrzenia spotykają się w odbiciu gładkiej witryny. Jestem dość blisko, by dostrzec, że jego tęczęwki nabierają ostrości niczym dwa diamenty do cięcia szkła, a gdy ściąga brwi, jego kości policzkowe stają się jeszcze wydatniejsze.

– Nonsens. – Macha lekceważąco usztywnioną ręką. – Kocham wszystkie moje wnuki!

– Ale nie tak jak Karę.

Gdy się do mnie obraca, jego oczy nadal przypominają dwa czarne diamenty, a twarz jest wykrzywiona w grymasie niezadowolenia.

– Tak ci powiedziała?

Wciągam głęboko powietrze.

– Opowiedziała mi co najmniej tuzin historii o tym, jak uczył ją pan współczucia, pokory, ciężkiej pracy i dobroci. Sądząc po tym, jak się różni od swojego rodzeństwa, przypuszczam, że ta różnica wynika z dodatkowej uwagi, jaką jej pan poświęcił.

– Kara ma wrodzoną skłonność do tych przymiotów. I nie tylko tych. Ja po prostu zauważyłem je u niej w dzieciństwie i pomagałem rozwijać. Bóg mi świadkiem, że pod tym względem nie było co liczyć na Veronicę.

To nie najlepsza pora na wyliczanie wszystkich silnych cech, które matce udało się jej wpoić, zwłaszcza że Gio zdążył zamienić wrogie spojrzenie na nostalgiczne. Idealny moment, by skłonić go do pomocy w naszej misji ratunkowej.

– Gio, myślę, że wie pan, co mnie tu sprowadza. I dlaczego przyszedłem prosto do pana.

Opiera się kościstą ręką o lśniące drzwiczki witryny.

– Na pewno nie dlatego, że masz choćby odrobinę oleju w głowie.

– Przyszedłem zasięgnąć języka, nie dywagować na temat mojego rozumu.

– Mądrość ma swoją cenę. Ja przed laty zapłaciłem za swoją głupotę. I nadal ją płacę, ale o tym już pewnie wiesz.

Krzywię się.

– Co chce pan przez to powiedzieć? Że ja nie jestem gotowy, by zapłacić za swoją?

– Nie chcę i nie będę snuł na ten temat przypuszczeń.

– Więc co mamy robić?

Kładzie mi dłoń na ramieniu i ściska, przygarbiony.

– Kiedyś zdołałem uciec z piekła i zapłaciłem za to niemal najwyższą cenę. – Wzdycha z rezygnacją. – Oczywiście niczego nie żałuję. Rodzina jest całym moim życiem. Ale jeśli sądzicie, że moja pozycja w dynastii Valarich może być kartą przetargową, to zapukaliście do złych drzwi, chłopcy.

Jesse niecierpliwie pociera dłońią prawe koło wózka.

– Okej, a co to dokładnie znaczy?

Gio podchodzi do zwieńczonego łukiem okna z głębokim parapetem, na którym z boku leży niewielki stos książek. Gdy opiera się biodrem o ten prowizoryczny kącik czytelniczy, wygląda na pokonanego. Mój niepokój rośnie wprost proporcjonalnie do jego rezygnacji.

– To, że pod kątem pociągania za piekielne sznurki nie mogliście postawić na gorszego konia.

Cofam to o rosnącym niepokoju. Moje przerażenie sięga zenitu, grożąc iście wulkaniczną erupcją.

– Panie Valari, druga połówka mojej duszy jest zakładniczką w piekle – cedzę z mocą zdesperowanego człowieka. – Więc jeśli myśli pan, że szukam konia wyścigowego, to muszę pana rozczarować.

Krzywi się.

– Sądziłem... cóż, sądziłem, że teraz możecie zwrócić się do potężnych... postaci. Jeśli nawet nie do twojego ojca...

– Nie – ucinam. – Zeus jest równie rzetelny, co fachowiec od naprawy aparatów w budkach telefonicznych.

Gio unosi gwałtownie przyprószone siwizną brwi.

– Ale wie, prawda?

– To i tak nic by nie zmieniło. Oficjalnie Kara jest poddaną Hadesa. Upominanie się o nią groziłoby katastrofą w ziemskim świecie.

Ale moje tłumaczenia są zbędne. Twarz Gio na powrót wykrzywia się w grymasie podobnym do mojego.

– A kobieta, która pomagała cię wychowywać? Ta olimpijska strażniczka? Która nawet przez chwilę nas szpiegowała?

– Regina – wyrywa mi się. – Skąd wiedziałaś?

– Nie wiedziałem – przyznaje. – A przynajmniej nie od razu. W końcu dodałem dwa do dwóch, ale wtedy już chyba uważała mnie za sprzymierzeńca. – Unosi kącik ust. – Machnąłem ręką na jej motywy. Wychowując troje tryskających energią dzieci, byłem wdzięczny za każdą pomoc. Szczerze żałowałem, kiedy Veronica ją zwolniła. – Potrząsa głową, skupiając wzrok z powrotem na mnie. – Co się z nią stało? Nie mogła tak prędko wrócić na Olimp.

– Jedenaście lat to jednak kawał czasu – odpowiadam.

Wzrusza ramionami.

– W każdym wymiarze czas płynie inaczej.

– Tak czy siak to nie na Olimp musimy się teraz dostać – odbijam piłeczkę. – Więc na Reginę też nie postawię.

– Dobrze więc. – Gio wstaje i spod sterty papierzyk na biurku wyciąga dziennik, w którym zapisuje coś zdecydowanym ruchem. Wymieniamy z Jessem pytające spojrzenia nad jego przygarbionymi plecami. Odprawi nas czy da nam jakiś punkt zaczepienia? Coś, co zbliży nas do odnalezienia Kary?

Jestem gotów błagać, gdy Gio wreszcie się prostuje, wrywa kartkę z dziennika i mi ją wciska.

– Bierz, zanim zmienię zdanie i odmówię wam pomocy, szaleńcy.

Chwytam ją, zanim wcieli swoją groźbę w życie. Widnieje na niej adres przy Sunset Boulevard, blisko, jakieś pięć–sześć mil od rezydencji.

– Dlaczego jesteśmy szaleńcami? Co mam zrobić z...

– Spotkajmy się tam za godzinę – odpowiada ochryłym głosem. – Ale najpierw musisz się przebrać. To nie spacer po targu, tylko podróż do piekła. Potrzebny ci będzie odpowiedni strój. Zostaw wszystkie cenne rzeczy. Jeśli ma nam się udać, będziesz potrzebował tylko swojego

umysłu... i mocnego żołądka. Moce odziedziczone po twoim ojcu też mogą się przydać.

Zanim mam szansę przetrwać jego słowa, zza moich pleców podjeżdża Jesse.

– Dziesiąta zero cztery – oznajmia. – Możesz zostawić wszystko u mnie.

– Nic z tego – odpowiadam. – Idziesz z nami.

– Daj spokój, stary. – Nie zdejmując łokci z oparcia wózka, rozkłada ręce. – Na nic się wam nie przydam. Jak wiemy, nasze prawa fizyki nie mają tam zastosowania.

Zupełnie jakby natura chciała podkreślić słuszność jego argumentacji, nagle nie mogę zaczerpnąć pełnego oddechu. Bolą mnie płuca i czuję przyspieszone bicie serca.

– Do diabła, North.

– Mam rację i dobrze o tym wiesz. A poza tym potrzebny ci będzie skrzydłowy pierwszej klasy.

– No tak – bąkam.

Nie czekając na finał naszej dysputy, Gio wybiega z gabinetu i zanim pojawiamy się na korytarzu, jest już w sypialni i wyrzuca ubrania z szafy jak nastolatek szukający idealnego stroju na randkę.

Tyle że ta wycieczka w niczym nie będzie przypominała wieczornego wyjścia z dziewczyną. Nie mam pojęcia, co nas czeka, ale nagroda jest warta każdego niebezpieczeństwa.

Zrobię wszystko, by znów trzymać w boleśnie pustych ramionach kobietę mojego życia.

ROZDZIAŁ 5

Maximus

ZAPARKOWAŁEM PO DRUGIEJ STRONIE ULICY, naprzeciwko adresu, który dał mi Gio, co teoretycznie oznacza, że jestem krok bliżej od Kary. Ale zaczynam wątpić w powodzenie bądź co bądź zapoczątkowanej przez siebie misji.

Jak w przypiływie szczerości sama mi wyznała, Gio jest najbliższą jej osobą na świecie. Ale teraz nie mówimy już o naszym świecie, a ostatni zwrot akcji każe mi podać w wątpliwość nie tylko to, czy jej dziadek może nam pomóc, ale i pełnię jego władz umysłowych.

Wyblakłe czerwone litery szyldu wiszącego na legendarnym budynku przed nami, choć trafne, zdają się bezlitośnie ze mnie szydzić. Rozstaje Świata, niemal zapomniana miejscówka Hollywood, to idealna nazwa dla zejścia do Dis – gdyby nie brzmiała tak absurdalnie.

– To chyba jakiś żart.

– Chyba jednak nie, stary. – Jesse wskazuje słomką od napoju fasadę kościoła obok. W niszach po obu stronach zwieńczonego misternym łukiem okna stoją dwie smukłe postaci, które bynajmniej nie wyglądają na kumpli Hadesa. Rzeczywiście, wydaje się, że Gio wyznaczył to miejsce jako punkt zborny nie bez powodu. Mój niepokój rośnie, choć i tak od niedzielnej

mszy wolałbym się wybrać na przechadzkę po tych opuszczonych arkadach.

– To czemu już dostaję wysypki?

– Hm? – Jesse odwraca się do mnie.

Wciskam guzik opuszczający tylną klapę.

– Wiesz, jak reaguję na takie miejsca.

– Przez tamtą starą historię? – woła za mną, gdy wydaję jego wózek.

– To wcale nie było tak dawno.

– Jak pamiętam, byliśmy w jedenastej klasie.

Stawiam wózek przed otwartymi drzwiami od strony pasażera.

– I to nie ciebie zwyzywano od szatańskich dziwołógów po tym, jak uratowałeś syna pastora przed przygnieceniem przez krzyż ołtarzowy – mruczę pod nosem, gdy Jesse przesiada się na wózek, ale mój głos ginie w zgiełku ulicy. Może to i lepiej. Ostatnie dziesięć dni tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że jestem inny niż wszyscy, a spaczona opinia tępaków na mój temat nijak się mają do prawdy. Może pora porządnie sprawdzić to przekonanie na gruncie praktycznym.

Choć przelotna, ta myśl przygotowuje mnie psychicznie na to, co mnie czeka w progach świątyni, gdy pcham wózek Jessego, przechodząc na drugą stronę ulicy. Jesteśmy już prawie przy wejściu, gdy moich uszu dobiega głośnie skrzypnięcie szerokich drzwi, w których staje jakaś postać. Jest ubrana podobnie do mnie, w sportową koszulkę z długim rękawem, spodnie cargo w kolorze khaki i porządne buty. Ale w odróżnieniu ode mnie do lewego boku przyciska skórzaną listonoszkę. Jest niewielka, ale na tyle wypchana, by zwrócić moją uwagę.

– Mówiłem, że to nie żart – rzuca przeciągle Jesse, gdy skręcamy na podjazd dla wózków.

– Jak widać. – Jestem coraz bardziej ciekawy, co tu robimy. Za kilka sekund otrzymam odpowiedź z pierwszej ręki.

Od człowieka, który przytrzymuje nam drzwi.

W środku panują cisza i chłód. Powietrze jest przesiąknięte zapachem drewna, starego wosku i dymu świec. Znajdujemy się w katedrze z wysokimi nawami bocznymi i renesansowym sufitem, pod którym rozciągają się witraże. Daleko przed nami znajduje się okrągła sklepiona wnęka z lśniącym marmurowym ołtarzem.

– Tak. Wysypka – bąkam pod nosem. – Co właściwie my tu robimy?

„I dlaczego jesteśmy tu akurat teraz?”

Choć to ostatnie pytanie zadaję sobie w duchu, nie mniej mnie nurtuje. Jest późny niedzielny wieczór, a my znajdujemy się w miejscu zbudowanym dla tysiąca wiernych. Za jakie sznurki musiał pociągnąć Gio, bądź co bądź patriarcha dynastii półdemonów, byśmy mieli je tylko dla siebie?

Stwierdzam, że lepiej tego nie wiedzieć, co nie przeszkadza mi się przyjrzeć nieufnie Gio, gdy do nas podchodzi. Ma zaciśnięte szczęki i zdeterminowany wyraz twarzy.

– Obawiam się, że nie możesz się udać w tę drogę sam, Maximusie. I mimo wszystko postanowiłem, że będę twoim przewodnikiem...

– Ale? – wchodzę mu w słowo, bo czuję tu jakiś haczyk.

– Ale nie jestem jedynym biletem, który musisz kupić. Zastanów się nad wagą swojej prośby. Chcesz, by wszechświat się dla ciebie nagiął, a nawet pękł, byś mógł przekroczyć granice rzeczywistości.

Widząc jego niezmacony spokój, mam wrażenie, że zaraz z nieba spłynie anioł, by ozdobić jego głowę aureolą. I dobrze się składa, bo zaczynam rozumieć, do czego zmierza.

– Czyli tak to działa? Jak drzwi, do których musimy się włamać?
Złamać jakiś kosmiczny szyfr?

Wciąga powietrze jak człowiek gotowy na wszystko.

– Tak mi się wydaje.

W skroniach czuję nadciągający ból głowy.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz... auć!

Padam ofiarą wózka Jessego, którego właściciel na dobitkę piorunuje mnie wzrokiem.

– Stary, chyba musisz sięgnąć po mentalny śpiewnik i otworzyć na hymnie ku ukojeniu duszy.

– A co ma z tym wspólnego moja dusza?

– Wszystko.

Słyszając pełną nabożnej czci odpowiedź Gio, podnoszę głowę i odwracam się, doznając... olśnienia?

Moje zmysły wyostrzają się niczym oświetlone promieniem słońca padającym przez jeden z witraży, podobne odwadze, która błyszczy teraz w mądrych oczach Gio Valariego.

– Kiedyś udało mi się uciec z piekła, Maximusie, co nie znaczy, że zaznaczyłem drogę okruszkami. I bynajmniej nie wręczyli mi kluczy do miasta, gdy okrzyknięto mnie Ściganym Numer Jeden. – Na jego ustach tańczy znaczący uśmiech. – Żeby się tam przenieść, nie wystarczy machnąć przeklętą różdżką i podrzucić parę magicznych kamyków.

– Ale znasz drogę, prawda? – nie ustępuję. – Choćby jedną?

Przyznaję, ten człowiek raczej nie spędził ostatnich pięćdziesięciu lat życia na rozmyślaniach, jak wrócić do swojego największego koszmaru, ale żeby nigdy nie przeszło mu to przez myśl... W to nie uwierzę, przykro mi.

– Tak – przyznaje w końcu. – Myślę, że znam.

– Bogu niech będą dzięki. – Ponieważ jeszcze nigdy nie wymówiłem tych słów równie szczerze, unoszę dziękczynny wzrok na majestatyczny krzyż na końcu nawy. – To co teraz? Od czego zaczynamy?

Gio bierze kolejny głęboki wdech.

– Tak się składa, że od zastosowania się do rady twojego przyjaciela. Od ukojenia duszy.

Jesse chichocze.

– Może jednak na coś ci się przydam.

Wtóruję mu cicho.

– Jeszcze nie raz.

– Tutaj. – Gio przywołuje mnie gestem do kamiennego piedestału na tyłach kościoła. Gdy podchodzimy do okrągłej chrzcielnicy z wodą święconą, sięga do torby i wyjmuje znajomy przedmiot: starodawną fioletkę ze swojej kolekcji.

– Tak sądziłem, że jest ważna.

Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Pochodzi ze zbioru siedemnastowiecznego mnicha, który w sekrecie parał się chemią i fizyką. W odróżnieniu od wielu sobie współczesnych nie uważał nauki i religii za przeciwstawne, lecz uzupełniające się siły. Był tak przekonany o ich zbieżności, że zakradł się do baptysterium w bazylice Świętego Piotra i zanurzył siedem fiolek w wodzie święconej. Do dnia dzisiejszego zachowały się tylko cztery. – W jednej ręce unosi szklane naczynie, a w drugiej korek. – A za chwilę mogą zostać tylko trzy.

Czyli jednak przynajmniej częściowo to przemyślał. Jakby czytał w moich myślach, Gio odwraca się, by mi je oddać.

– Lepiej nie zostawiać nic przypadkowi – mówi.

– Święta racja – wtóruje mu Jesse, podjeżdżając bliżej. – Boski eliksir w rękach boga.

– Półboga – poprawiam go zamiast zaprotestować, gdy Gio wręcza mi fiolkę i korek.

– To wciąż lepiej niż ręce uciekiniera z piekła – odparowuje.

Zaczerpnienie w nią wody święconej jest jak przepłynięcie płytkiego basenu: szybkie i niewymagające wysiłku czy namysłu – to jest do momentu zakorkowania. Robiąc to, rzucam ostatnie spojrzenie w płytką wodę chrzcielnicy, w swoje odbicie.

Które przestało nim być. Twarz, którą nagle widzę, należy do kogoś innego. Do jedynej duszy, która ani na chwilę nie znika z moich myśli, pamięci i serca.

– Jak to możliwe...

W świątyni rozlega się dźwięk tłuczonego szkła przemieszany z przekleństwem Gio.

– Kane!

Wtóruje mu syknięcie Jessego, jakbyśmy byli na mszy, a on strofowałby mnie za zakłócenie nabożnej ciszy. Ale ja jestem świadkiem dużo większego cudu. Gio szarpie mnie za rękę, gdy bocznymi drzwiami wpada do środka wzburzony ksiądz. Równie dobrze mogłaby to być jednostka specjalna w pełnym rynsztunku, bo żadna siła nie jest w stanie mnie stąd ruszyć. Nie wyjmę ręki z tej wody, choćby się waliło i paliło. Nie zrobię tego, dopóki nie sięgnę jej twarzy.

– Kara. – Zanurzam dłoń głębiej, rozpaczliwie pragnąc jej dotyku. Wyciągam palce, modląc się, by poczuć między nimi jej jedwabiste kosmyki. Ciepły policzek. Naprężoną szyję. Sprawia wrażenie zimnej. Pokonanej. Osamotnionej. Gdybym mógł na ułamek sekundy jej dotknąć... Na najkrótszą... z... chwil...

– Kłamca! – krzyczy na Gio ksiądz. – Obiecywałeś, że niczego nie dotkniecie!

Podnoszę głowę, wyjąc jak zwierzę. Słyszając to, ksiądz milknie i przystaje. Biedaczysko. Nie chciałem mu tego zrobić, ale pragnienie dotknięcia twarzy w wodzie jest silniejsze. Twarzy, która jest moją obsesją. Powodem, dla którego żyję. Całym moim światem.

– Kara, kochanie... Jestem tu...

Ale jej beznamiętne spojrzenie mówi mi, że mnie nie słyszy. Nie czuje. Ta świadomość jest nie do zniesienia.

Gio bierze mnie pod ramię i próbuje mnie odciągnąć.

– Szybko! Musimy stąd iść!

– Chwila – powstrzymuje go Jesse. – Nie możemy wyjść bez święconej wody, zgadza się?

– Za późno – odpowiada z rezygnacją Gio. – Fiolka się stłukła.

Słyszę ich stłumione głosy, na powrót zanurzając palce w wodzie i rozpaczliwie próbując dosięgnąć kobiecej postaci, która jednak zdążyła się rozpląnąć w jej odmętach. Jesse ma rację, ale Gio również. Ta woda jest ważna i poprzysięgam sobie, że bez niej nie wyjdę, ale fiolka... Z bezcennego naczynia Gio zostały tylko szklane odłamki na kościelnej posadzce.

– Proszę – mówi pewnym siebie głosem Jesse. – Pobłogosławiony tylko przez dziewczynę w okienku na wynos, ale lepsze to niż nic.

Gio zerka na biegnącego ku nam księdza.

– W porządku. Ale musimy się spieszyć.

Fastfoodowy kubek Jessego jest ostatnim, co chciałbym oglądać w rajskich odmętach, w których zniknęła twarz mojej ukochanej, ale niemal w tej samej chwili zdaję sobie sprawę, że to tylko iluzja, która miała mnie omamić, chimera wyczarowana być może przez samego Hadesa, bym

zboczył z obranej drogi. Nieświadomy mojej wizji Gio zanurza kubek w misie i teraz jedyna twarz, którą widzę, należy do wytłoczonego na nim superbohatera. Dopiero wtedy tracę resztki nadziei.

Kara zniknęła.

A do mnie na nowo dociera brutalna prawda.

Do piekła nie ma dróg na skróty, a my stąpamy po omacku, stawiając krok za krokiem. Im szybciej się z tym pogodzę, tym szybciej tam dotrzemy. Poprzysięgam to sobie i odwracam się do Gio, któremu to samo mówi moje zdeterminowane spojrzenie. Nie czekając ani sekundy, zaciskam zęby, uspokajam oddech i odbieram od niego napełniony kubek oraz wieczko od Jessego, po czym spoglądam z szacunkiem na starszego pana, którego determinacja dorównuje mojej.

– To co nas czeka po drugiej stronie lustra, dziadziu?



Gio zajmuje fotel pasażera, więc Jesse musi się zadowolić wyrażeniem opinii o naszym następnym przystanku z tylnego siedzenia.

– Piekło przy tym to bułka z masłem.

– Widzę, że humor pana nie opuszcza, profesorze North – odparowuję.

Nie dając mu szansy na kontrę, wyskakuję z furgonetki i podchodzę do cienkiego łańcucha z kłódką przy czarnej bramie cmentarza, który rozrywam jednym wprawnym ruchem.

– Świetny system bezpieczeństwa, nie ma co – stwierdza mój przyjaciel, gdy przejeżdżamy przez bramę. – I to by było na tyle, jeśli chodzi o żarty.

Nie zwracając uwagi na nasze ironiczne uwagi, Gio pochyla się nad deską, by objąć wzrokiem rozległy zielony trawnik naszpikowany idealnie utrzymanymi nagrobkami.

– Zatrzymaj się tu na chwilę.

Zwalniam tuż przy wjeździe do części cmentarza, w której są pochowane hollywoodzkie sławy, rozglądając się razem z nim. Jedwabiste promienie jesiennego księżyca otulają srebrną poświatą niezliczone groby prominentów, od dyplomatów przez dysydentów po debiutantki.

– Byłem tu raz w letnim kinie pod chmurką – mówi melancholijnie Jesse. – Ale to była randka z tancerką, która bynajmniej nie przyszła na film, więc nie miałem okazji się rozejrzeć. Wiedzieliście, że Fay Wray jest tu pochowana? I Johnny Ramone?

– A nagroda za najdziwniejszą wypowiedź wieczoru wędruje do profesora Northa – mruczę pod nosem. Słyszac mój drażliwy ton, Jesse rezygnuje z odbicia piłeczki, za co jestem mu niewymownie wdzięczny.

Po drodze dziadek Kary zdążył mniej więcej wprowadzić nas w swój plan. Na myśl o tym, co robimy, momentalnie trzeźwieję. To się naprawdę dzieje. Za chwilę dam nura w otchłań piekła. Jeśli to w ogóle możliwe...

Przeszłyby mnie ciarki, gdyby przed oczami nie stanął mi jedyny obraz, który ma moc zepchnąć wszystko inne na dalszy plan.

Moja Kara. Przypominam sobie kościół i jej piękną twarz w migotliwej wodzie. Piękną i żywą. Demon czający się w wodzie zarezerwowanej dla aniołów. Jej obraz wlał w moje serce nową nadzieję i odwagę, gdy najbardziej tego potrzebowałem.

Teraz czepię z nich pełnymi garściami, chcąc jak najszybciej rozpocząć wędrówkę.

– W porządku – mówię niecierpliwie. – W którą stronę teraz?

– Chyba... w lewo – odpowiada Gio. – Pamiętam jezioro...

– Pan też był tu na randce z tancerką? – pyta Jesse.

– To tu piekło mnie wypluło – poprawia go Gio.

– Hm. – Jesse opiera się o siedzenie, a naszym oczom ukazuje się jezioro. – Muszę zapamiętać ten tekst, na wypadek gdybym chciał kiedyś uciąć jakąś rozmowę.

Nie tylko rozmowa nagle się kończy. Gdy wjeżdżamy głębiej, brawura, której jeszcze przed chwilą miałem pod dostatkiem, zaczyna się ścinać w moich trzewiach. Zapominam, że obecność w tym miejscu to spełnienie marzeń historyka Fabryki Snów. W mroku nocy groby to tylko groby. Księżyc wędruje wyżej po niebie, rzucając zza drzew promienie przypominające wiązki projektora z zamierzchłych hollywoodzkich czasów, ale bynajmniej nie przyjechaliśmy tu złożyć wieńca pod kryptą Judy Garland.

Odwracam się, wskazując brodą mojego najlepszego przyjaciela.

– Na pewno trafisz stąd do domu?

– Jeśli jeszcze raz mnie o to zapytasz, włamię się do twojego mieszkania i poprzestawiam ci książki według alfabetu syngaleskiego. – Marszczę brwi we wstecznym lusterku, na co odpowiada pewnym siebie uśmiechem. – Dam sobie radę, naprawdę. Miłego szturmu na bramy piekła, chłopcy.

– To tu! – woła nagle Gio, pokazując palcem. – Na sto procent.

Zatrzymuję furgonetkę z nadzieją, że ten entuzjazm świadczy o prawdziwości jego przeświadczenia. Ale czy mogę ufać człowiekowi, który nie ukrywa radości na myśl o powrocie w zaświaty?

Obrzuca mnie poważnym spojrzeniem.

– Jesteś gotowy?

Wciągam powietrze.

– Bardziej nie będę – odpowiadam równie posępnym tonem. Kiwa głową, wszystko rozumiejąc.

– To wystarczy – mówi. – Chodźmy.

Przestawiwszy furgonetkę na ręczne sterowanie, pośpiesznie przenoszę Jessego na fotel kierowcy.

– Wszystko w normie?

Sprawdza silnik i hamulce i pokazuje mi podniesiony kciuk.

– Chodzi jak w zegarku. Powiadomię kadry, że masz zarazę i siedzisz na kwarantannie.

Wzruszam ramionami.

– W ten wykręt nie uwierzy nawet połowa moich studentów...

– Tak, ale to zawsze niemal połowa. – Puszczam mi perskie oko, po czym poważnieje. – A tak serio, to nie każ mi tu po ciebie przyjeżdżać. Żadnego zwiedzania. Bierz Karę i do domu. Nie muszę ci mówić, że uniwersytet to łyknie, ale Reg już nie. Za parę dni zaczną się dobijać do twoich drzwi, a później do moich. Już i tak wiesz mi mnóstwo gorzały, a teraz jeszcze przekażę jej wieść, że nie została zaproszona na tę eskapadę.

– Trudno, tak musi być. Nie wiem, ile powiązań nadal ma z Olimpem, a im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Nawet Regina to zrozumie. – Przerywam, by odchrząknąć. – Chociaż kto wie – dodaję, zawiązując but – może się okazać, że to nie pojedynek z Hadesem będzie punktem kulminacyjnym moich wakacji.

Jesse zdążył już wyjąć swoją żelową łapkę, która teraz ląduje na moim policzku.

– Po prostu wróćcie tu w jednym kawałku – mówi cicho jej właściciel.

Gdy odklejam od twarzy żelowy gadżet, wbrew sobie parskam śmiechem.

– Skoro tak ładnie prosisz...

Moja wesołość się ulatnia, gdy widzę oddalającego się Gio. Spodziewam się, że ruszy w stronę sporego jeziora po drugiej stronie drogi albo znajdującego się tuż przed nami dużego mauzoleum, ale on schodzi po betonowych schodkach, kierując się w stronę nagrobka pod pobliskim pagórkem. Żegnam się z Jessem, ostrożnie biorę kubek z superbohaterem oraz wodą święconą i idę za nim.

U podnóża schodków rozciąga się szeroki taras prowadzący do podłużnej sadzawki lustrzanej. Gdy tylko udaje mi się odczytać nazwisko na płycie nagrobnej, moje usta wyginają się w uśmiechu.

– Douglas Fairbanks?

– Starszy i młodszy – potwierdza senior rodu Valarich.

– Zorro, Robin Hood i Gunga Din?

– Imponująca wiedza. – Odbiera ode mnie kubek.

– Dobre filmy przygodowe i akcyjniaki zawsze w modzie – odpowiadam.

– Pamiętaj o tym, synu.

– Obiecuję. Ale każda historia zyskuje, gdy wszystko się klei. – Wskazuję sadzawkę. – Na pewno jesteśmy we właściwym miejscu?

– Jeśli przyjąć, że wyjście to również wejście.

Choć spodziewałem się podobnej odpowiedzi, bynajmniej mnie nie uspokaja. Wręcz przeciwnie, fakt, że nasza wędrówka rozpoczyna się od cmentarza, uruchamia jeszcze głośniejszy alarm w mojej głowie.

Jeden głos błaga o więcej czasu, inny z kolei twierdzi, że czas już dawno mi się skończył. Zerkam na Gio i już wiem, że on walczy z takim samym natłokiem myśli. W końcu drżącymi palcami zdejmuje wieczko z kubka i rusza. Ani na chwilę się nie zatrzymuje. Gdy już myślę, że muszę go chwycić, żeby nie wpadł do mętnej wody, mruczy coś pod nosem.

– „Być może kiedyś przyjemnie będzie wspominać i to wydarzenie”.

Jestem tak zaskoczony, że aż nieruchomieję.

– Dziwny moment na cytowanie Wergiliusza...

– Te słowa wypowiedziałem, gdy byłem bliski... – zaczyna.

– Bliski czego?

– Śmierci. Kiedy czułem jej oddech na karku.

W tych znajomych wersach nagle odnajduję spokój, którego w tej chwili tak bardzo potrzebuję. Bo wiem, że bez względu na to, czy zostało mi kilka sekund, czy kilka stuleci życia, w ostatnich chwilach będę myślał o niej.

– Kara.

Szeptuję jej imię w tej samej chwili, gdy Gio wylewa do sadzawki zawartość kubka.

Powtarzam je, gdy wody zaczynają się pienić i pulsować światłem, odsłaniając przed nami bezkresną głębię.

W którą Gio nagle nurkuje, momentalnie znikając w odmętach.

– O chol... – wyrywa mi się, gdy zamykają się za nim niczym kurtyna na scenie.

W jednej chwili zaczynają przypominać rozciągnięte na sztalugach płótno, na którym tańczą tysiące barw i odcieni światła układających się w całość. W najpiękniejszą twarz.

– Dziękuję – mówię z taką samą płynącą z serca wdzięcznością, jaka ogarnęła mnie w kościele. Powtarzam te słowa, gdy obraz mojego anioła nabiera ostrości i wyrazistości.

Oddech rwie mi się w gardle. Kara wygląda niemal tak samo jak w tamtej chrzcielnicy. Jest mokra, naga i taka piękna. Gęste atramentowe

pukle opadają jej na ramiona, rozdzielając się na wysokości sterczących, jędrnych piersi. I tym razem kogoś wzywa.

Jedno uderzenie serca...

Drugie...

Nagle czuję, że serce zupełnie zamiera mi w piersi. Nie dlatego, że z ruchu jej warg odczytuję swoje imię, ani nawet ze względu na strach, który widzę w jej oczach, drżącym podbródku i opuszczonych barkach.

Ma szeroko otwarte oczy. Wygląda na zagubioną i zdezorientowaną. Wpatruje się we mnie, wyciągając do czegoś rękę.

Tylko do czego?

Albo... kogo?

Opuszki jej palców są tak realne – jednak nie dość, by przekroczyć granicę iluzji. Przyciska dłonie do tafli wody, jakby była dzielącą nas szybą, zza której nie jestem w stanie usłyszeć, co do mnie mówi.

Czuję jej obecność tak jak bicie własnego serca. I wiem, że ona też mnie widzi. Że to mnie tak rozpaczliwie próbuje dotknąć. Wstępuje we mnie nowa siła, wtłaczając energię w ścięgna mięśni i szpik kości. Moje zmysły wyrywają się w odpowiedzi na jej wołanie, jej modlitwy. Na widok jej pustych ramion poprzysięgam sobie, że wkrótce się w nich znajdę.

– Kara!

Biorę ostatni haust wieczornego powietrza. Jeszcze nigdy nie byłem tak przerażony, a zarazem zdeterminowany. Ale ufając nadziei w jej błyszczących oczach, robię ostatni krok w stronę nieznanego losu... z wiarą w bogów i szepcząc wersy, które w czarną godzinę zawsze podtrzymywały mnie na duchu.

– „Z miejsc idę, które znów oglądać życzę, [m]iłość mię wiodła i teraz mną włada”*_.

Raz jeszcze wymawiam jej imię, by jego magia wyryła mi się w sercu i duszy, wlewając w nie siłę, i nurkuję w odmętach. Gdy moje ciało przecina lustro wody, w duchu składam ostatnią przysięgę wobec wszechświata.

Odnajdę ją.

Bez względu na to, jak ciemny ocean się przede mną rozciąga, jak przepastne jest to piekło, ile razy będę musiał wypuścić powietrze z płuc.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń II.

ROZDZIAŁ 6

Kara

ZBYT DŁUGO WPATRUJĘ SIĘ W SWOJE ODBICIE. Oczy mnie pieką i ogarnia mnie kolejna fala beznadziei. Część mnie chce się sprzeciwić Hadesowi i uciec do azylu mojej zimnej, surowej komnaty. Ale inna część zastanawia się, czy to ostatnia namiastka luksusu, jakiej dane mi będzie zaznać do końca wieczności.

Zostaję więc w tej wykwintnej łazience, jakbym przyrosła do posadzki, bojąc się poruszyć. Bojąc się wszystkiego...

Woda w wannie marszczy się, kłębiąc się delikatnie, jakby mnie przyzywała. Zanim jednak odpowiem na zachętę, oglądam się nerwowo przez ramię. Hades wyszedł, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie jestem sama.

Drżąc, wypuszczam powietrze i zmuszam się, by ruszyć z miejsca. Nad wodą zaczyna się unosić lekka para, ogrzewając mi dłonie. Co z tego, jeśli Hades zwabił mnie tu, bym oddała się podziwianiu swojego fizycznego piękna, które wkrótce stanie się moim przekleństwem? Rozluźnię ramiona, gotowa się z tym pogodzić, ale nagle para zaczyna wirować i gwałtownie wracam do rzeczywistości. Zdumiona cofam rękę. Czy to możliwe, by reagowała na mnie i moją bliskość?

Para gęstnieje, przypominając teraz lekkie chmury. Mrużę oczy, gdy zaczynają przybierać dziwnie znajome kształty. Instynkt każe mi się cofnąć i uciekać, ale jestem zbyt zafascynowana, co zdaje się moją słabością w piekle. Jestem tego świadoma, lecz i tak nie potrafię zapanować nad ciekawością, nie mogę się jej pozbyć niczym natrętnego kompana. Stała się nieodłącznym tłem dla moich myśli, myśli, które niezmiennie biegną do Maximusa i mojego dawnego życia. Teraz wpatruję się w parę równie intensywnie, co przed chwilą w lustro, choć tym razem jestem przeświadczona, że widzę w niej coś więcej. Cząsteczki wydłużają się w kosmyki o barwie miodu, które niegdyś plątałam w palcach w chwilach uniesienia. Przez ten obraz przeziiera połyskująca tafla wody, niczym spojrzenie błękitnych oczu mojego ukochanego.

Zaciskam powieki, odsuwając się od tej kuszącej iluzji. Maximusa już nie ma. Tamto piękne życie, którego z nim zaznałam, odeszło na zawsze.

– Nie bój się. – Ściany rozbrzmiewają echem perlistego aroganckiego śmiechu.

Odskakuję i odwracam się w stronę drzwi. W progu stoi elegancka kobieca postać. Ubrana w obcisłą czarną skórę przypomina szkic z pracowni jakiegoś projektanta. Gdy podkrada się do mnie jak kot, jej kościste ramiona i biodra pasują bardziej do wygłodzonego zwierzęcia.

Gdybym nie była w piekle, uznałabym ją za modelkę z wybiegu. Głowę ma owiniętą czarnym muślinem, który przysłania również jej twarz. Zza chusty wyzierają tylko jej niepokojące okrągłe, ciemne oczy. Jestem tak zajęta przyglądaniem się jej, że zapominam, by się cofnąć, i nagle stajemy twarzą w twarz. Muślin unosi się lekko, jakby się uśmiechała, ale cała reszta, przede wszystkim jej królewska sylwetka, świadczy o pewności siebie.

Zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Wypuszczam powietrze tylko po to, by znów go zaczerpnąć.

– Mówiłam ci, Karo, żebyś się nie bała – powtarza szeptem, ale nadal znać w jej głosie rozbawienie. Jakby to było strasznie zabawne. Przynajmniej dla niej.

– Ciebie czy...? – Spoglądam na taflę wody, która zdążyła wrócić do poprzedniego stanu.

– Niczego. Doradzam akceptację. Tu strach rodzi tylko strach.

Nie mam pojęcia, kim jest ani dlaczego przyszła się ze mną zobaczyć, ale mój rozgorączkowany umysł stwierdza, że jej rada jest rozsądna. Nie ma sensu na każdym kroku kulić się ze strachu. Choć niełatwo wprowadzić tę radę w życie w tak obcym i przerażającym miejscu.

– Kim jesteś?

Kiwa ze zrozumieniem głową.

– No tak, w tej postaci trudno mnie rozpoznać.

Powoli rozwija chustę i pozwala, by opadła jej na ramiona. Jest wychudła, lecz osobiwie piękna. Ma przyglądzone krótkie czarne włosy i, tak jak przypuszczałam, uderzająco przenikliwe oczy.

Ja miałabym ją rozpoznać? Jakim cudem? Przecież nie mam tu żadnych znajomych.

Mieszka tu tylko...

– Jesteś moją...?

– Oczywiście, że tak. Jestem twoją babką.

Kiwam w milczeniu głową, próbując doszukać się w niej rysów twarzy z tych kilku starych fotografii, które widziałam. Na większości stoi pod rękę z dziadkiem, grając rolę, do jakiej ją wyznaczono. Zawsze się zastanawiałam, w którym momencie uzmysłowił sobie jej zdradę. Czy jego

uśmiech na tych fotografiach jest szczery, czy też może przywdział klasyczną hollywoodzką maskę na potrzeby kamer i aparatów.

Ale wystarczy jeden rzut oka na kobietę-demoną, która wydała na świat moją matkę, by wiedzieć, jak to się stało, że oczarowała dziadka. Mimo to jej uroda rodzi tylko kolejne pytania.

– Wyglądasz jak ja. To znaczy jesteś... – Skubię nerwowo wnętrze wargi.

Znów się śmieje.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem ohydną bestią z piekła rodem?

W odpowiedzi na usta ciśnie mi się uśmiech.

– Coś w ten deseń.

Zerka za moje plecy i krzywiąc się, zakłada z powrotem chustę.

– Mały efekt uboczny mojego pobytu na ziemi. Czasami... czasami wracamy odmienieni.

– To jeszcze nie tragedia. – Szczerze mówiąc, to daje mi nadzieję. Może i ja nie zamienię się tu w demoniczną poczwagę.

– Zależy jak na to patrzeć. – Machnąwszy sobie ręką przed twarzą, wskazuje lustro za moimi plecami. – Ale to bynajmniej nie powód do radości, a na pewno nie tutaj. Sama się przekonasz.

Na pierwszy rzut oka nie dostrzegam niczego dziwnego w naszych odbiciach. Jestem taka sama jak przed momentem, ale przyjrawszy się bliżej jej kościstej eleganckiej sylwetce, zdaję sobie sprawę, że coś jest nie tak. Jej paznokcie są połamane i zszarzałe, a skóra dotknięta przez rozkład. Eleganckie, zmysłowe odzienie wygląda absurdalnie na tym szkielecie kobiety.

Przełykam z trudem i odwracam się, napotykając jej spojrzenie zza cieniutkiego welonu.

Widzę w nim zrozumienie, ale i wspólną niedolę. Ja też będę musiała się ukrywać.

– Lustra to zwierciadła prawdy, Karo. Oczy bożka. Nie zapomnij o tym – szepce.

Kiwam głową, by wyryć sobie w pamięci jej słowa, i uświadamiam sobie coś jeszcze. Nie tylko lustro ukazuje tu prawdę. Słyszę ją również w jej głosie. Po raz pierwszy, odkąd znalazłam się w tym zimnym, smutnym miejscu, czuję namacalną energię drugiej osoby, niczym osobliwy powiew świeżości. W obecności Hadesa jedynym, co wyczuwam, jest mój paniczny lęk, tak przytłaczający, że przysłania wszystko inne. Zupełnie jakby sam Hades był nieprzepuszczalnym murem blokującym wszystkie emocje.

Walcząc sama z sobą, czuję w trzewiach nowy rodzaj niepokoju. Z jednej strony mam ochotę zasypać ją pytaniami i prośbami o kolejne rady, ale z drugiej boję się je usłyszeć. Kusi mnie, by dalej brodzić w ignorancji, tak jak za chwilę w tej perfumowanej wodzie. Ale jak mogę nie wykorzystać jej wizyty? Co, jeśli jest w stanie mi pomóc? Albo przynajmniej zostać moją przewodniczką, ułatwiając mi wkroczenie w ten nowy świat. Czyż nie od tego właśnie jest starszyzna?

Gdy zastanawiam się nad tym wszystkim, babcia krzyżuje ręce na piersi, sprawiając wrażenie jednocześnie ważnej i zniecierpliwionej.

– Mów mi Charlena. Jak zapewne się domyślasz, zdrobnienia i tym podobne nie są tu na porządku dziennym. A nawet gdyby były, prawie się nie znamy.

– Oczywiście – wyduszam z siebie.

Na ziemi zmuszano mnie, bym mówiła do dziadka po imieniu, z czym czułam się dziwnie, ale nazywanie tej kobiety jakąkolwiek formą słowa „babcia” byłoby jeszcze dziwniejsze. Nie mam pojęcia, czy łączy nas

cokolwiek poza więzami krwi. Ona jest demonem, a ja w końcu zbuntowałam się przeciwko jej władcy.

A jednak jest tutaj. To może oznaczać wszystko, więc nie powinnam zakładać, że przyszła, by mi jakoś pomóc.

– Co cię tu sprowadza?

Wzdycha, obejmując mnie spojrzeniem.

– Mamy tu niewiele przyjemności, ale przyznam, że zobaczenie się z tobą jest jedną z nich. Co prawda piekło nie zna pojęcia czasu, ale sądziłam, że jeszcze sobie na ciebie poczekam.

Nie jestem w stanie powstrzymać wzdrygnięcia.

– Mam iść z tobą? To znaczy... teraz?

Albo gdy przyjdzie na mnie pora? I czy na tę myśl nie powinnam odczuwać ulgi zamiast kolejnego przyływu przerażenia? Nie wiem nawet, jak zapytać o to, jak będzie wyglądało tu moje życie. Tego pytania unikam jak ognia i jak widać, nie bez powodu. Na samą myśl o tym oblewa mnie zimny pot i zaczynam się trząść.

Charlena kręci głową.

– Jeszcze nie teraz. On... – Ogląda się przez ramię. – Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona, że pozwolił mi się z tobą zobaczyć. Biorąc pod uwagę ograniczenia czasowe, sądziłam, że będzie chciał mieć cię tylko dla siebie. Ale nie doceniłam jego lenistwa. To ja mam cię oprowadzić.

Otwieram szeroko oczy ze zdumienia.

– Naprawdę?

Moje drżenie odrobinę ustępuje. Nie wiem, co to znaczy i czy teraz, gdy Hades scedował zadanie oprowadzenia mnie po tym przerażającym miejscu na moją babcie, powinnam czuć ulgę.

Charlena mruczy pod nosem.

– On cię przeraża, prawda?

Wyrywa mi się ciężkie westchnięcie zaprawione ulgą, że mnie rozumie.

– Naturalnie. To... diabeł.

Moja nowa przewodniczka śmieje się cicho.

– Zgadza się. Ale nigdy nie dostanie od ciebie tego, czego chce, jeśli będziesz sparaliżowana strachem. A tak między nami, powinnaś mu to dać.

Kiwam głową, choć w głębi zmarzniętej duszy nigdy się na to nie zgodzę. Nie chcę, by wszedł do mojego umysłu, ale jeszcze bardziej boję się, co mnie czeka, jeśli mu na to nie pozwolę.

– Mądra dziewczynka – mówi, po czym zerka w lustro i na wannę. – Weź kąpiel i odpocznij. Będziesz tego potrzebować. Jeśli zrezygnujesz ze snu, upodobnisz się do reszty. Później cię znajdę.

Jestem wdzięczna za tę radę tylko dlatego, że ona mi jej udzieliła.

– Dziękuję.

Nawet nie drgnie, jakby to słowo było dla niej zniewagą. Być może tu na dole rzeczywiście nią jest. Chwilę później kiwa głową na pożegnanie i znika z taką samą gracją, z jaką się pojawiła.

Odprawdzając ją wzrokiem, mam mętlik w głowie. Postanawiam posłuchać rady Hadesa i zmyć z siebie to, co mnie boli: pierwsze burzliwe godziny w piekle i całą niepewność, której nie potrafię się pozbyć. Rozbieram się po cichu i wchodzę do wanny, po czym zanurzam się w ciepłej wodzie. Wzdycham i pozwalam, by rozgrzała moje ciało. Z zamkniętymi oczami wyobrażam sobie, że wcale mnie tu nie ma. Że jestem w domu, bezpieczna. Że to tylko sen. Straszny koszmar, o którym wkrótce zapomnę...

Tak mija mi czas w tym azylu, przynosząc obiecanie ukojenie. Rozluźniona i gotowa na sen otwieram oczy i siadam na brzegu wanny, leniwie przeglądając się w lustrze. Ale to nie próżność: szukam w swoich

rysach podobieństwa do Charleny. I zastanawiam się, czy tak jak w moim przypadku uroda jest jej błogosławieństwem, czy przekleństwem.

Ale koniec końców – czy to ma jakieś znaczenie?

Powiedziała, że lustra ukazują prawdę. Już wiem dlaczego. Jej uroda to tylko misterna iluzja, wielkie kłamstwo. Jeśli jednak jej prawdziwym ja jest postać demona, co to mówi o jej sercu? I duszy? Czy potrafi kochać? Odczuwać ludzkie emocje?

Oczy same mi się zamykają. Kąpiel miała być kojąca, ale woda znienacka się marszczy, przynosząc kolejną falę ciepła. Unosząca się nad nią skłębiona para zbiera się na ogromnym środkowym lustrze. Klękam przed nim, by z dziecięcą satysfakcją ją zetrzeć. Ale mam przy tym wrażenie, że ta woda żyje własnym życiem. Tylko co to oznacza?

Nie mam czasu, by się nad tym zastanowić, bo kłęby pary znów zaczynają wirować między mną a zwierciadłem, oczarowując kształtami. Jestem jak mała dziewczynka próbująca nadać postać płynącym po niebie chmurom – z tym że wyobraźnia ponosi mnie jeszcze bardziej. Po chwili zaniepokojona odsuwam się od lustra. Czyżby z tej pary miała się zaraz wyłonić jakaś postać? A jeśli tak, to czyja?

Nie odrywam od niej wzroku i po chwili moja cierpliwość zostaje nagrodzona. Kielkujące w mojej duszy przeczucie unosi się niczym ta perfumowana para, wypełniając szczelnie wszystkie zakamarki mojego umysłu.

Już nie szukam w swoim odbiciu rysów Charleny. Szukam...

Maximusa.

I nie rozczarowuję się. W kłębach pary pojawia się jego twarz. Wyraźna, choć zniekształcona, jakby był pod wodą. Zrywam się z miejsca, rozchlapując wodę, i przyciskam dłonie do zwierciadła.

Jego usta się poruszają, ale go nie słyszę.

– Maximusie!

Uśmiech zamiera mi na ustach i ponownie ogarniają mnie rozpacz i panika, odbijając się echem od kamiennych ścian. W odpowiedzi jestem w stanie tylko uderzyć dłońmi o gładką tafłę lustra.

ROZDZIAŁ 7

Maximus

OSTROŻNIE OTWIERAM OCZY i z jeszcze większą ostrożnością przewracam głowę na bok. Nie mam najmniejszego zaufania do szyi, że ją podtrzyma, jeśli się podniosę. Czuję się jak kot, który wskoczył do basenu i zamiast do wody trafił w ogień. Zresztą tego nie wykluczam. Jeszcze miesiąc temu wykladałem o motywach takich jak podróże w czasie, mówiące lasy i kręgi piekielne, traktując je jako fikcję literacką. Która nijak się ma do rzeczywistości, w której nagle się znalazłem.

Ostatnie chwile są tego najlepszym przykładem.

Świadomość wraca, gdy w prawym uchu słyszę głośnie chlapanie i po paru sekundach zdaję sobie sprawę, że wylądowałem w błocie. Nie mam pojęcia, gdzie jestem i czy tę próżnię w ogóle można sklasyfikować jako fizyczne miejsce. Wstaję, próbując się zorientować w sytuacji, ale nie widzę nic znajomego. Wokół panuje martwa, niepokojąca cisza i w gęstej mgle nie widać nic prócz wysokich, bezlistnych drzew, które zdają się mi przyglądać równie bacznie, co ja im.

Biorę głęboki oddech, czego natychmiast żałuję, gdy moje nozdrza wypełniają się zapachem siarki. Skrzywiony przeklinam pod nosem. Dochodzący z lewej strony jęk brzmi jak słaba, acz wyraźna odpowiedź na mój wybuch. Dźwigam się na nogi i ruszam w stronę jego źródła. Gdy

przedzieram się przez chlapiące mi pod buciorami błoto, modłę się w duchu, by te dźwięki wydawał Gio, a nie jakieś obce stworzenie, na spotkanie z którym jestem kompletnie nieprzygotowany.

Ale na widok ubłoconego jeszcze bardziej niż ja dziadka Kary oddycham z ulgą. Pomimo jęku, który mnie do niego sprowadził, i nie licząc ciemnej szramy na lewym policzku, jest chyba cały i zdrowy. Krzywię się na jej widok.

– Jest aż tak źle? – Próbuje dotknąć ranki. – E, to tylko zadrapanie, ale od razu sobie przypominam, dlaczego nigdy się nie zgłosiłem do drużyny bejsbolowej.

Podaję mu rękę, by go podnieść.

– Niektórym jest pisane zostać gwiazdą sportu, a inni rodzą się ze złotym piórem – mówię.

Gdy stawiam go na nogi, chichocze cicho.

– To miłe, ale zbyt ciche.

– Taka jest prawda. – Nie ustępuję. – Pewnego popołudnia przeczytałem twoje scenariusze. Nagrody z twojej szafki są w pełni zasłużone.

Jeśli przyjął mój komplement, dość dziwnie to okazał.

– Przeczytałeś je wszystkie? W jedno popołudnie?

Uśmiecham się półgębkiem.

– Miałem misję.

– Nabić sobie głowę hollywoodzkimi romansidłami?

– Dowiedzieć się jak najwięcej o Karze. A więc i o ludziach, których kocha.

Po tych słowach napięcie między nami niemal w całości wyparowuje.

– Celna odpowiedź.

Pospiesznie sprawdzając zawartość swojej torby, na powrót sztywnieje i odwraca się w stronę gęstniejącej mgły.

– Jeśli nie pomyliłem się w obliczeniach, dotarliśmy do przedsionka piekła.

– Który jak widać, jest... bagnem, mówiąc eufemistycznie. – Grzęząc powoli w śmierdzących moczarach, mam na końcu języka znacznie dosadniejsze określenia.

– „Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, w głębi ciemnego znalazłem się lasu”^{*} – cytuje Dantego ze złośliwym uśmiechem i rusza zaskakująco żwawym krokiem, mijając mnie niczym prowadzony jakimś wewnętrznym kompasem. Być może ten sam zmysł każe mu iść w stronę jęków i lamentu, których nie da się z niczym porównać.

Nieustających, bolesnych jęków rozpaczy, wzmagających się w rzednącej mgłę. Teraz wlokę się kilka metrów za Gio, przedzierając się przez skowyt potępieńców, jakby to było wycie wiatru. Metafora jest tym trafniejsza, że wichura bezlitośnie smaga twarz, plącąc włosy, a oczy zaczynają mi łzawić.

Jak to możliwe, by coś takiego przeżyć?

Odpowiedź jest absurdalnie prosta.

Dopóki ktoś się tu nie znajdzie, zwykle nie myśli o przeżyciu do następnego dnia.

Gdy docieramy do lasu, patrzę na Gio Valariego z jeszcze większym szacunkiem. Przez wszystkie te lata, na które zaszył się w niepozornym domku za rodzinną rezydencją wśród papierzyk i starych filmów, ten niepozorny starszy pan zasługiwał na najwyższe uznanie. Chcę mu powiedzieć, że powinien dostać kolejnego Oscara za wybitną rolę staruszka bez piątej klepki, ale gdy zbliżamy się do rzeki, podejrzewam, że poziom

decybeli tylko wzrośnie, więc jakakolwiek wymiana zdań będzie niemożliwa.

Na szczęście po wejściu w niewielką dolinę pomiędzy dwoma stromymi zboczami zostaje mi jeszcze rozmowa z samym sobą, gdy odrywam swoje myśli od forsownego marszu. W ocienionym wąwozie panuje przeraźliwy chłód.

Nagle mnie oświeca i zatrzymuję się w pół kroku. Podnoszę głowę i wbijam wzrok w Gio, który dzięki Bogu przystanął, by na mnie zaczekać. Już rozumiem, dlaczego ruszył z kopyta.

Gdy tylko wychodzę z doliny na otaczającą rzekę moczary, zbolące jęki tysiąca gardeł zlewają się w jeden rozpaczliwy skowyt:

– „Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją!”**.

Lament jest tak przenikliwy, że mógłbym przysiąc, że czuję jego posmak. Zataczam się jak uderzony obuchem, ale jakoś udaje mi się utrzymać równowagę. Gio nie ma tyle szczęścia. Upada zgięty wpół, jakby dostał cios w nerki podczas barowej bójki.

Bez namysłu do niego dopadam.

– Wszystko w porządku?

Kiwa głową, dźwigając się z ziemi.

– Byłem na to przygotowany.

Tak jak chwilę temu na cmentarzu jego słowa uspokajają mnie i przygnębiają zarazem. Uznaję, że powinienem wziąć z niego przykład, więc narzucam sobie najwyższą czujność – i nakazuję umysłowi, by był gotowy na wszystko.

Ale lamentujące dusze cofają się, przeświadczone, że ostrzeżenie zostało usłyszane. Albo odwołał je czekający na brzegu przewoźnik – bezimienny, choć z każdym krokiem nabieram coraz większej pewności, że dobrze znam jego imię. Jeśli to miejsce w jakimkolwiek stopniu

przypomina piekło znane mi z kart poematu Dantego, oto napotkaliśmy Charona.

Gdy stajemy na brzegu, moja rozbudzona ciekawość dorównuje trwodze. Wyobrażałem sobie tę chwilę tysiące razy, a teraz jest mi ją dane przeżyć. Te płomienne oczy i splątana broda, ogniście ruda i długa niczym u szkockiego ziemianina z dawnych czasów. Jego długie włosy są poprzątkane warkoczami, spod których wyzierają wybałuszone, puste oczy i kłapiące zębiska.

Jest odziany tylko w niemożliwie wytarty kilt o barwie brei pod naszymi stopami.

– To on, prawda? Charon? – pytam szeptem, bojąc się, że mam rację.

Gio popycha mnie z rozgorączkowaniem.

– Tak, to on. Pośpiesz się, synu.

Zanim docieramy do śliskiego nabrzeża, niesławny przewoźnik zaczyna torować nam drogę, okładając wiosłem czołgających się w błocie potępieńców.

– Nie patrzcie na nich – nakazuje.

Krzywię się, poruszony jego brutalnością i rozpaczą, z jaką grzesznicy wyciągają ku nam ręce.

– Dlaczego?

– Bo wiedzą, że nie jesteście jak reszta. Czują wasz zapach.

Zanim mam szansę pojąć jego słowa, morze potępionych dusz i upadłych aniołów zaczyna na mnie napierać, jakbym był filiżanką aromatycznego darjeelingu. Krzepki przewoźnik jest daleko i tym razem nie ma co liczyć na jego pomoc. Zrzucam ich z pleców i nóg, a Gio przestawia się na włoski, częstując napastników siarczystą wiązką, ale to nie jego panika potęguje moją.

– Nie krzywdź ich! – ryczę na rozsierzonego rudzielca, który przedziera się ku nam z uniesionym wiosłem. Moje wstawiennictwo jest zbędne. Jęczący nieszczęśnicy rozpierzchają się, zostawiając nas na pastwę Charona.

– Proszę, proszę – mówi z mętym celtyckim zaśpiewem, omiatając nas wzrokiem. – Biada wam, bezecne dusze.

– Nie szukamy kłopotów – odpowiada zasapany Gio. – Tylko przeprawy przez rzekę.

Charon wbija w błoto swoje wiosło, by się na nim oprzeć.

– A niby czemu miałbym was przeprowadzić, potępieńcy?

– Mamy to.

Gio podchodzi do niego i wyciąga rękę. W jego dłoni błyszczy nie tylko moneta z gabinetu, lecz i druga zapłata: grecki obol w idealnym stanie. Nie mam pojęcia, kiedy zdążył go skombinować, ale trzeba mu przyznać, że umie pociągać za sznurki jak mało kto.

Charon chciwie zgarnia monety i zaciska na nich swoje ostre zębiska, sprawdzając ich autentyczność.

– Zaczyna zaliczka – skrzeczy, jakby mówił coś zgoła odwrotnego.

Gio prychnął.

– Zaliczka? Ten obol jest wart tysiące!

– Może na ziemi. – Unosi obie monety, które błyszczą w słabym świetle nabrzeżnej latarni. – Dwie monety za dwie dusze zwykle wystarczą. Ale to jasne jak słońce, że wy dwaj nie jesteście zwykłymi duszami.

– Prosimy tylko o przeprawę, nie o specjalne względy – odparowuje Gio. – Dla ciebie to ta sama robota, a dla nas podróż.

Charon odpowiada drwiącym uśmiechem, wpatrując się w obol błyszczący w jego dłoni.

– Podstępny śmiertelnik powinien wiedzieć, że nie płacą mi za przyjmowanie łapówek od dezertarów.

Gio robi zniecierpliwioną minę. Uprzedzam go, zanim ma szansę otworzyć usta.

– Skoro te monety nie przedstawiają dla ciebie żadnej wartości, oddaj je. Znajdziemy inną drogę.

Charon odrywa wzrok od monet i zaciska dłoń.

– Nic takiego nie powiedziałem. A innej drogi nie ma.

Wzruszam ramionami, wiedząc, że Charon otrzymał już swoją zapłatę. Te targi to tylko strata czasu.

– Może nie ma – mówię, wytrzymując jego spojrzenie. – A może jest. Ktoś to kiedyś sprawdził?

Słyszając to, rusza na mnie z rozszerzonymi nozdrzami. Gio wskakuje między nas, odpychając obydwu.

– Uspokójcie się! – krzyczy. – Możemy tu stać i się wykłócać albo przyjmiesz tę hojną zapłatę i nas przeprowisz, a my pójdziemy w swoją stronę.

– Niech wam będzie – warczy Charon, czując, że go przechytrzone. Przynajmniej na razie. – Na pokład, nieszczęśnicy. Im szybciej się was pozbędę z mojej rzeki, tym lepiej, parszywe pyszałki.

Gdy wbiegamy trapem, Gio rzuca mi przez ramię dumne spojrzenie, od którego robi mi się ciepło na sercu, i w duchu przybijam sobie piątkę. To się naprawdę dzieje.

Charon stawia dwa żagle – większy i mniejszy – zrywa się ciepły wiatr i odbijamy od brzegu. Nasza przeprawa ciągnie się w nieskończoność. Za każdym razem gdy brzeg zaczyna się zbliżać, natychmiast zdaje się oddalać. Co tu się dzieje?

Obiecuję sobie, że nie ulegnę frustracji. Nie mogę. To strata energii, a na to nie mogę sobie pozwolić. Podchodzę do żagla i wspieram się na łokciach. Wpatruję się w ciemne wody rzeki, myśląc o Karze. Mam wrażenie, że od sobotniej nocy minęła cała wieczność. Leżeliśmy przytuleni na plaży w Malibu, podziwiając konstelacje na rozgwieżdżonym niebie.

Ileż bym dał, by te chwile wróciły. Chciałbym znów poczuć na skórze lekki deszczyk. Wdychać słone morskie powietrze. Wpatrywać się w gwiazdy w całej ich dostojnej krasie.

Pamiętasz, moja piękna? Czy Hades odarł cię już ze wspomnień? Ze wszystkich myśli o mnie?...

Nie.

Nie mogę się poddać zwątpieniu. Muszę być silny i wierzyć. Przypomnieć sobie ducha, siłę i zapach kobiety, którą pokochałem. I którą wielbię za tak wiele innych cech.

Nie mogę stracić wiary...

Zaciskam dłonie na relingu, ponagłając w duchu tę przekłętą łódź. Gdybym tylko w piekle nabył zdolności latania...

Nagle mam wrażenie, że rzeczywiście wzbijam się w powietrze. Lecz nie dzięki swoim zdolnościom, tylko olśniewającej wizji, którą znów widzę w wodzie.

To Kara. Jest odziana w czerwoną satynę i wyciąga do mnie rękę. Jej palce przecinają powietrze...

Nagle mnie dostrzega i z gardła wyrywa się jej niemy okrzyk radości i ulgi, a mi w oczach stają łzy. Pełnym miłości i wiary spojrzeniem chcę jej odpowiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że nam się uda. Ale jeśli to rzeczywistość, to wiem już, że mnie nie słyszy. Kręci głową, jakby prosiła,

bym powiedział coś jeszcze. I tym razem jest tak blisko, tuż pod lustrem wody. Widzę, jak opuszkami palców muska fale przy łodzi...

Czy to możliwe? Naprawdę jest tak blisko?

Pragnienie, by jej dotknąć, jest zbyt silne. Wychylam się przez burtę, wyciągając do niej rękę. Jest tuż, tuż... Jeszcze trochę...

Jeszcze... odrobinę...

Nagle przekonuję się na własnej skórze, że i w piekle działają prawa grawitacji. Wypadam z łodzi i zanurzam się we wzburzonych wodach Acheronu. Ale to nic, bo już wiem na pewno, że to tu Hades więzi Karę.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń I.

** Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń III.

ROZDZIAŁ 8

Kara

JESTEM WYCZERPANA, FIZYCZNIE I EMOCJONALNIE.

I bynajmniej nie przez gonitwę myśli. Hades dał mi prawo wstępu do łaźni rzekomo w duchu szczodrości i wspaniałomyślności. Ale nie mam wątpliwości, że celowo właśnie wtedy pozwolił na odwiedziny Charlenie, która bądź co bądź zburzyła mój spokój. Moja babcia już zniknęła i choć nasza rozmowa była dziwna, mam nadzieję, że znów się zobaczymy. Może taki właśnie jest plan Hadesa: dostanę więcej czasu z Charleną, jeśli wpuszczę go do swojego umysłu.

A te nieoczekiwane wizje Maximusa? To też sprawka mojego gospodarza? Czy w tych mistycznych oparach doświadczyłam realnej więzi z moim ukochanym, czy może była to misterna sztuczka Hadesa obliczona na to, by złamać we mnie ducha? Jak teraz rozpoznać, jeśli Maximus naprawdę znajdzie się w niebezpieczeństwie?

To było takie realne. Niemal mogłam go dotknąć, czułam jego rozpaczliwe rozgorączkowanie i bicie serca. Przez kilka cudownych, choć bolesnych chwil znów byliśmy razem.

Mijają minuty, a ja nie odrywam dłoni od lustra. Krany w ścianach zdążyły się już zakręcić i zaczynam się trząść w stygnącej wodzie, ale nadal ani drgnę.

Czuję nadchodzącą falę kolejnych dreszczy, gdy nagle za moimi plecami rozlega się skrzeczący głos, wyrrywając mnie z zamyślenia.

– Pora wrócić do komnaty.

Wstrzymuję oddech i odruchowo zasłaniam nagie piersi. Demoniczna służąca rzuca mi obojętne spojrzenie. Stoi niepokojąco blisko, zaciskając szpony na ręczniku, jakby miała ochotę porwać go na strzepy.

– Dz-dziękuję – wyduszam z siebie, wyrrywając go jej. Udaje mi się wytrzeć, zbytnio się przed nią nie obnażając, choć widzi dość, by jej zazdrosne spojrzenie przybrało na sile. Wydaje z siebie gardłowy pomruk, podając mi kryształową buteleczkę mieniącego się srebrzystego płynu.

– Pan każe ci się tym nasmarować, zanim się ubierzesz.

– Co to takiego?

– Masz się tym nasmarować – powtarza. – To podarek.

Usiłuję się uśmiechnąć, ale wychodzi jej brzydki grymas. Pewnie porównuje moją pyszną szatę do swoich wytartych łachmanów i czuje do mnie wstręt za kapryśnienie.

Łagodnieje nieco pod wpływem moich skwapliwych podziękowań. I co ważniejsze, odwraca się, zostawiając mi odrobinę prywatności, gdy odkorkowuję buteleczkę i niepewnie wącham mieniący się olejek, którego zapach nie przypomina żadnego, jaki znam. Pachnie jakby... lasem. Albo łąką.

Odsuwam się zaskoczona nutami jałowca, koniczyny i sosny. Choć zdecydowanie nie wybrałabym tego zapachu w perfumerii, nie jest nieprzyjemny. Wylewam odrobinę olejku na dłoń i rozprowadzam po skórze. Niemal zapominając o strachu, z zafascynowaniem podziwiam półprzezroczystość, której momentalnie nabiera.

Instynkt każe mi się rozkoszować tą chwilą jeszcze trochę dłużej, ale odwracam się i sięgam po szatę.

Gdy służka wyprowadza mnie z łaźni i przekazuje strażnikom, krzyżuję ręce na piersi, ściskając kurczowo satynowe poły. Idę pomiędzy dwoma srogimi żołnierzami, próbując dotrzymać im kroku i ani na chwilę nie rozluźniając pobielających pięści.

Gdy docieramy do mostu, staram się przygotować na widok skutych lodem nieszczęśników, ale u wejścia do krużganku okazuje się, że koszmarny kanał spowija gęsta mgła, więc mogę odetchnąć z ulgą. Pewnie nie będę widzieć nawet własnych stóp.

Co w tych okolicznościach zupełnie mi nie przeszkadza.

Gdy tylko wychodzimy na zewnątrz, przeszywa mnie lodowaty chłód. Na domiar złego włosy mam wciąż wilgotne. Zaciskam zęby, żeby nie szczękały, i zmuszam się, by nie przystawać. Cieszę się, że mogę iść ze spuszczoną głową i nie widzieć przerażających twarzy wokół siebie.

Nie powinnam była chwalić dnia przed zachodem słońca. Nagle moim oczom ukazuje się najbardziej przerażający widok świata. Po lewej stronie mostu mgła układa się w znajomą postać.

Wszędzie rozpoznałabym tę sylwetkę, nawet przez łzy, które teraz stają mi w oczach. Ale czy wzrok mnie nie myli? Nie, widzę go wyraźnie. Jest taki rzeczywisty. Teraz mgła przysłania tylko krawędzie jego postaci. Nagle żałuję, że cała w niej nie tonię. Coś mi podpowiada, że to tylko wytwór mojego zmęczonego umysłu.

Znów widzę go pod wodą, tyle że tym razem rozpaczliwie stara się utrzymać na powierzchni.

– Maximusie...

Wyciągam do niego ręce, ale mnie nie widzi ani nie słyszy. Ma przymknięte oczy, jakbym krzyczała do niego w uniesieniu, a nie z przerażenia.

Wreszcie słyszę z jego ust swoje imię... Po raz pierwszy moje zmysły uderza jego płynący z głębin głos. Ale cała moja radość ulatnia się wraz z jego znikającą postacią.

On tonie.

Wiem to, czuję. Tak jak palący ból w płucach.

Jeszcze raz wołam jego imię, szlochając.

– Poddana Valari, ruszać się!

Próbuję się wyrwać żołnierzowi, który łapie mnie od tyłu za ramiona. To boli, ale wreszcie udaje mi się oswobodzić. Rzucam się przed siebie z wyciągniętymi rękami, modląc się, bym zdołała wydobyć z tych spienionych odmętów człowieka, który jest całym moim światem.

– Nie waż się poddawać, Maximusie! – wołam.

Pierwszy strażnik zawraca i pomaga tamtemu rzucić mnie na kolana, ale wciąż walczę. W ostatniej rozpaczliwej próbie wyciągam ręce przed siebie. Moje palce muskają mokre włosy Maximusa. Z gardła wyrywa mi się łkanie. Nie słyszę swojego szlochu, ale go czuję. Czuję wszystko. Radość z odnalezienia go. Euforię dotyku. Pełnię jego miłości.

I wtem... rozpacz po jego zniknięciu. Rozpłynął się w powietrzu jak mgła, z której powstał. Wrócił do krainy moich fantazji.

– Nieee!

Powietrze przecina mój lament, niemal zupełnie zagłuszony niewidzialnym ostrzem, które przeszywa mi duszę. Ze świeżej rany wypływa nieznana mi toksyczna energia, zupełnie jakby ktoś zdetonował w niej duchową bombę.

Choć z oczu wciąż płyną mi łzy, nakazuję powiekom się rozchylić. Wpatruję się w swoje drżące na lodowatych kamieniach dłonie, które nadal lśnią od olejku Hadesa. Nie jestem w stanie nic zrobić, bo jeszcze nie zdążyłam odzyskać trzeźwości umysłu.

– Kara!

Rozpoznaję głos Charleny, zaskakująco zatrwożony. Zataczając się jak pijana, zadzieram głowę i natychmiast wydaję z siebie okrzyk przerażenia.

Moja babka nie wróciła sama. Sunie ku mnie Hades, nie odrywając ode mnie swoich czarnych oczu.

– To działa, Karo! – nagle woła. – To działa!

– C-co takiego?

– Srebro. – Wyciąga rękę i wszystkie zakończenia nerwowe każą mi odskoczyć, ale nie mogę. Jestem unieruchomiona i bezradna, gdy wędruje opuszką kciuka po grzbiecie mojej lewej dłoni.

Mrugam skołowana.

– Potęguje twoją podprogową wrażliwość i energię – ciągnie po najkrótszej z pauz – równocześnie usypiając twoją świadomość, byś była bardziej podatna.

– Podatna na co?...

Wreszcie wyszarpuję mu dłoń i przyciskam pięści do piersi. Poznawszy przeznaczenie jego „podarku”, mam ochotę obdrzeć się ze skóry. Muszę jednak spojrzeć na to szerzej. Czyżbym dzięki zaprawionym srebrem zmysłom zobaczyłam wyraźniej Maximusa?

– Czujesz to, prawda? – Niezrażony znów się przysuwa.

– Niby co? – pytam jego, ale rzucam zdesperowane spojrzenie Charlenie. Trzyma się nie bliżej niż kilka kroków za nim, ale nawet przez czarny muślin dostrzegam grymas niepokoju na jej twarzy. Jest równie dezorientujący, co piękne słówka Hadesa w połączeniu z jego drapieżnym spojrzeniem. Nie mam pojęcia, na czym stoję. A w każdym razie nie do końca. Serce wali mi jak młotem, a instynkt każe uciekać, ale mój mózg i mięśnie nie są ze sobą sprzężone. Ruszam się, ale nie dość szybko. Jestem

spanikowana, ale niewystarczająco. Mogę jedynie załkać, gdy Hades staje przede mną i wyciąga ręce.

Tym razem nie ujmuje mojej dłoni, lecz obejmuje głowę przy skroniach. Z gardła wyrywa mi się pierwotny krzyk przerażenia. Wyszarpuję się z jego szponów i ratuję chaotyczną ucieczką tyłem. Zatrzymuję się dopiero, gdy uderzam głową o poręcz mostu, ale Hades nie wygląda, jakby chciał mnie ścigać. Każdy mięsień i nerw w moim ciele jest w stanie podwyższonej gotowości.

Gotowości na to.

Co. To. Było?

Nie chcę nawet zaczynać dywagacji. Mój umysł nadal jest w kawałkach, a zmysły otepiały. Każdy centymetr mojej skóry woła o kolejną kąpiel. Tym razem najlepiej we wrzątku. Albo w kwasie. Gdyby tylko z tym ostatnim nie kojarzyły mi się nieruchome oczy Hadesa.

– Proszę, nie broń się.

Gdy westchnąwszy teatralnie, robi krok w moją stronę, podnoszę parę kamyków i w niego rzucam.

– Nie zbliżaj się do mnie!

Śmieje się, kołysząc się na piętach. Gdybym tylko mogła wyczarować sztylet, wycelowałabym prosto w jego pierś... Marzenie ściętej głowy. Zresztą kimkolwiek był, zanim objął panowanie nad piekłem, na pewno nie miał serca.

– Jesteś podminowana. To zrozumiałe.

– „Podminowana”? – Podminowana jestem, gdy zabraknie mi punktu do piątki na egzaminie albo gdy zakocham się bez pamięci w wykładowcy literatury.

– Spójrz tylko na siebie – ciągnie. – Te zaróżowione policzki, przyśpieszony oddech. Choć przyznaję, że to kuszący widok.

Zapomina wymienić kipiących we mnie wściekłości i nienawiści. Mrocznej, upokarzającej, wyniszczającej... Do teraz trzymałam się kurczowo resztek opanowania dzięki myślom o Maximusie. Teraz i one wyparowały. Równie dobrze mogłabym stać tu naga.

Kolejna myśl, którą chcę ochronić przed Hadesem. Ale kąciki jego ust wyginają się, jakby jego mentalne haczyki nadal były wczepione w moją głowę, wykrywając każdą najmniejszą myśl.

– Karo, co się stało? Mów do mnie. Co cię tak wytrąciło z równowagi? „Oprócz tego, że chcesz, bym oszalała?”

– Nic mi nie jest – bąkam z rozgorączkowaniem. Znow krzyżuję ręce na piersi, uczepiając się kołnierzyka sukni jak koła ratunkowego. Może nim jest. Tylko to pozwala mi utrzymać równowagę i nie stracić poczucia rzeczywistości.

– Może odprowadzę cię na razie do komnaty? – pyta z wymuszoną grzecznością.

Już o to nie dbam. Chcę tylko w ciszy uspokoić ten piekielny chaos w głowie, który jest jego sprawką.

– Tak, proszę.

Hades odsyła Charlenę oraz strażników, by osobiście mnie odeskortować. Idziemy przez jego posepny pałac. Na szczęście po drodze milczy i trzyma ręce przy sobie.

W komnacie rozglądam się po wnętrzu, ale tym razem nie zwracam uwagi na jej przepych. Szukam czegoś, co można by zamienić w broń przeciwko mojemu porywaczowi. Jeszcze nigdy z taką rozkoszą nie fantazjowałam o morderstwie. I nigdy nie miałam większej pewności, że nie oprę się pokusie.

Tylko jak zabić boga? Na pewno nie narzędziem pokroju rozgrzanego pogrzebacza w kominku.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – a raczej jakby słyszał moje myśli – Hades wkłada ręce do kieszeni i przygląda mi się z irytującym spokojem.

– Karo, nie bądź niemądra. Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale chyba nie chcesz zdenerwować i mnie. To byłoby już niebezpieczne. – W odpowiedzi na moje wściekłe spojrzenie staje w rozkroku. – Staram się, jak mogę, by ułatwić ci początki, ale na twoim miejscu nie wystawiałbym mojej cierpliwości na próbę. – Bierze głęboki oddech i rozluźnia posturę, lecz obrzuca mnie surowym spojrzeniem onyksowych oczu. – Powinnaś odpocząć. Gdy wrócę, znów spróbujemy...

– Znów?

Wzdrygam się, a on w odpowiedzi zadziera brodę.

– Tak, Karo. Już ci mówiłem: otworzysz się przede mną. Tylko od ciebie zależy, czy stanie się to następnym razem, czy za tysięcznym.

Nie żartuje. Wiem to. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, czuję to każdą przerażoną komórką ciała. Przez dłuższą chwilę żadna z nich nie jest w stanie się poruszyć. Nawet szare komórki ani drgną.

Nie żeby Hades się tym przejmował. Odwraca się na pięcie, jakby chciał tym podkreślić swój rozkaz, i znika za sklepionymi drzwiami komnaty.

Zostawiając mnie w strachu przed swoim powrotem.

ROZDZIAŁ 9

Maximus

WYŻSZOŚĆ DUCHA NAD MATERIAŁ.

To frazes, ale w tej chwili tylko on trzyma mnie przy życiu i zdrowych zmysłach pomimo otaczającego mnie przeszywającego zimna. Jakimś cudem udaje mi się wypłynąć na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza – tylko po to, bym znów został zalany przez nieposkromione fale Acheronu.

Nieposkromione – i lodowate.

Jak to możliwe, że nie straciłem jeszcze czucia w kończynach? I jakim cudem ta rzeka nie zamieniła się w wielką bryłę lodu? Moje otępiałe zmysły nie mogą pojąć tej anomalii. W moim umyśle przetacza się korowód bezładnych pytań, ale odsuwam je od siebie. „Jak” nie ma teraz znaczenia, liczy się tylko „dlaczego”.

A jedynym powodem jest mój ognisty anioł. Mój raj w piekielnej otchłani.

„Gdzie ona jest?”

Tym razem nie chcę wypływać na powierzchnię. Nie bez Kary w objęciach. Kapitulacja nie wchodzi w rachubę. Coś musi stać za tymi wizjami. To wiadomość. Kolejna siła w sieci kosmicznej energii, większa od rzucanych nam pod nogi kłód i wskazująca nam do siebie drogę.

Muszę w to wierzyć. Muszę o to walczyć.

Ale objawszy ramionami wzburzoną wodę, nie znajduję nic prócz rzeczego szlamu. Mam ochotę dołączyć do zboląłego chóru potępieńców Charona. Może nawet powinienem. Może muszę się wykrzyczeć, by otrząsnąć się z tego brudu i przygnębienia. Może ten przeklęty świat musi się dowiedzieć, że dla mnie to nie żarty.

W chwili zawieszenia między rozgorączkowanymi spekulacjami a poważnym namysłem znów zaczynam drętwieć. Sople lodu zwisają mi z ramion i brody. Gdy woda zamarza wokół moich nóg i ciągnie mnie na dno jak betonowe bloki, godzę się ze śmiercią. Ale wbrew pozorom nie to jest w tej surrealistycznej chwili najgorsze.

Powieki mi się zamykają, ale nawet w ciemności pod nimi nie mogę znaleźć Kary. Na ostatnim oddechu wołam w odmęty jej imię.

Rzeka wciąga mnie głębiej w topielisko, które w kilka sekund obejmuje również mój umysł. Obrazy, które stają mi przed oczami, są gorsze od koszmaru i ostrzejsze od obudzonych fobii. Są od nich dużo wyraźniejsze.

To... wspomnienie.

Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Pochodzi z zakamarków umysłu, które zdążyłem już spisać na straty, być może dlatego, że umarłem albo umieram. Jeszcze niedawno żądałem tej prawdy o sobie od mojej matki z taką desperacją, że doprowadziłem ją do łez.

Teraz wszystko rozumiem.

Chciała mnie przed tym uchronić...

Jest oślepiająco jasne popołudnie, a ja bawię się z Reginą jakąś piłką. Jest przezroczyta i wypełniona świetlnymi strzałkami wskazującymi różne kierunki w zależności od tego, w którą stronę ją rzucić. I w odróżnieniu od chłodnej trawy pod moimi stopami jest ciepła w dotyku. Twarz owiewa mi balsamiczny zefir o zapachu pobliskich drzew owocowych – przez ten

wietrzyk nie udaje mi się złapać piłki rzuconej przez Reginę. Ale mama tylko się śmieje, więc się nie przejmuję.

Mama... Wow, wygląda zupełnie inaczej. Lśniące loki ma wysoko upięte za pomocą szpilek wysadzanych klejnotami i ozdobione błyszczącymi wstążkami. Podobnie jak ja jest ubrana w udrapowaną togę, tak śnieżnobiałą, że aż bolą oczy.

Jednak coś budzi mój niepokój – to konflikt malujący się w jej oczach, których uśmiech jakoś nie może sięgnąć...

Jej źrenice rozszerzają się z przerażenia, gdy się odwracam, by pobiec po piłkę, która wpadła pod krzak bujnych czerwonych kwiatów.

– Maximusie, nie! Zostaw ją!

Wpadam na jakąś przeszkodę, której wcześniej tam nie było. Zataczam się do tyłu i zadzieram głowę. To kobieta. Jest w towarzystwie innych kobiet, a wszystkie są ubrane w misternie upięte czerwone szaty.

– Tytanidy – syczy pod nosem Reg.

Nie rozumiem, co to znaczy, ale czuję, że te kobiety to nieprzyjaciel. Wiem o tym, słysząc przerażająco urywany oddech mamy. A na charakterystyczny dźwięk wyciąganego z pochwy miecza nabieram pewności.

Dotychczas Reg wyjmowała broń tylko do czyszczenia. Jej zacięty wyraz twarzy i napięte mięśnie potwierdzają, że nie tym razem.

Jedna z kobiet w czerwieni obnaża zęby jak nasz kot, gdy niechcący nadepnę mu na ogon.

– Masz szczęście, że jestem dziś w dobrym humorze, panno Nikian. Schowaj to coś albo dopilnuję, żebyś obróciła się w proch, z którego powstałaś.

Cofam się jeszcze dalej, zapominając o piłce i chcąc tylko pobiec do mamy i Reg. Ale sycząca kobieta łapie mnie i brutalnie przyciąga do siebie.

Krzywię się z bólu, gdy jej kolana wrzynają mi się między łopatki, uniemożliwiając oddychanie.

– Puść chłopca, a schowam miecz – rzuca Reg z wymuszonym spokojem.

– On nie jest twoją zabawką, Klymene. Nie kuś losu.

Kobieta wybucha śmiechem i wzmacnia uścisk.

– Myślisz, że rodząc Zeusowi bękarta, wkupisz się w jego łaski? Może chcesz go mieć tylko dla siebie?

– Puść moje dziecko! – Nakaz mamy sprawia, że gapię się na nią z rozdziawionymi ustami. Jeszcze nigdy nie słyszałem takiego gniewu w jej głosie. Ani nie widziałem jej w gotowości do ataku.

– Moim zadaniem jest ją chronić, Klymene – dodaje Reg. – Więc możesz sobie mówić, co chcesz. Dopilnuję, by jego ojciec się o tym dowiedział. Rzucaj swoje groźby, ale przed jego zemstą nie zdołasz się uchronić. A jeśli chłopcu spadnie choćby włos z głowy, obiecuję ci, że zemsta cię osiągnie.

Próbuję się nie skrzywić, gdy Klymene wbija mi palce w pierś i przecina skórę nad walącym jak młot sercem. Gdy jęczę i ściągam brwi, robi to znowu. W oczach mojej matki szklą się łzy tak jak wtedy, gdy mówi, że jest ze mnie dumna.

Ale teraz chyba daleko jej do dumy z syna. I to najgorsze uczucie na świecie. To moja wina. Nie powinienem był tak się oddalać.

Muszę to naprawić.

Mam dość tej obcej kobiety i jej głupich szponów. Zatopienie zębów w jej nadgarstkach jest tak satysfakcjonujące, że pomimo jej wrzasku wgryzam się jeszcze raz. Mama je przekrzykuje, nakazując mi, bym przestał, ale nie chcę. Ta nagła wściekłość jest taka błoga! A jeszcze lepsza

jest świadomość, że nie jestem bezradny. Mama i Reg zawsze wymuszają na mnie samokontrolę. Spokój. Opanowanie.

Ale ich utrata jest taka cudowna.

Zwłaszcza gdy widzę wybałuszone oczy Klymene. Gapi się z niedowierzaniem na swoją niemal odgryzioną dłoń, która trzyma się teraz zaledwie na strzępie skóry.

Cała satysfakcja wyparowuje, gdy spanikowana mama łapie mnie i odciąga. Uciekamy do willi przy akompaniamencie wrzasków Klymene.

– Zapłaci mi za to! Jestem tytanidą ze szlchetnego rodu! Przysięgam, że zniszczę was wszystkich! Cały Olimp usłyszy o twoim prymitywnym bachorze i jego agresji! Zobaczymy, czy Hera jest na tyle tolerancyjna, by znosić cudze bękarty!

Gniew nagle traci cały swój urok. Jego miejsce zajmują lęk i mdłości, gdy Regina zagania mnie do środka. Ale i to nie pomaga. Struchlały patrzę w milczeniu, jak mama zagradza drogę przerażającym tytanidom i przyjmuje cios za ciosem. Czuję, jak w głowę wbija mi się niewidzialne ostrze bólu, a wzrok przysłaniają mi łzy rozpacz, ale nie jestem w stanie go odwrócić. Nie mam odwagi. Co, jeśli ta megiera nie przestanie okładać mamy, dopóki...

Nieważne, z której strony próbuję się przedrzeć przez fale, ten dręczący obraz staje mi przed oczami. Nie chcę o nim myśleć, modlę się, by na powrót wymazać go z pamięci. Zżera mnie czysta rozpacz. Tak właśnie umrę, wiem to. Przytłoczony żalem i wspomnieniami, których nigdy nie przepracowałem. Bez wybaczenia matki, o które już nie zdążę jej poprosić.

Wokół panują egipskie ciemności. Nie widzę nawet własnej dłoni przed oczami. Wszystko się uspokoiło i zaległa grobowa cisza.

– Maximusie.

Ten najcichszy szept wypowiada... głos Kary. To jak piękny cud. Nagle jest mi jak w niebie.

– Maximusie.

Szepce mi do ucha, owiewając oddechem moje włosy, jakbym zanurzał się w niej, dając jej rozkosz. Wchodzi na wyższe tony, gdy zaczynam się rytmicznie poruszać. Czuję drzenie jej ciała i przyspieszone bicie serca. Jej ochrypły szept jest przepełniony pożądaniem. Czuję wszystko...

Muszę dla tego żyć.

Muszę... żyć... dla... niej.

Kara.

Odpowiadam jej w duchu, bo w moich nadprzyrodzonych płucach nie zostało ani grama powietrza. Resztkami sił otwieram oczy, szukając jej światła w mroku mojej rzecznej wieczności. A potem jakimś cudem zaczynam płynąć w stronę promyka wschodzącego słońca na horyzoncie tej strasznej nocy.

Odpycham wodę wszystkimi kończynami. Gdy bryły lodu się odrywają, jest mi łatwiej i daję się wypchnąć nieprzejednanym prądom rzeki. Światelko chyba patrzy na to przychylnym okiem, bo robi się coraz jaśniejsze. I jeszcze piękniejsze.

Bo teraz znów ją widzę.

Mieni się jak diament. Płynę szybciej, pragnąc pieścić każdy centymetr jej połyskliwej skóry, aż powietrze wokół niej będzie przesycone moim niegasnącym uwielbieniem...

Jestem już na tyle blisko, że mógłbym jej dotknąć i wreszcie – wreszcie – porwać ją w ramiona...

Wypływam na powierzchnię, nabierając w płuca upragnionego tlenu czy też jego piekielnego odpowiednika. Zaczyna krążyć w moich żyłach, dodając mi energii.

Ale zamiast pochwycić ją w objęcia, wyczołguję się na błotnisty brzeg Acheronu.

Kara znów zniknęła, jakby nigdy jej tu nie było.

A ja nawet nie mam siły, by zawyć z bólu.

Przekręcę się na plecy i błagam krwawą mgłę, by mnie zabrała. Nieważne dokąd, byle jak najdalej od tych opuszczonych moczarów i jak najbliżej Kary. Mgła nie odpowiada. Chcę powtórzyć swoje błaganie, ale nagle przysłaniają ją jakieś zbliżające się twarze.

– Coś ty sobie, do cholery, myślał, Maximusie? Jak mogłeś być tak lekkomyślny?

Charon rzy ochrypłym głosem.

– Pierwszy dureń od czasów Achillesa, który przeżył ten wyczyn.

Gio podnosi gwałtownie wzrok.

– Achilles? Poważnie?

– A wyglądam na żartownisia? – pyta przewoźnik i nie czekając na odpowiedź, przerzuca sobie wiosło przez ramię, po czym rusza z powrotem do swojej łodzi, która ugrzęzła w mule. Gdy wypycha ją na rwącą rzekę, dźwigam się do pozycji siedzącej.

– W porządku? – pyta cicho Gio.

– Nie jestem pewien – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Gdzie boli? – pyta tonem tak pełnym troski, że zmuszam się, by na niego spojrzeć. Przez krótką chwilę widzę wszystko w zupełnie innym świetle. Zmarszczki na jego twarzy niemal się wygładziły, a przystrzyżona siwa broda poczerniała. Na powrót stał się człowiekiem sprzed lat, jakim Kara musi go pamiętać. Dziadkiem, który podnosi ją po upadku.

Nagle mam ochotę posiedzieć dłużej na tym brzegu i posłuchać ojcowskich pochwał, których brakowało mi w dzieciństwie.

Czy na pewno?

Ale teraz nie mam czasu ani siły wracać do tamtego pogrzebanego wspomnienia – i innych, do których może prowadzić.

– Znów widziałem Karę, Gio. W wodzie. Była tak blisko, niemal w moim zasięgu...

Marszczy brwi.

– Znów?

– Mógłbym przysiąc, że widziałem jej twarz w tamtej chrzcielnicy, a potem w sadzawce na cmentarzu. Teraz była tak blisko, że prawie mógłbym jej dotknąć. Nie zwariowałem, naprawdę. To było takie realne.

– Wiem – mówi tym samym pokrzepiającym tonem, choć tym razem z mocą. – Wierz mi, synu, wiem.

Potrzebuję chwili, by jego słowa do mnie dotarły.

– Naprawdę? – dopytuję, łapiąc oddech.

Kiwa ponuro głową.

– Miałem to samo z Charleną. Może zauważyłeś, że w moim domku nie ma ani jednego lustra. Całymi latami prześladowały mnie jej wizje, aż w końcu nie wytrzymałem. Nie byłem w stanie patrzeć na jej twarz... nie mogąc jej dotknąć, usłyszeć, posmakować...

– Wow – mówię współczująco, choć w duchu zastanawiam się, czy kiedykolwiek zdołał się uwolnić od tęsknoty. Może po prostu nauczył się omijać lustra.

Gdy już myślę, że powie coś jeszcze, wstaje i podaje mi rękę.

– Nie ma sensu tego roztrząsać, mówię z doświadczenia. Chodź, znam miejsce, w którym możemy odpocząć.

Mimo że moje ciało najchętniej nigdzie by się nie ruszało, nawet skuszone wizją odpoczynku, z ulgą oddalę się od tej przeklętej rzeki.

A wędrówka, nawet przez to skrzyżowanie Everglades z Antarktydą, z każdym krokiem przybliżyła nas do Kary.

Tylko dzięki tej myśli przemierzam milę za milą. Jestem teraz tak skupiony na swoich ołowianych stopach, gniewnie nakazując im się podnosić, że dopiero gdy wpadam na Gio, zdaję sobie sprawę, że się zatrzymał. I że spowija go delikatna bursztynowa poświata wylewająca się z budowli, która wyrasta z lodu niczym kosztowna dekoracja rodem z broadwayowskiego musicalu.

– Szlachetny zamek – wyrywa mi się.

Widzę mury i dach, ale brak tu pięknego strumienia i rozległej łąki, które pamiętam z pieśni Dantego. To nawet dobrze, jeśli to samo tyczy się tłumów cnotliwych pogan zamieszkujących zamek. Przy innej okazji odważyłbym się na nocleg skuszony perspektywą dyskusji z Homerem, Sokratesem, Orfeuszem czy Hipokratesem, ale teraz marzę tylko o objęciach Morfeusza.

– Zależy, co rozumieć przez „szlachetność” – mówi Gio. – Ale przynajmniej mamy cały tylko dla siebie.

– Bardziej od szlachetności interesuje mnie bezpieczeństwo – odpowiadam. – Wygląda na opuszczony, ale czy masz co do tego absolutną pewność?

Starszy pan parska śmiechem.

– Naprawdę pytasz mnie, czy mam co do czegoś tutaj absolutną pewność? – Ściąga łopatkę, a potem drugą. – Mogę tylko powiedzieć, jak było poprzednim razem. Ale jeżeli w reguły gry się od tamtego czasu zmieniły, to się do nich dostosujemy.

Odpowiadam sztywnym kiwnięciem głowy.

– W porządku.

– Naturalnie nie zabawimy tu długo...

– Dziesięć minut w zupełności mi wystarczy.

Tym razem uśmiecha się półgębkiem.

– Może jednak zostańmy trochę dłużej.

– Dobrze, ale góra kwadrans. – Teraz i ja prawie się uśmiecham.

Czyżbyśmy wyklócali się o parę minut w miejscu, w którym czas to pojęcie bardzo względne?

Gdy przekraczamy olbrzymie wrota, odpowiedź przestaje mieć znaczenie. W środku jest jaśniej, niż się spodziewałem, choć krzykliwe włoskie akcenty kojarzą mi się ze stylem, w jakim jest utrzymana posiadłość Valarich. Zerkam na Gio i staje się jasne, że on też nie jest jego fanem.

Ale już wszystko mi jedno. Zasnąłbym nawet na łożu fakira. Na masywnym skórzanym szezlongu, który znajduję, czuję się, jakbym płynął na chmurze. W ciągu kilku sekund ściągam koszulę i buty i jestem gotowy do drzemki.

Nie jest mi jednak dane długo się nią nacieszyć.

Kara

TO NIEPOKOJĄCE, że chwytam się paru miłych słów Hadesa jak tonący brzytwy, ale ma rację: potrzebuję odpoczynku. Co w wolnym tłumaczeniu oznacza dłuższą nasiadówkę z poduchami na królewskim łożu stojącym pośrodku mojej komnaty. Pięćdziesiąt procent mojego DNA, ta ludzka połowa, daje o sobie głośno znać, domagając się snu. I choć ten udrapowany mebel jest piękny, nie chcę umrzeć z wycieńczenia.

Pokrzepiona myślą, że mój gospodarz nieprędko wróci, podchodzę do wysokiego pluszowego materaca. Wzdycham błogo, szczęśliwa, że nareszcie mogę zamknąć oczy i uciec w nicość.

W spokój...

Ta myśl przebija rozkoszą najmniejszy z koców, gdy kładę głowę na poduszce. Po raz pierwszy, odkąd Hades porwał mnie z imprezy Rereka, oddycham pełną piersią i czuję się wolna. Na tyle, by pozwolić myślom powędrować do Maximusa.

Znów jest w chmurach. W pięknych kłębiastych chmurach płynących przez krajobraz moich wspomnień. Powietrze, woda i wiatr pracują wspólnie, by stworzyć jego włosy, uśmiech i oczy.

Wkrótce pojawiają się jego ramiona, szeroka klatka piersiowa i rzeźbione mięśnie brzucha, a na końcu oszałamiająco długie nogi. Staje

przede mną w całej krasie. Tylko... jakim cudem? Przecież nie może tu być, prawda? Nie na tych pograżonych w ciemności przedmieściach wyludnionej stolicy piekła.

Chciałabym nie mieć tej pewności. Wyobrażam sobie jego światło rozświetlające mroki mojego nieprzeniknionego więzienia. Jest tak piękny, że aż z oczu kapią mi łzy. Bo myśl, że jest niedaleko, że przeżył wędrówkę po piekle, że przyszedł, by mnie odnaleźć, jest niemądra. Tak jak nadzieja, że jeszcze kiedyś go zobaczę, że jeszcze będzie mój...

Ogarnia mnie nowa fala rozpaczy, niweczając próbę zaśnięcia. Dźwigam się, siadam i otwieram oczy. Prawie cała komnata tonie w ciemności. Z mojej piersi wyrywa się kolejne westchnienie.

Nagle słyszę jakiś cichy szelest.

Oszołomiona wyprężam się jak struna. Mój wzrok pada na ciemnoczerwoną sofę po drugiej stronie komnaty.

– Hm? – mruczę pod nosem. To dziwne, nie pamiętam, by tam stała.

Fantazja i rzeczywistość kontynuują swój płynny taniec, bo nagle dostrzegam, że leży na niej Maximus pograżony w niespokojnym śnie. Walc staje się jeszcze piękniejszy, gdy podnosi głowę i nasze spojrzenia się spotykają. Omiatam wzrokiem jego płową grzywę rozrzuconą na pysznej mahoniowej poduszce.

Moja skóra gwałtownie potnieje z podniecenia. Drzę z pragnienia, by się zerwać i rzucić na niego, wpleść palce w jego gęste włosy i przelać w pocałunki całe pragnienie mojej duszy i ciała.

Ale tego nie robię.

Bo wiem, że to tylko iluzja.

„Jeszcze chwilę” – błagam swoją świadomość. – „Proszę, daj nam się sobą nacieszyć.”

Gdyby to tylko nie był sen...

– Kara?

Nie potrafię się oprzeć jego wołaniu. Wstaję z łóżka i pozwalam sukni zsunąć mi się z ramion na podłogę. Wychodzę z niej, nieśpiesznie i uwodzicielsko.

– Kara – powtarza ochryple. – To... ty... nie możesz...

W duchu dziękuję opatrności, drżąc od kolejnej fali wilgoci na skórze. I nie tylko na skórze...

– To ja – odpowiadam ochrypłym szeptem. – To naprawdę ty?

Odrywa się od sofy, pokazując mi więcej swojego zapierającego dech w piersiach torsu. Nie mogąc się powstrzymać, oblizuję usta. Jest taki apetyczny. Tak olśniewająco piękny. I tuż obok.

– Tak.

Nie wiem, ile w tym prawdy, ale wszystko sprawia tak realne wrażenie, że nie trzeba mnie przekonywać. Jeszcze nigdy tak nie pragnęłam, by sen był rzeczywistością.

– Tak bardzo... za tobą tęsknię – moje wyznanie przerywa szloch. Każdy centymetr mojego ciała, od cebulek włosów aż po palce u stóp, drży z nieznośnego pożądania.

– To chodź do mnie – szepcze mój kochanek. Jego rozcapierzone na udach dłonie przesuwają się do boków. To nie tylko zaproszenie. W jego oczach stają łzy – teraz są niczym dwa oświetlone błyskawicą jeziora. Przęłyka niepewnie. – Chodź do mnie, znajdź mnie.

Uśmiecham się, ale jestem w stanie zrobić tylko jeden krok.

– Nie mogę... – szepczę ochryple.

Jego brwi się ściągają.

– Dlaczego?

– Boję się.

– Mnie?

– Nie. – Besztam go cichym śmiechem i tak mi dobrze. – Boję się...

– Czego?

– Że znikniesz. Że nie jesteś...

– Prawdziwy? – Uśmiecha się półgębkiem. Na ten widok serce zawsze bije mi mocniej. – Tak jak śliwodaktyle, które moglibyśmy przysiąc, że kupiliśmy wtedy na targu, a które nie dotarły do mojego mieszkania?

Tym razem serce przestaje mi bić.

Ośmielam się zrobić jeszcze jeden krok.

– Nikomu o tym nie opowiadałam – mówię powoli i z namysłem.

Maximus patrzy mi prosto w oczy.

– Ja też nie.

Teraz to ja przełykam z trudem.

– Przypomniałam sobie o nich dopiero w domu.

Błyskawice wreszcie sięgają jego oczu, rozświetlając je oślepiającym światłem.

– Lubię, gdy nazywasz moje mieszkanie domem.

Robię kolejny krok w jego stronę. Nadal tu jest. Zmuszam się, by w to wierzyć.

– Ty jesteś moim domem.

– A ty moim. Na zawsze i na wieczność.

Siła jego przyrzeczenia aż wibruje w powietrzu, do tego stopnia, że pragnę wyciągnąć ręce i złapać ją jak wstążki. Rozglądam się, usiłując dojść, gdzie się kończy moja komnata, a zaczyna jego pokój. Ale to nie w nim się znajduję. Wnętrze zupełnie nie przypomina jego kawalerki w centrum Los Angeles, w której nasza miłość i namiętność miały swój początek, rozkwitając jak za sprawą magii.

– To przypadek, zderzenie snów...?

– Nie wiem. Ale czy to w ogóle ważne? – pyta gorliwie. – To dar, Karo. Dar, o który błagałem los, odkąd zniknęłaś.

Rozpacz uderza we mnie niczym trzyipółmetrowa fala na Venice Beach.

– Przepraszam. – Wykręcam dłonie. – Tak bardzo przepraszam. Powinnam była zachować większą ostrożność. I wiedzieć, że Rerekowi nie można ufać. Gdybym tylko...

– Przestań – przerywa mi. – Hades cię porwał i w żadnym wszechświecie to nie jest twoja wina. Jesteś błyskotliwa, silna, troskliwa i spostrzegawcza, ale nie umiesz czytać w myślach. Ja też nie.

Wciągam głęboko powietrze, próbując wchłonąć jak najwięcej pociechy zawartej w jego słowach. Ale w mojej duszy nadal panuje mrok, a stopy mam przyklejone do posadzki.

– Co teraz?

Maximus podciąga się odrobinę wyżej, momentalnie wypełniając sobą naszą piękną bańkę.

Jego spojrzenie nabiera intensywności, mięśnie objętości, a głos głębi i isticie boskiej pewności siebie.

– Na razie cieszymy się chwilą. Szansą, którą nam dano, by nabrać sił.

Świdruje mnie swoimi błękitnymi oczami przepełnionymi nadnaturalną wiarą. Odpowiedzi na moje wcześniejsze pytania... On już je zna. I wie, że ja również.

– Chodź do mnie, Karo. Pozwól mi się poczuć.

I ot tak moje serce się otwiera, wszelkie wątpliwości znikają, a ciężkie niewidzialne kajdany opadają z nóg.

Oswobodzona lecę jak na skrzydłach, wyciągając do niego rękę.

Padam na niego i rozkoszuję się ciepłem jego ciała. Bezpiecznym kokonem jego objęć. I w końcu – w końcu – boską eksplozją jego wygłodniałych pocałunków.

Znów się zatracam, ale tym razem pozytywnie. Jestem bezradna w dżicy jego pięknych ust, pławiąc się pod wezbranym wodospadem jego języka, gdy dopadamy do siebie, pragnąc więcej.

Więcej. Pragnę jeszcze więcej.

I to biorę.

Wchłaniam jego aksamitny jęk, który z miejsca wzmacnia pracę moich mięśni. Kleszcze jego mocarnych dłoni zaciskają się na mojej talii, a moje podbrzusze drży z rosnącego pożądania. Rozkładam uda i opadam miednicą na jego zamknięty w spodniach wzwód. Zaczynam go ujeżdżać, mokra i gotowa na jego przyjęcie.

Czując moje podniecenie, opuszcza głowę na wyszywaną brokatem poduszkę. Nasze usta rozchylają się jednocześnie: jego, by złapać powietrze, moje, by ugryźć go pod szczęką. Jego broda ma niepowtarzalny posmak soli i potu. Dla mnie to najpotężniejszy afrodyzjak świata. Może ustępuje miejsca jedynie jego pomrukowi, w którym słychać pełnię jego uwielbienia i samotności. To wołanie budzi moje najgłębsze wewnętrzne instynkty. Moje ludzkie serce opanowuje burza zmysłów, a w demonicznej duszy rozpętuje się zakazane piekło, przepelniając gwałtownym ogniem całe moje jestestwo. To więcej niż opętanie.

– Maximusie – błagam, gdy całe to pożądanie uderza mi do głowy jak szampan. Jest mi teraz tak gorąco. Tak zmysłowo. A to może oznaczać tylko jedno: jest tu ze mną, w każdym sensie. Czuję przyspieszone bicie jego serca. Błyskawicznie rozbudzone pożądanie. Ale to wciąż za mało. Dużo za mało. Tylko jedna siła jest mnie teraz w stanie zaspokoić. Uzupełnić.

– Pragnę cię – mówię, dysząc ciężko.

– Wiem, ukochana – szepcze mi do ucha podnieconym, ochryłym głosem. – Pomóż mi.

Pośpiesznie rozprawiamy się ze sprzączką i guzikami jego spodni, po czym splecionymi palcami rozpinamy rozporek i zsuwamy bieliznę, uwalniając twardego, nabrzmiąłego penisa. Maximus jęczy i wygina biodra, napierając na mnie z taką żądzą, że nieruchomieję, zapominając nawet o oddychaniu.

– Odnajdź mnie – szepcze ochryple. – Wróć do mnie, Karo...

Gdy we mnie wchodzi, jego imię więźnie mi w gardle. Zaczynamy się rytmicznie poruszać. Nadal łapię powietrze jak ryba, czując, jak we mnie rośnie i daje mi ciepło, którego tak potrzebuję. W niczyich ramionach nigdy nie będzie mi tak dobrze i bezpiecznie. Jest moją siłą. Światłem przewodnim mojej duszy. Okiem mojego cyklonu.

Mówię mu to wszystko i więcej intensywnością spojrzenia i siłą napierającego ciała. W odpowiedzi jedną ręką chwyta mnie za kark, drugą dyktując zwierzęcy rytm naszych ciał. W rozkwitającym mi w piersi świetlistym kwiecie czuję każdy najmniejszy niuans jego reakcji. Każdą kroplę żądz. Każdy przebłysk jego uwielbienia. Każdy cal naszych pięknych więzi.

Wszystko to narasta niczym słońce wyglądające zza skłębionych chmur, aż wreszcie nie jestem w stanie wytrzymać oślepiającego blasku. Napięcie w moim ciele staje się nie do zniesienia. Jego żądza wymyka się spod kontroli. Mimo to ze wszystkich sił próbuję odwlec chwilę spełnienia.

– Kocham... cię – wykrztuszam z siebie.

Unosi kąciki ust.

– A ja... kocham ciebie.

– Już na zawsze.

– Na zawsze, mój słodki demonie.

Jego deklaracja jest jak odpalenie lontu w dynamicie spełnienia rozlewającego się po moim ciele. Odrzucam głowę i ściskam jego palce, krzycząc z rozkoszy biegnącej od cipki do samego gardła. Zwieńczeniem jest ryk Maximusa towarzyszący gwałtownym drgawkom jego rozgrzanego ciała.

Najpotężniejszy afrodyzjak w połączeniu z najbardziej magicznym orgazmem.

Ale wszystko się kończy, gdy zdaję sobie sprawę, że światełko w moim umyśle to wcale nie wychodzące zza chmur słońce.

To oko boskiego włamywacza. Podglądacza równie perwersyjnego, co nieproszonego. Intruza, który teraz opiera się o ścianę tuż obok, nie odrywając od nas oczu, brukając każdy centymetr naszych splecionych ciał swoim lubieżnym wzrokiem.

Hades.

– N-n-nie – wykrztuszam. – Błagam, tylko nie to!

Maximus mruga sennie i podąża za moim wzrokiem.

Władca zaświatów uśmiecha się półgębkiem. Gdy drugi kącik jego ust dołącza do pierwszego, wypowiada tylko jedno słowo:

– Fascynujące.

Pięć sylab.

Pięć sekund, w ciągu których mój raj zamienia się w piekło. Piękne marzenie staje się na powrót koszmarem potępieńca. Ze szczytów niewysłowionego szczęścia spadam w otchłań najstraszliwszego horroru.

Spanikowana pośpiesznie odskakuję od Maximusa, który natychmiast rozplywa się w powietrzu. Jego zniknięcie potęguje moją udrękę – oraz uciechę Hadesa. Jestem tego pewna. Bo wreszcie udało mu się włamać.

Znalazł największą szczelinę w pancerzu mojej duszy i rozszerzył ją na tyle, by się prześlizgnąć.

Dotrzymał swojej przerażającej obietnicy w ohydny sposób.

Maximus

MÓGŁBYM PRZYSIĄĆ, że ledwie dotknąłem głową poduszki, a już się zrywam, zaalarmowany tysiącem syren w mózgu. Mrugam z mocą, ale wzrok nadal mam lekko zamglony.

Gdy krótki sen rozplywa się w powietrzu, wszystko sobie przypominam.

A im dłużej o nim myślę, tym realniejszy się wydaje. To już nie są czary-mary w zmarszczonej tafli wody czy prądzie rzeczonym.

Ta wizja była... inna.

Czułem i widziałem Karę jak żywą. Namacalne nagie krągłości i nieposkromiona żądza...

Którą pragnę raz po raz zaspokajać.

Od początku do końca.

Rozmawialiśmy o tamtych zaginionych śliwodaktylach... Tamten ranek był idealny – dopóki nie złożyliśmy wizyty Ardenowi. Ale dzień i tak zakończył się cudownie, bo byliśmy razem.

Nierozłączni. Wpatrzeni w siebie i na zabój zakochani.

Na te wspomnienia, na myśl o niej przepełnia mnie upajająca energia i równie silne pragnienie powrotu do tych wspaniałych chwil. Nawet pod postacią snu, w którym czuję na sobie jej nagie ciało.

A potem się w nie zagłębiam, sięgając szczytów ekstazy.

Nic się nie umywa do jej boskiego ciała. Jej porywającej namiętności. Jest moim pokarmem. Deszczem na mojej pustyni. Szczytem góry. Porządkiem w moim chaosie.

Ale nagle to do mnie dociera. I uderza jak obuchem, gdy przypominam sobie więcej szczegółów zakończenia mojego snu. Przerażone oczy Kary. Jej drżące ciało. Paniczną ucieczkę.

Którą ratowała się nie bez powodu.

Bo nagle widzę drapieżne oczy Hadesa, których od nas nie odrywa.

Tuż przed tym, jak Kara rozpląta się w powietrzu, między nami pojawia się coś na kształt niewidzialnego, acz nieprzeniknionego pola siłowego, tyle że utkanego z czystego zła. Tego wrażenia nic nie jest w stanie zatrzeć w moim umyśle.

Wrażenia, które jest potwierdzeniem i ostrzeżeniem zarazem.

– Cholera – mruczę pod nosem. Walczę z drgawkami, ale ponoszę sromotną porażkę.

Jestem pewien, że to nie był tylko sen. Ta... wizja była namacalna, rzeczywista. Rzeczywistością stały się również nowe głębie, do jakich dokopał się Hades, profanując swoim podglądactwem nasze najintymniejsze chwile.

Nigdy więcej.

Choć szok spowodowany jego zuchwałością blednie przy bólu, jaki wywołuje utrata Kary, jego obecność oznacza, że jest nadzieja.

Ona nadal z nim jest. A to znaczy, że jeśli znajdę jego, znajdę i ją.

Moje zmysły opanowują wściekłość i rozgoryczenie, przeobrażając się w burzę, której nie jestem w stanie rozpedzić. Tego wybuchu nie powstrzymam.

Nie chcę go powstrzymać.

W jednej sekundzie zapinam spodnie i podrywam się z szezlonga, który przewraca się i uderza w ścianę. Mój ryk wściekłości jest złożoną sobie obietnicą, że Hadesa spotka ten sam los. Nie dbam o to, kim jest ani do czego jest zdolny. Jeśli piekło się zawali, gdy będę urywał mu łeb, niech i tak będzie.

Wybiegam z wielkiej sali i zaczynam zaglądać do kolejnych komnat, dopóki nie znajduję pogrążonego we śnie Gio. Nie chcę go budzić, ale odnalezienie Kary jeszcze nigdy nie było tak pilne. Możliwe, że to nawet kwestia życia i śmierci, choć nie chcę myśleć czyjej – jej czy mojej.

Potrząsam jego ramieniem, by go obudzić. Wyrwany ze snu spogląda na mnie spanikowanym wzrokiem.

– Co się stało?

– Znów ją widziałem – mówię, przełykając z trudem. – To było do bólu realne. Hades ją ma. Jest z nią. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Jeszcze nie jest za późno, ale...

Jego twarz ściąga się z niepokoju.

– Zaraz może być. Ruszajmy. Wyśpię się po śmierci.

Wypuszczam z ulgą powietrze.

– Dziękuję.

Parę minut później zostawiamy świetlisty zamek za sobą, pchani nowymi pokładami lęku i determinacji.

– Jeśli jest z Hadesem, musi być w stolicy. W końcu to tam rezyduje władca piekieł, prawda?

Gio odgania rój agresywnych much, które znikają równie szybko, jak się zjawiały.

– Logiczne przypuszczenie. Ale niestety to oznacza również, że przed nami jeszcze długa droga.

Zaciskam zęby, by stłumić jęk. Trzeba zwiększyć tempo. Muszę ją odnaleźć. A za przewodników mam tylko mapę literackiego piekła w głowie i starca, któremu pół wieku temu udało się uciec z prawdziwego.

– Muszą istnieć jakieś skrót.

Gio kręci słabo głową.

– Przykro mi, ale ich nie znam. Na nasze nieszczęście jestem zwykłym śmiertelnikiem. – Mruży oczy, wpatrując się w światło przed nami.

A raczej światła. Ich źródłem jest dziewięć misternych świeczników ustawionych w półkolu wokół wysokiego, obitego skórą tronu na ozdobnym podeście.

– *À propos* nieśmiertelnych... – szepcze Gio.

Lęk, który towarzyszy mi od przybycia, przysłania dziwna rozwaga.

Nawet rozparta na tronie bestia, która czeka na nas ze spokojem przemierzonym z ostrożnością, nie jest w stanie tego zmienić.

Zuchwałość bije od niej niczym poświata od otaczających ją niegasnących świec. Jest muskularna i czarnooka, a jej ciemna, pomarszczona skóra fakturą przypomina pokrycie tronu, na którym zasiada, co mnie zbytnio nie szokuje, biorąc pod uwagę dziwy, które tu do tej pory widzieliśmy. Wieczność odciska swoje piętno na każdym, nawet na bestii.

Nawet na Minosie. Piekielnym sędzi potępionych.

Gdy się zbliżamy, ten tajemniczy, osobliwy stwór przygląda nam się z lekkim zaciekawieniem.

– Kto znów kaźni przekroczył krawędzie? – Na otaczającym nas pustkowiu rozbrzmiewa jego zaskakująco dźwięczny głos.

Jestem niemal pod wrażeniem – dopóki nie rozwija wrzecionowatego ogona przypominającego skórzany bicz, którym zagraża nam drogę.

– No więc? – dopytuje, unosząc brew ze złośliwym uśmieszkiem, który trudno pomylić z wyrazem rozbawienia. Niegdyś może i władał jedną z legendarnych ziemskich cywilizacji, ale teraz jest bestią w służbie Hadesa.

Na tę myśl wyprostowuję się dumnie. Pora udowodnić, że zasługuję, by tu być. By odbyć tę podróż. I że niestraszna mi żadna bestia krainy umarłych.

Biorę głęboki oddech i ruszam do przodu zdecydowanym krokiem.

– Nazywam się Maximus Kane. A to mój przewodnik, Giovanni Valari.

– Valari. – Minos obrysowuje szponem swój drwiący uśmieszek, opierając na nim głowę. – Znajome nazwisko. Wróciłeś, by kusić los, Giovanni?

– W szczytnym celu. – Królewska postawa Gio przeczy pokorze w jego głosie. – A jest nim oddanie tego człowieka jego jedynej, prawdziwej miłości.

Surowa postać na tronie wydaje z siebie gardłowy pomruk.

– Ideały nie są tu w cenie. Nawet szczerą miłość. Choć właściwie to szaleństwo potrafi popchnąć człowieka do największych grzechów.

– On nie jest grzesznikiem – odparowuje Gio. – A w każdym razie nie takim jak ja. Chcemy tylko przejść, bo szukamy mojej wnuczki.

Słyszając to, bestia wybałusza oczy. Przed kilka sekund jej ogon wywija nawet ósemki w powietrzu.

– Mowa o piękności przebywającej w gościnie u Hadesa? Słyszałem o niej. To twoja wnuczka? Proszę, proszę. To mi pachnie poetycką sprawiedliwością.

Zanim kończy, zaczynam się gotować z wściekłości. Te słowa zamieniają moje nerwy w napięte postronki. Z gardła wyrywa się groźny pomruk, którym na powrót ściągamy na siebie uwagę bestii.

– Ty, Maximusie Kane, nie masz tu czego szukać. Nie popełniłeś żadnego grzechu śmiertelnego, który wymagałby mojego sądu. Co więcej, nie jesteś nawet martwy. – Przenosi spojrzenie na Gio. – Z technicznego punktu widzenia ty też nie, Valari, ale jeszcze nie zapłaciłeś za swoje grzechy.

– Zapłaciłem za nie, do diabła! – woła ze złością Gio, ruszając w stronę Minosa z zaciśniętymi pięściami i wysuniętą szczęką. Obaj próbowaliśmy grzecznie, ale przebrała się miarka. Nie będziemy łechtać niczyjego ego. – Po tyśiąckroć zapłaciłem! Nawet sam Hades...

– To nie Hades jest twoim sędzią, lecz ja – przerywa mu Minos. – Więc podaj mi choć jeden dobry powód, dla którego nie powinienem z miejsca wrzucić cię do czwartego kręgu, byś wreszcie odpokutował za swoją chciwość.

Najwyższa pora, żeby wkroczyć do akcji. Nie mogę sobie pozwolić na utratę Gio, który jest nie tylko moim przewodnikiem, ale i przyjacielem. Poza tym Karze złamałaby serce świadomość, że ratując ją od mąk piekielnych, jej dziadek sam się na nie skazał.

– Wiesz, kim jestem?

Ogon bestii wślizguje się między nas, gdy jego właściciel milknie, zastanawiając się nad moim pytaniem.

– Rzeczywiście wydałeś mi się znajomy.

– Może to przez rodzinne podobieństwo. – Wypowiadając te słowa, nagle czuję, jak krew krzepnie mi w żyłach, bo uświadamiam sobie, że jestem z tą bestią spokrewniony. I nie tylko z nią.

Minos przekrzywia głowę, przyglądając mi się pytająco.

– Jestem synem Zeusa – oznajmiam zdecydowanie, po raz pierwszy bez wahania się do tego przyznając.

Minos wybucha ogłuszającym śmiechem, od którego zdaje się trząść ziemia.

– Wracaj, skądś przyszedł, głupcze. Zostaw tego uciekiniera jego losowi i precz.

– Mówię, że jestem synem Zeusa – powtarzam z mocą, zastanawiając się, czy naprawdę mi nie wierzy. W końcu nie mam przy sobie aktu urodzenia, by tego dowieść.

– Zrodzonym ze śmiertelniczki, tak?

– Tak. Ale martwić się musisz tylko naszym ojcem. „Nikt nie jest dość silny, aby nam bruździł, gdy Bóg wolność daje”^{*}.

Wyraz twarzy Minosa lodowacieje.

– Sądzisz, że pochodzenie daje ci prawo, by przejść bez sądu?

– Zeus jest twoim ojcem i bogiem. W moich żyłach płynie jego krew. „Ten, co nam zejście w nowy świat otworzy”^{**}. Nie wiem, jak ty, ale ja to nazywam boską pomocą.

Minos wstaje z tronu, demonstrując pełnię swojej potężnej sylwetki. Ale jego gabaryty nie onieśmielają mnie tak jak drwiący uśmiezek, który mi posyła.

– Nie łudź się, śmiertelniku. – Prycha i ściąga łopatki, jakby miały mu zaraz wyrosnąć skrzydła. – Czytasz o rzeczach, o których nie masz pojęcia.

Gdy się nadyma, Gio cofa się niepewnie o parę kroków. Staję w rozkroku, twardo nie ustępując pola. Masywny ogon Minosa unosi się i uderza o ziemię między nami. Nie namyślając się, rzucam się nań całym ciężarem ciała i ciskam na bok. Olbrzymia bestia traci równowagę i z hukiem opada na tron.

– „Zejdźcie w nowy świat otworzy”. – Mój pomruk przeradza się w coś groźniejszego, a przez palce zaciśniętych pięści strzelają minibłyskawice.

Minos ciężko dyszy, czerwieniejąc ze złości.

– Czy ja ci wyglądam na zejście, chłopcze?

– Wyglądasz na kogoś, kto stoi mi na drodze. Skutek ten sam. Ale jeśli boska krew nie wystarczy, by budzić respekt, wiedz, że mam też matkę, która rzadko przyjmuje odmowę. To nie jest trudne. Odsuń się i pozwól. Nam. Przejść.

Coś chyba wreszcie do niego dotarło, bo zaczyna się zastanawiać. Mimo to przenosi jeszcze spojrzenie na Gio.

– A dezerterski?

Gio ostrożnie staje u mego boku.

– Nie ty jeden chciałbyś mnie widzieć na dnie piekła. Zanim ta podróż dobiegnie końca, jeden z innych strażników z pewnością dopilnuje, by sprawiedliwości stało się zadość. Ale w odróżnieniu od nich masz moc wyznaczania pokuty i okazania miłosierdzia. Miłosierdzia, którym zaskarbisz sobie wdzięczność drugiego półboga. A może dług wdzięczności przestał być walutą w piekle? Dawno mnie tu nie było.

Błoto pod naszymi stopami trzęsie się od przeciągłego pomruku zastanowienia Minosa. Wreszcie zwija swój ogon i odwraca wzrok. Mam wrażenie, że odnieśliśmy małe zwycięstwo, ale zdążyłem się już przekonać, że w tym miejscu niczego nie można być pewnym.

W niebo strzela kolejny rój much, ściągając na siebie naszą uwagę. Nie będę czekał z założonymi rękami, aż narcyz na wysmukłym tronie namyśli się i raczy nas przepuścić. Mijając go pośpiesznie, słyszymy gniewne chłaśnięcie ogona o suchą ziemię za nami i jego słowa:

– Niech wszystkie moce światła będą z tobą, synu Zeusa. A jeśli cię opuszczą, być może znów się spotkamy. Wtedy przypomnę ci o wielkim

długu wdzięczności, który wobec mnie masz.

Po pożegnaniu z Minosem przez dłuższy czas idziemy w milczeniu. Tak jak się tego obawiałem, w dali rysują się przed nami smagane wiatrem stepy. Niestety dla nas, właśnie tak wyobrażałem sobie rozszalałą wicherę w drugim kręgu piekła. Jej gigantyczny wir podnosi każde ziarnko piasku, każdą grudkę błota i lodu, jakie napotyka na swojej drodze. Choć nawet wiedza nie jest mi pociechą w trakcie tej wyniszczającej wędrówki, dzięki determinacji udaje mi się wykrzesać z siebie siłę, by stawić czoło temu i wszystkim czekającym nas wyzwaniom.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń VIII.

** Tamże.

Kara

– ZBUDŹ SIĘ.

Polecenie Hadesa wstrząsa mną, zmuszając do otwarcia oczu. Pierwszą myślą, jaka przychodzi mi do głowy, jest podejrzenie, że zadomowił się w mojej podświadomości na tyle, by pozwolić sobie na telepatyczne budzenie.

Gwałtownie wstrzymując powietrze, siadam w łóżku. Wbijam palce w czaszkę, jakbym chciała ją sobie rozłupać, ale nie czuję się na nowo zbrukana.

Jedynym doznaniem, które mnie nie opuszcza, jest kompletne zaskoczenie. Najwidoczniej tylko jego ostrze jest na tyle silne, by przebić moją drżącą rozpacz. Niemal nie śmiem w to wierzyć. Czy to możliwe, by Maximus znalazł drogę do samego piekła? Czy to dlatego ukazuje mi się w coraz wyraźniejszych wizjach?

Tylko jak?

Na pierwszą myśl z gardła wrywa mi się jęk, który ledwie udaje mi się stłumić. Jeśli przyspieszył swoją śmierć, to własnoręcznie jeszcze raz go zabiję.

– Miałaś miłe sny? – pyta słodkim tonem Hades, ale w jego słowach nie ma ani krzty szczerości. Skupia na mnie wzrok, ale wydaje się bardziej

podminowany. Nerwowy.

– Nie... nie wiem – przyznaję.

Może to był rzeczywiście sen, ale dopóki nie zdałam sobie sprawy z jego obecności, moje zbliżenie z Maximusem było więcej niż niebiańskie. Gdy rozpląnął się w powietrzu, zrobiłam jedyne, co przychodziło mi do głowy: uciekłam do łóżka, modląc się, by sen wrócił.

Potrząsam lekko głową, nakazując sobie, by w to uwierzyć. Maximus był tu, w moich ramionach. Zamykam oczy i pozwalam się ogarnąć słodkim wspomnieniom. Jego dotyk, szeptane wyznania, namiętne pchnięcia. Serce zaczyna mi szybciej bić, a umysł zalewa fala upojnych obrazów.

Był tu. Wiem to. Jakimś cudem nadal czuję go w sobie niczym echo naszego cielesnego zbliżenia.

Po raz pierwszy od nie wiem jak dawna oddycham pełną piersią. W miarę jak moje płuca napełniają się powietrzem niczym balon, robi mi się lekko na duszy. Czy to się dzieje naprawdę? Maximus jest tak blisko? Czy istnieje choćby najmniejsza szansa, że nie zobaczę mojego ukochanego jedynie w zaparowanym lustrze czy ulotnej mgle? A jeśli tak, to kiedy się spotkamy?

Kolejny oddech przynosi jednak otrzeźwienie. Jestem więźniem w potężnym zamku w stolicy piekła, w samym jego środku, a moje dni są policzone. Jeśli Maximus nie przyjdzie po mnie, zanim nie zasile szeregów mieszkańców Dis – albo co gorsza jednego z odległych dystryktów – istnieje duże prawdopodobieństwo, że znajdzie tylko moje rozczłonkowane zwłoki.

Choć w duchu błagam go o pośpiech, natychmiast mam ochotę to cofnąć. Jeśli mnie tu odnajdzie, natknie się na Hadesa, czego mój porywacz jest świadom, sądząc po bijącej od niego wściekłości. Jego milcząca furia

przypomina iskry tryskające w hucie stali – do tego stopnia, że syczę z bólu, gdy chwyta mnie za ramię.

– A teraz się ubieraj – nakazuje. – Muszę zwołać naradę dowódców. Odtąd będziesz mi wszędzie towarzyszyć. Nie chcę stracić ani chwili z tobą i twoimi niezwykłymi darami – dodaje szyderczo.

Nie umiem orzec, czy to rzeczywiście wściekłość, czy może wyraz jego wynaturzonej fascynacji. Boję się, że odeśle mnie, zanim zdołam rozwikłać zagadkę tego mrocznego boga.

Pośpiesznie spełniam jego polecenie, choć się go nie spodziewałam. Despoci są z reguły przewidywalni, ale jego chaotyczny gniew przytępia moje zdolności.

Idziemy korytarzem do ogromnej okrągłej sali, pośrodku której stoi czarny kamienny stół. Jego potężny pulpit o średnicy ponad pięciu metrów podtrzymuje gromada zgarbionych Gorgon o wykrzywionych twarzach. Czuję się tu mała jak mysz, ale moja ludzka strona nie może pohamować współczucia dla tych biednych istot. Z kolei ta demoniczna usiłuje je zdławić, by nie ujrzało światła dziennego. Jeśli Hades zamierza zapełnić salę stworzeniami, o których myślę, muszę uzbroić się w stalowe nerwy. Może i znalazł sposób, by wdrzeć się do mojej najintymniejszej sfery, ale muszę ochronić przed nim, ile zdołam.

Bez żadnych wstępów wyciąga rękę nad stołem, przy którym po kolei materializują się sylwetki, niczym hologramy nabierające cielesności.

Dowódcy zostali wezwani.

Ściągam brwi zdezorientowana. Przy szerokim stole naliczam tylko osiem postaci. Skoro są to przywódcy poszczególnych dystryktów, kogoś brakuje.

Charlena. Jej miejsce na wprost Hadesa i mnie pozostaje puste. Tylko dlaczego? Nasze spotkanie było dziwne i krótkie, ale jej obecność byłaby

mi pociechą. Zwłaszcza teraz, w otoczeniu przerażających nieznajomych, którzy przyglądają mi się z nieskrywaną podejrzliwością.

Jako pierwszy mówi demon o wielkim pysku.

– Co to ma znaczyć? – pyta burkliwie Hadesa. – Z całym szacunkiem, panie, ale w moim dystrykcie czekają nowe dusze, które trzeba przeszkolić – dodaje szyderczo. – Moja załoga czekała cały dzień, by je wprowadzić w...

– Zamilcz – warczy Hades. – Twój potępieńcy mogą zaczekać, Zły Chwoście. Mamy większy problem.

Demon piorunuje mnie wzrokiem, ewidentnie wcielając się w rolę sędziego i ławy przysięgłych po dziesięciu sekundach od przybycia.

Hades się krzywi.

– Mamy wtargnięcie.

Po zebranych przetacza się fala namacalnego szoku. Wszyscy dowódcy powtarzają ostatnie słowo, którego jak widać, próżno szukać w słowniku Hadesa.

Wstępuje we mnie nadzieja, ale ukrywam ją skrętnie za maską spokoju. Demony zaczynają szeptać, wymieniając się spanikowanymi spojrzeniami. Ich reakcja jest bez wątpienia uzasadniona. Bo któż by się ośmielił wtargnąć do królestwa podziemia? Jak podejrzewam, wszyscy się spodziewali, że Hades ogłosi oblławę na jakiegoś uciekiniera, a nie intruza. Lista dusz, które chciałyby się włamać do piekła, musi być naprawdę krótka.

Ale najważniejsze pytanie brzmi: jakim cudem... i gdzie?

Sądząc po unoszącym się w powietrzu zapachu stresu, najlepsi dowódcy Hadesa na pewno też się nad tym zastanawiają. Bo od odpowiedzi na to pytanie zależy, którego z nich może czekać los gorszy od potępieńców, nad którymi trzymają pieczę. Mają co do tego taką samą

pewność jak ja. Muszę napiąć wszystkie mięśnie, by nie dać się sparaliżować ich strachowi. Ostatni raz moje wyostrzone zmysły wyłapywały tyle przerażenia, gdy Maximus wyrzucił z wykładu paru żartownisiów, którzy się nade mną pastwili.

Teraz jednak nie mam wyboru: muszę się trzymać z boku.

– Co za wtargnięcie? – dopytuje Zły Chwost. – I czego od nas w związku z tym oczekujesz, panie?

Hades przygląda im się ze znacząco uniesionymi brwiami.

– Może wasi kamraci z PrzedSIONka i Otchłani coś wiedzą.

– Minos? Ron? – Demon ohydnie pociąga nosem. – Ale co się dzieje, do licha ciężkiego?

Hades przekrzywia głowę, wbijając w nich upiorny wzrok.

– Nic się wam nie obilo o uszy? Nie chce mi się wierzyć, że do żadnego z was nie dotarły pogłoski o nieproszonym półbogu, który przechadza się po moim królestwie!

Kulę się wraz z innymi, przerażona jego wybuchem.

– Zaraz, półbóg u nas? – ośmiela się dopytywać jeden z dowódców. – Jak to?

Dotychczas nie miałam pewności, czy moja obecność została zauważona, ale teraz osiem par wbitych we mnie oczu wystarcza mi za odpowiedź. Hades zerka na mnie kątem oka, potwierdzając ich podejrzenia. Zachowuje spokój, ale w środku kipi złością, gdy zszokowani dowódcy znów zaczynają coraz głośniejsze szeptać. Jedni są oszołomieni, inni po prostu wściekli.

– Przez nią?! – ryczy jeden śmiałek, wymierzając we mnie palec. – Po tym, jak sprzeniewierzyła ci się z nasieniem Zeusa?

– Ukarz ją! – skrzeczy inny. Wbija we mnie wściekłe spojrzenie przekrwionych oczu, unosząc zardzewiały miecz ze stali damasceńskiej. –

Zabicie jej będzie dla mnie czystą przyjemnością, panie.

Reszta mu wtóruje. Serce znów zaczyna mi szybciej bić, tym razem z przerażenia. Ulgę, jaką przyniosła mi świadomość, że Maximus jest tak blisko, przesłania strach, że Hades naprawdę zechce mnie oddać swoim straszonym dowódcom.

Cofam się, ale nie udaje mi się daleko uciec. Hades łapie mnie brutalnie za rękę i unieruchamia. W jego czarnych oczach błyszczą opanowanie i mroczna satysfakcja. Może nawet zaprawiona szelmowską nutą.

Z trudem powstrzymuję łkanie. Dobrze się bawi, widząc mnie w takim stanie. Bo na pewno czuje przyspieszone bicie mojego serca i paniczny strach o życie. Ta świadomość niemal odrywa mnie od szczęki metalu i gniewnych pokrzykiwań jego dowódców.

– Dosyć – ucisza ich zjadliwym tonem, przerywając nasze palące połączenie.

Ale to bynajmniej nie gasi ich żądzę mordy i agresji. Najlojalniejsi poddani Hadesa stanowią uosobienie wszystkich grzechów głównych.

– Nie może żyć! – wrzeszczy na równi z innymi spokojny dotąd Zły Chwost. – To kusicielka odpowiedzialna za to haniebne wtargnięcie!

Hades przytrzymuje jego wściekłe spojrzenie z wykrzywionymi ustami i rozszerzonymi nozdrzami, wypełniając salę i uderzając moje zmysły energią swojej furii, od której niemal się zataczam przykuta do podłogi. Zamykam oczy pewna, że lada chwila Hades skróci wszystkich o głowę.

– Ona to nie wasze zmartwienie. Macie odnaleźć Maximusa Kane'a i przyprowadzić go do mnie.

– Ale dziewczyna...

Jednym machnięciem ręki Hades posyła kulę ognia w twarz rozeźlonego demona. Z jego gardła wyrywa się stłumiony krzyk, a pysk zamienia się w stopioną papkę.

– Mój Boże – szepczę, próbując uchronić zmysły przed uderzeniem jego boleści. Kolana się pode mną uginają, ale Hades nawet tego nie zauważa. Siła jego furii wystarczyłaby, by zwalić mnie z nóg.

– Wszyscy macie prawo głosu. – Wędruje groźnym wzrokiem po zgromadzonych. – Niech to będzie dla was nauczka, jak z niego korzystać. Macie za wszelką cenę odnaleźć intruza i go do mnie przyprowadzić. Nikomu nie pozwoliłem wyjść! – ryczy, gdy zaczynają się zbierać do wyjścia. – Jeśli to wciąż nie dotarło do waszych zakutych łbów, po moim królestwie włóczy się bękart Zeusa jak kaznodzieja z ulotkami. Na szczęście jego celem nie jest niesienie zbawienia każdemu nieszczęśnikowi między Przdionkiem a stolicą. Chodzi mu tylko o jedną zbłąkaną duszyczkę. – To mówiąc, dźwiga mnie z podłogi. – A ten, kto przyprowadzi mi Kane’a, udowodni, że w istocie jest godzien swojej pozycji.

Jęki Złego Chwosta urywają się z chwilą, gdy odrasta mu dolna część pyska, ale wściekłość w jego oczach ani trochę nie zelżała, nawet po tym, jak Hades rzuca nową groźbę. Głęboko we mnie zapala się ogień, wypełnia mi pierś i każe ściągnąć łopatki. Tym razem patrzę dumnie w oczy demonom, które chcą mnie rozszarpać.

Nie złamię mnie.

Już nawet się ich nie boję.

I nie dlatego, że Hades wziął mnie w swoją obronę.

Nikt z tu obecnych nie może zaprzeczyć prawdzie. Prawdzie, że rzuciłam wyzwanie losowi, stawiając miłość ponad wszystko inne. Potędze, z którą nigdy nie będą się w stanie mierzyć. I nienawidzą mnie za to, to pewne, ale nic nie mogą z tym zrobić. Ani z moją wiarą w jej moc.

– Bezzwłocznie, panie – odpowiada zdecydowanie pokorniejszym tonem Zły Chwost.

– Tak lepiej. Pamiętajcie jednak, że Kane nie jest potępiony. Nie może mu spaść włos z głowy. – Hades wypuszcza mnie ze swoich kleszczy i podchodzi do stołu. – I jeszcze jedno. Na tego, komu się powiedzie, czeka dodatkowa nagroda w postaci tej oto piękności, z którą będzie mógł zrobić, co mu się żywnie podoba.

– Nie! – krzyczę, nie zjednując sobie jednak niczyjego współczucia.

Od gromady demonów wciąż bije pogarda. A moja jedyna sojuszniczka, Charlena, nadal się nie zjawia. Choć bałam się, jaki los czekałby mnie w trzecim kręgu, miałam cichą nadzieję, że zrobi tam dla mnie, co może.

Zły Chwost wysuwa się naprzód. Zdążył się już otrząsnąć po swojej nieprzyjemnej przygodzie, jego paciorkowate oczka błyszczą i strzyże uszyskami.

– Och, już mi się to podoba.

Hades jest krok bliżej od zmanipulowania całego piekła, by urządziło nagonkę na człowieka, którego kocham.

Na samą tę myśl zaczynam się trząść, ale gdy rzuca mi przez ramię aroganckie spojrzenie, jakby o tym wiedział, krew krzepnie mi w żyłach. Co się dzieje w jego zawziętym, diabolicznym umyśle?

Odwraca się z powrotem do stołu. Widać, że jest w swoim żywiole, otoczony zaufaną świtą demonów z zapartym tchem i błyszczącymi, dzikimi ślepiami spijających słowa z jego ust. Przez dłuższą chwilę napawa się w milczeniu ich uwielbieniem.

– Półbóg będzie chciał mnie zabić – oznajmia wreszcie, kończąc z drwiącym uśmieszkiem, i demoniczna gromada wybucha gromkim śmiechem. Nie jest dla mnie zaskoczeniem, gdy ryk Złego Chwosta przekrzykuje całe towarzystwo, przypominając pijacki rechot studenciaka na imprezie bractwa.

– Nie możemy pozwolić, by rażone strzałą amora bękarty wchodziły tu jak do siebie, prawda?

Odpowiada mu kolejny wybuch śmiechu, stanowiąc niewątpliwie upragniony komediowy przerywnik dla sparaliżowanych strachem zauszników władcy piekieł.

Ale w trakcie odprawy, która po nim następuje, sprawdzają się moje najgorsze obawy. Zmuszam się do słuchania, gdy Hades przedstawia swój szczegółowy plan, który jego dowódcy przyjmują z nieskrywanym entuzjazmem, a moje serce – z rosnącym przerażeniem.

Nie wytrzymam ani minuty dłużej ich obleśnych spojrzeń i rehotliwej wesołkowatości.

Więc uciekam.

Najszybciej i najdalej jak się da, mijając grubiańskie straże i jęczące dusze, dopóki nie docieram do jedyne miejsce w pałacu, w którym znajduję namiastkę bezpieczeństwa.

Maximus

INACZEJ NIŻ W TRAKCIE DOTYCHCZASOWEJ WĘDRÓWKI, wichura jest dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem: przeraźliwie chłodna i śmierząca, a wszedłszy w nią, człowiek kompletnie traci orientację. Deszcz ze śniegiem smaga nas ze wszystkich stron, niosąc ze sobą niepokojąco brudny pył i ogromne odłamki lodu. Dzięki Bogu, że wewnętrzny kompas Gio działa lepiej niż mój. Stawiając z mozołem krok za krokiem, podążam za jego cieniem, dopóki nie wychodzimy spod ostrzału.

Gdy wreszcie wynurzamy się z zawieruchy, obaj padamy na czworaki i łapiemy oddech. Krzywię się, gdy czuję, że moje włosy, które uwolniły się z węzła, są sklezione błotem.

– I pomyśleć, że kiedyś sądziłem, że najgorszym cyklonem, jakiemu przyjdzie mi stawić czoło, jest wroga hollywoodzka prasa.

Jestem w stanie odpowiedzieć na jego żart dopiero po dźwignięciu się z powrotem na nogi.

– Zanim nie nasłali na ciebie trzygłowego psa w postaci chmary paparazzich?

Gio pośpiesznie się podnosi.

– Mniej więcej. Przy odrobinie szczęścia tę bestię da się udobruchać paroma uśmiechami i ustawką na wyłączność.

Przyjemna myśl, ale nie pokładam w tym zbytnej nadziei, gdy ruszamy dalej. Z każdym krokiem czuję coraz większe napięcie. Nic lepiej nie przypomina człowiekowi, że to już nie Los Angeles, niż perspektywa spotkania z trzygłowym piekielnym ogarem. Nie pomaga nawet zdobyte w dzieciństwie doświadczenie pojedynków z bezdomnymi kundlami.

– Może załapiemy się na jego przerwę w robocie – mówię z nadzieją, gdy przedzieramy się przez kanion pomiędzy gigantycznymi klifami zwapniałych odpadów. – Może mając trzy głowy, musi ucinać sobie trzy razy więcej drzemek?

– Wątpię, byśmy mieli tyle szczęścia – odpowiada z humorem Gio, nie zatrzymując się.

Po obu stronach mamy strome urwiska złożone z niezliczonych warstw dziwnych różnobarwnych naleciałości nawianych w ciągu tysiącleci przez kapryśną wichurę. Szczyt każdego z nich przypomina dumny irokez i myślę sobie, że przy odpowiednim oświetleniu i utrzymaniu te stożkowate wieże wyglądałyby naprawdę pięknie.

Ale natychmiast potrząsam głową, by się pozbyć tych myśli. Od Dis dzieli nas jeszcze mnóstwo kręgów i powinienem nieustannie trzymać gardę, a nie podziwiać krajobraz, jakbym później zamierzał napisać o nim wiersz.

Otrzeźwienie przychodzi w samą porę, gdyż chwilę później ze zbocza naciera na nas piekielny ogar z obnażonymi kłami.

– O cholerr... – Oszołomiony cofam się o kilka kroków.

Gio trzyma się blisko mnie, ale teraz ugina kolana w bojowej pozie. Nie przyszło mi do głowy, by dosłownie zniżyć się do poziomu Cerbera, choć to bez wątplenia najsłuszniejsza decyzja.

Ale dzikiej bestii nawet to nie rusza.

Wszystkie trzy paszcze ma rozwarte, tocząc pianę. Jedną bez przerwy na nas szczeka. Środkową rzuca z lewa w prawo, jakby już rozrywała nas na strzępy. Trzecia warczy i obnaża kły jak w najstraszniejszych horrorach.

– Biorę lewą – cedzi Gio.

– Nie, jest moja.

W zaświatach może i wygląda kilkadziesiąt lat młodziej, ale jego siła nie dorównuje mojej. Moim pierwszym celem jest odnalezienie Kary, ale drugi to utrzymanie jej dziadka przy życiu. Zanim kończę zdanie, rozlega się jednak potężny huk uderzających o ziemię masywnych łap, gdy Cerber dopada do nas w kilkumetrowym skoku.

Gio bez wahania rzuca się do ataku, ale bestia mija go i wgryza mi się w bark.

Wyję z bólu, ale jeszcze gorszy jest jego cuchnący oddech.

– Boże, kto się z tobą bawił w „przynieś trupa”?

Ogar, rozsierdzony moją szpilą albo szybkością, z jaką uwalniam się od jego kłów, rzuca do ataku swój środkowy pysk, zionąc mi prosto w twarz. Krzywię się, bo mam wrażenie, jakby po tej podwójnej dawce toksyn skóra zaczęła mi odchodzić całymi płatami. Zamroczony niemal tracę równowagę, zataczam się do tyłu.

Cerber momentalnie to wyczuwa i skacze na mnie, przygważdżając do ziemi. Pozbawiony tchu czuję, że świat znów wiruje mi przed oczami. Widzę jeszcze, jak drugi pysk przystępuje do ataku, obierając za cel moje lewe ramię.

Próbuję się przekręcić na bok, ale za późno, by ustrzec się przed kłami. Bestia wyje, choć tym razem nie sposób stwierdzić: z uciechy czy z frustracji. Szybko jednak odkładam na bok te rozważania, bo Cerber się

cofa i nabiera rozpędu przed kolejnym skokiem, a ja powoli żegnam się z twarzą.

Kanion znów wypełnia wycie – ale tym razem rozpoznaję głos Gio.

Mrugam, ale sprawia mi to ból. Przynajmniej mam jeszcze gałki oczne, mimo ataku kłów. To samo z twarzą i całą głową, którą podnoszę, zastanawiając się, dlaczego piekielna Lassie postanowiła jednak nie robić sobie ze mnie gryzaka. Nagle dostrzegam ręce Gio oplecione wokół jednej z porośniętych sierścią szyi. Atak kończy się dla mojego przewodnika dzikim rodeo, gdy Cerber próbuje zrzucić go z grzbietu.

– Cholera – bąkam pod nosem.

Dźwigam się z ziemi i próbuję odzyskać równowagę. Mam teraz jeden cel: bez względu na wszystko złapać wierzgającą bestię za jedną z kończyn, ale zanim mam szansę wybrać najlepszy moment do skoku, powietrze przecina ogłuszające smagnięcie. I następane.

– Cerber!

Od gładkich ścian kanionu odbija się echem głęboki kobiecy głos. Zamieramy w bezruchu. W ciszy, która nagle zapadła, rozlegają się kroki. Sekundę później przed moimi oczami zatrzymuje się para lśniących botków na szpilkach. Ponieważ przesłania mi cały widok, wędruję wzrokiem w górę wzdłuż pary nóg. Następnie widzę gruby bicz w wytwornej dłoni i uderzająco zgrabną sylwetkę...

I wreszcie owiniętą czarną gazą twarz.

– Natychmiast go postaw – warczy nieznajoma na pięciokrotnie większą od siebie bestię.

Cerber ani drgnie, ale Gio wykorzystuje moment, by nieporadnie zeskoczyć z jego grzbietu. Ląduje blisko tajemniczej kobiety – zbyt blisko, sądząc po tym, jak szybko od niej odskakuje, wzbijając obłoki kurzu.

– Co tu się dzieje? – pyta ostro. – Kim jesteś?

Po chwili milczenia kobieta-demon odwija czarny muślin, ukazując naszym oczom twarz, która z powodzeniem mogłaby znaleźć się na billboardzie przy Times Square. Gio opada szczęka. Już wiele tu przeszliśmy, ale jeszcze nigdy tak nie zbladł.

– Nie – szepcze. – To niemożliwe.

Ona też wygląda na zaskoczoną, ale w mgnieniu oka się opanowuje. Pośpiesznie rozluźnia ramiona i odwraca wzrok.

– Och, Gio. Zawsze z taką wprawą powoływałeś do życia fikcyjne światy, a słowa „niemożliwe” próżno było szukać w twoim słowniku. Nie próbuj mi wmówić, że aż tak się zmieniłeś, by myśleć, że mnie tu nie znajdziesz.

Starszy pan tylko wzdycha boleśnie i kręci głową. To jasne, że jest w szoku, ale nie mam pojęcia dlaczego. Równie zdumiewająca jest łatwość, z jaką ta drobna kobieta spacyfikowała potężnego Cerbera.

– W każdym razie nie ma za co – dodaje nieznajoma bez cienia sarkazmu, po czym podaje mu rękę i bez trudu stawia go na nogi. – Chodźcie. Jeśli was tu zostawię, ogar szybko się z wami rozprawi. Musimy iść.

– Zaczekaj. – Zaglądam jej w twarz. Jest w niej coś osobliwie, acz niebezpiecznie pociągającego. I dziwnie znajomego. – Dokąd? I kim, do diabła, jesteś? Dlaczego mamy ci zaufać i gdziekolwiek z tobą iść?

– Charlena. – To jedno imię w ustach Gio brzmi jak gotowy scenariusz jednego z jego filmów.

– Charlena? – powtarzam, choć nasuwa mi się całe mnóstwo innych pytań. Ale zapominam o Cerberze i kręgach, by podziwiać grację jej ruchów, gdy odwraca się na pięcie niczym rasowa modelka, z którą tak wyraźnie mi się kojarzy. Na jej ciemnoczerwonych ustach tańczy równie wytworny uśmiech, ale moją uwagę przykuwa to, co przez ułamek sekundy

dostrzegam w jej oczach. Co to za światło? Raz jeszcze mam wrażenie, że już gdzieś je widziałem. To coś na kształt *déjà vu* albo może kolejnego stłumionego wspomnienia.

– Ma mi schlebiać, że po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, pamiętasz moją twarz oraz imię? – zwraca się do Gio.

– Niczego nie zapomniałem. Pamiętam każdą piękną sekundę – odpowiada z pasją, jakby całym sobą pragnął porwać ją w ramiona.

Jakiś silniejszy instykt jednak go od tego powstrzymuje. Coś na kształt... strachu, za który, zważywszy na okoliczności, nie mogę go winić.

– Pięćdziesiąt jeden lat – szepcze Gio. – I nie było dnia, byś nie była obecna w moich myślach, dalio.

Po tym wyznaniu jej wyraz twarzy łagodnieje, pewnie na dźwięk czułego słówka, którym ją często nazywał. Ale ta łagodność znika równie szybko, jak się pojawiła.

– Twoje dni, godziny, minuty i sekundy nic tu nie znaczą. Nic. – Mija go chłodno, jakby projektant kazał swojej modelce wyglądać na wkurzoną.

– Zaczekaj. Zatrzymaj się i spójrz na mnie, Charleno...

– Przystanki w niczym nam się teraz nie przysłużą. Po prostu chodźcie za mną...

– Poszedłbym za tobą wszędzie – przerywa jej Gio, nie odrywając od niej wzroku niczym zafascynowany partner taneczny. – Nawet do samego piekła.

– Tak. – Charlena mruga powoli. – Wiem.

– Więc musisz też wiedzieć, że sprowadza mnie tu coś innego, prawda? Widziałaś ją? Naszą wnuczkę?

I to by było tyle w kwestii tańca.

Myśli wirują mi w głowie i nie dowierzam własnym uszom.

Teraz już wiem, skąd to podobieństwo i wrażenie, jakie na mnie zrobiła. I dlaczego Gio jąka się niczym zakochany gimnazjalista.

To jej twarz widzi w każdym lustrze. Twarz kochanki-demona, z której nigdy nie zdoła się wyleczyć.

To jej Kara zawdzięcza demoniczną połowę swojego DNA.

Nic dziwnego, że starszy pan sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, jak ma się czuć. Nie mam mu tego za złe. Ale wiem też, że nijak nie jestem w stanie mu pomóc – zwłaszcza że priorytetem jest teraz co innego.

– Kara – wyrywa mi się. – Widziałaś ją? Czy... nic jej nie jest?

Wypowiadając ostatnie zdanie, nie jestem w stanie powstrzymać wahania w głosie. To pytanie retoryczne, bo przecież wiem, że jest kiepsko. Można powiedzieć, że się widzieliśmy. Czułem jej cierpienie i rozpacz. A po tym, jak podpatrzył nas Hades... widziałem przerażenie w jej oczach i drżenie ciała...

– To znaczy czy jest bezpieczna?

Oddycham z ulgą, gdy Charlena nieznacznie kiwa ze współczuciem głową.

– W miarę – mówi w końcu. – Zależy, jak na to patrzeć.

– „W miarę”? – powtarzam, chcąc wlać w te słowa więcej nadziei, ale wychodzi jak zawsze. W każdej sylabie czai się zwątpienie. – Co to znaczy? Widziałaś się z nią, prawda? Rozmawiałyście?

– Oczywiście, że się z nią widziałam – oznajmia niczym aktoreczka informująca, że podpisała lukratywny kontrakt filmowy, po czym zerka znacząco na Gio w ramach przerywnika. – Jestem teraz jednym z najwyższych rangą dowódców Hadesa w Dis. Dzięki temu cieszę się pewnymi przywilejami w zamku i poza nim.

Na te słowa Gio obrzuca ją spojrzeniem przesyconym po równo pożądaniem i obrzydzeniem, ja zaś muszę zacisnąć pięści, by nie złapać tej

wyniosłej istoty za ramiona i nią nie potrząsnąć. „Potrzebujesz jej, do diabła. Musi być w dobrym humorze”.

Zupełnie jakby Gio słyszał moje milczące błaganie, zaciska palce na smukłych stawach przy pomalowanych na czarno paznokciach.

– Dalio. – Charlena sztywnieje. Nie wiem, czy uciekając od wspomnień, które budzi to czułe słówko, czy obraża ją porównanie do czegoś tak ziemskiego i kruchego.

– Nie nazywaj mnie tak – szepce w końcu, wbijając wzrok w posępny horyzont.

Gio splata ze sobą ich palce.

– Daj mi dobry powód, bym tego nie robił.

– Niech ci będzie. Dam ci najważniejszy powód ze wszystkich. To was w żaden sposób nie przybliży do tego, po co przybyliście. Jeśli chcecie zobaczyć Karę, ja jestem waszą największą szansą. – Rzuca w moją stronę beznamienne spojrzenie. – Chyba że wolicie przejść przez wszystkie dziewięć kręgów, a po szturmie na zamek zmierzyć się z nieśmiertelnym bogiem, z którym nie możecie się równać ani zdolnościami, ani doświadczeniem w walce.

Przekrzywia głowę tak jak Veronica. To podobieństwo, nie mówiąc o jej słowach, sprawia, że zaczynam się zastanawiać nad naszymi opcjami. Nie mam pojęcia, czy możemy ufać babce Kary, ale w jednym ma rację: droga na skróty do Dis ma sens, nawet jeśli zaprowadzi nas prosto w zasadzkę.

– Czyli zaprowadzisz nas do niej? – pytam, choć i tak nie mogę liczyć na szczerą odpowiedź.

– Jeżeli nadal jest w stolicy, możecie się z nią tam zobaczyć...

Otwieram szeroko oczy z przerażenia.

– Jeżeli nadal tam jest? A gdzie indziej miałyby być?

Dialog przejmują moje najgorsze obawy. „Kary nie ma. Zniknęła”.

Dlaczego nie może to do mnie dotrzeć, dlaczego umysł nie może tego zaakceptować? Dlaczego nie znalazłem potwierdzenia w duszy?

Charlena wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Gdy Hades sięgnie najgłębszych zakamarków jej umysłu, kto wie, kiedy mu się znudzi. Byłam świadkiem, jak go odparła, ale on tak łatwo nie da za wygraną.

– Moja biedroneczka!

Gio uśmiecha się od ucha do ucha i unosi wolną pięść w geście triumfu. Chwilę później dołącza do niej druga, gdy Charlena uwalnia się z jego uścisku, krzyżując ręce na piersi.

– Widział nas – mówię. Przez zaciśnięte zęby wyrywa mi się syk, a oczy niemożliwie mnie pieką. Nie potrafię ukryć napięcia i nawet nie próbuję.

Wygląda na to, że moje wyznanie przebiło się przez chłodny pancerz Charleny.

– Jak to: was?

– Mnie i Karę, razem.

Marszczy brwi.

– Jakim cudem?

– We śnie. W bardzo realnym śnie.

– Sen... to najwyższa forma otwartej przestrzeni – objaśnia – w której spotykają się nasze pragnienia, marzenia... i słabości. Miejsce, gdzie opuszczamy gardę...

– Umożliwiając wdarcie się do umysłu.

Tylko Gio ma odwagę to wyszeptać, ja jestem do tego fizycznie niezdolny. Moje kolana przed ugięciem się powstrzymuje tylko kurczowy uścisk rąk, które na nich trzymam.

– Czyli już jej nie ma. – Każda sylabę przepęlnia rozpacz. – To chcesz powiedzieć?

– Nie. Ale jeśli już udało mu się wejść tak głęboko, jej pobyt w pałacu może wkrótce dobiec końca. Zwłaszcza teraz, gdy widział was razem i jest bezsilny wobec waszego coraz silniejszego połączenia... Szczerze mówiąc, nie potrafię przewidzieć, jak zareaguje i kiedy jego ciekawość zostanie nasycona... – Rzuca okiem na Gio. – A ty swoim powrotem dolewasz oliwy do ognia. Wie, że tu jesteś?

– Nie mam pojęcia, kochana. Na rubieżach mnie pamiętają, więc możliwe, że już mu doniesiono.

– W jednych kręgach wieści rozchodzą się szybciej niż w innych. Wizje Kary obudziły moje podejrzenia, że Maximus znalazł wejście do piekła i po nią idzie, więc postanowiłam odnaleźć go pierwsza. Gdy się dowiedziałam, że nie podróżuje sam, tak myślałam, że to ty jesteś jego towarzyszem – wyznaje. – Ale Hades może jeszcze o niczym nie wiedzieć. Jak się zapewne domyślicie, większość z nas dba wyłącznie o własną skórę. Bez względu na rangę i zasługi niewielu rwie się do przekazywania złych wieści królowi bólu i udręki.

Co mogłoby wykluczać Minosa i Charona. Oraz dyszącą nieopodal bestię, która tylko czeka na znak Charleny, by rozszarpać nas na kawałki. Biorąc pod uwagę naszą delikatną sytuację, powinienem bez wahania przyjąć jej pomoc, ale coś wciąż mnie przed tym powstrzymuje. Niemniej usiąść z założonymi rękami też nie mogłem.

– Dlaczego nam pomagasz?

– Skąd pomysł, że pomagam wam? – Słyszac powagę w ostatnim podkreślonym słowie, przyglądam się jej z zainteresowaniem.

– Dałaś nam to do zrozumienia – odparowuję.

– Tak myślisz, bo jesteś ofiarą swojej ziemskiej skłonności do sentymentalizmu i słabości. Nie łudź się, są mi obce.

Ściągnięta twarz Gio zdaje się zadawać kłam jej zapewnieniu. Ja jestem bardziej skłonny uwierzyć jej bez zastrzeżeń. W końcu jest czystej krwi demonem.

– Ale – kontynuuje, już bez takiego jadu – powiedzmy, że jest mi znane królewskie zamiłowanie do kolekcjonowania ludzkich doświadczeń. – Jej ton, choć przygaszony, nie jest w stanie stłumić całej prawdy, odsłaniając przed nami kolejną stronę tej enigmatycznej postaci. Znać, że jest dumna z odznaki dowódcy wytłoczonej na jej skórzanej kurtce, ale już niekoniecznie z władcy, który jej ją nadał.

– A Kara ze swoim hybrydowym DNA musi być dla niego jak nowy deser – dodaje Gio.

Charlena prostuje plecy.

– Oczywiście. I choć w przeciwieństwie do niego ja nie zamierzam wdzierać się do jej umysłu, jej zdolności leżą w polu mojego zainteresowania, o naszej wspólnej kłątwie nie wspominając. Kiedy Hades z nią skończy, zostanie zesłana do trzeciego kręgu. Obiecano mi to za dotychczasową wierną służbę. – Patrzy twardo to na mnie, to na Gio. – A teraz naprawdę musimy się zbierać.

Parskam gorzkim śmiechem.

– Naprawdę sądzisz, że któryś z nas ot tak odda ci Karę?

Przez dłuższą chwilę taksuje mnie wzrokiem w milczeniu.

– Sądzę, Maximusie Kane, że jesteś bardzo odważny i zaślepiiony, przez co ci się wydaje, że jesteś w stanie zmienić naturalny porządek rzeczy.

– Nie ma nic naturalnego w wykorzenianiu człowieczeństwa własnej rodziny – odparowuję z wściekłością. – A jedynym grzechem Kary jest to, że się w niej urodziła. To dobra dziewczyna. Nie zasługuje, by Hades

torturował ją psychicznie, gdy tylko ma na to ochotę, a już na pewno nie zasługuje na to, by spędzić wieczność w twoim uroczym zakątku piekła. Nie rozumiesz tego?

Charlena ma czelność się uśmiechnąć.

– Wyżywanie się na mnie niczego nie da. Pamiętaj, że najpierw musiałbyś pokonać Hadesa.

– Taki mam zamiar.

Unosi ramię.

– Zatem powinniśmy czym prędzej ruszać, nie uważasz?

– Dalio, najdroższa...

Cała jej wesołość wyparowuje, gdy znów wbija wzrok w Gio, ale tym razem nie beszta go za czułe słówka, na które chyba jednak nie zasługuje.

– Błagam. – Gio nie ustępuje. – Oboje wiemy, że nie mam większych szans wydostać się z piekła po raz drugi. Jeśli te minuty, godziny, dni, które razem spędziliśmy, cokolwiek dla ciebie znaczą, błagam, zrób to dla mnie. Daj mi chwilę z Karą, zanim Hades wrzuci mnie tam, gdzie sobie zasłużyłem. Czy mogę się z nią jeszcze raz zobaczyć? Zaprowadzisz mnie do niej?

Charlena mruży oczy.

– Myślisz, że mnie oszukasz?

Gio ciężko wzdycha.

– Charleno, to ty pierwsza mnie oszukałaś, pamiętasz? Ja zawsze widziałem w tobie tylko dobro.

W odpowiedzi babka Kary zaciska usta. Jakiż prosty, a zarazem wymowny gest.

– Błagam cię – naciska Gio, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Daj nam tylko chwilę.

Po paru ciągnących się w nieskończoność sekundach Charlena w końcu kiwa przelotnie głową.

– Możliwe, że podczas podróży powrotnej napotkamy... małe komplikacje.

Wymieniamy z Gio spojrzenia. Choć ja mam ochotę wreszcie się uśmiechnąć, dziadek Kary ma niepewną minę. Zdążyłem się już przekonać, że intuicja nigdy go nie myli.

– Jakiego rodzaju? – dopytuję.

– Opóźnienie – odpowiada Charlena. – Niezbyt duże – dodaje. – Nie mogę się narażać na gniew mego króla. A teraz, skoro was odnalazłam, nie mam wyboru i muszę oddać was w jego ręce. Nie spodziewa się zobaczyć tu Gio, to ci kupi trochę czasu, gdy będę wyjaśniała sytuację.

– A potem? – Na myśl o ponownym spotkaniu z Hadesem zaciskam dłoń w pięści. Po tym wszystkim, co nam zrobił, moja zdolność samokontroli zostanie poddana najtrudniejszej próbie.

– Cóż, myślę, że szybko się z tobą rozprawi. Jesteś synem Zeusa, więc oczywiście cię nie zabije i jeśli będziesz miał szczęście, obudzisz się w Labiryncie Honeya Bacchusa, wypluty jak nieboskie stworzenie, lecz mądrzejszy. A przynajmniej świadomy, jak głupim pomysłem była ta eskapada.

Nie zgadzam się z nią, ale przystanę na jej plan, jeśli zaprowadzi mnie do Kary. By do niej dotrzeć, przepłynąłbym ze sto rzek i stawiał czoło tysiącu piekielnych ogarów, choć mam nadzieję, że jesteśmy już bliżej jedyne skarbu mojego serca.

– Z chęcią wyprowadzę cię z błędu – mówię zdecydowanym tonem, by zdała sobie sprawę z mojego oddania sprawie, ale jest jasne, że zdążyłem już utracić jej uwagę.

Nie wiedzieć czemu na powrót owija twarz chustą. Gdybym nie był przejęty perspektywą spotkania z Karą, na pewno próbowałbym rozwikłać tę zagadkę.

– Ruszajmy.

Nie musi powtarzać. Gdy tylko zaczyna rysować dłonią w powietrzu, przyglądamy się z Gio jak urzeczeni. Świetliste smugi pozostawione przez jej palce przypominają gwiazdy, ale składają się z żyłek. W zderzeniu z wilgocią wystrzeliwiają z nich iskry. Sztyleciki lądują coraz dalej, spadając na jej rękaw, z którego wkrótce zostają strzępy.

Nawet Cerber jest pod wrażeniem, bo wycofał się na skraj kanionu. Charlena nie przestaje rysować w powietrzu, wypala w nim dużą dziurę.

Nie. To nie dziura.

To drzwi.

– Do diabła – szepczemy jednocześnie z Gio.

W żarzących się drzwiach zaczyna falować powietrze i naszym oczom ukazuje się długi korytarz. Z wielu powodów przygaszone oświetlenie i ciemne kamienne ściany są miłą odmianą od krajobrazu kanionu. Zwłaszcza że zaczynam się orientować, dokąd prowadzi.

Do biblioteki.

Gdy portal się za nami zamyka, widzimy coraz więcej detali.

Sala wygląda jak po przejściu tornada: na zakurzonych perskich dywanach walają się poprzewracane meble, tu i ówdzie niczym jesienne liście leżą pojedyncze kartki papieru.

Moje zmysły momentalnie zaczynają pracować na wysokich obrotach. Puls mi przyspiesza, a wzrok się wyostrza. Mam wrażenie, jakby moje barki stanęły w ogniu, gdy pokąsana skóra zaczyna się goić. Pchany przez płonąca świadomość chcę jak najszybciej znaleźć się na końcu tego

korytarza – i bynajmniej nie ciągnie mnie tam tęsknota za dziełami Poego czy Blake’a.

Istnieje tylko jedna siła zdolna zamienić moje kończyny w pochodnie, a umysłowi nadać ostrość gilotyny. Nic tak nie zdradza prawdy jak kipiąca mi w żyłach krew i serce, które chce się wyrwać z piersi.

Serce, którego miejsce jest tylko przy niej.

Kara.

– Dobrze się czujesz?

Jak przez mgłę słyszę głos Gio, ale kiwam głową – bardziej w odpowiedzi na wołanie mojego serca niż jego pytanie.

Wyrywam do przodu, mijając Charlenę, która dziwnie znieruchomiała.

Mam nadzieję, że jej nagły bezruch jest spowodowany tym, że chce dać Gio i Karze odrobinę prywatności podczas tych cennych wykradzionych chwil. W duchu nakazuję sobie skupić się na tym samym. Muszę się tam dostać. Muszę iść w stronę jej ognia, który jest już tak blisko. W pogoni za jej burzą, tak silnie pachnącą przyprawami korzennymi, że kręci mnie w nosie. Krok... za... kro...

Nagle czuję na plecach pchnięcie wielkiej kosmicznej ręki i pozbawiony tchu wpadam do przestronnej sali.

W pierwszej chwili wstrząsają mną dreszcze. Temperatura spadła co najmniej o trzydzieści stopni. Ale zapach jest przyjemniejszy. A gdy podnoszę głowę, wydaje mi się cudowny.

Niewiarygodne.

Jest tutaj.

Z przygarbionymi ramionami sprawia wrażenie jeszcze drobniejszej niż w rzeczywistości. Jej drżące barki i cichy szloch mówią mi, że płacze. Jej smukła sylwetka pojawia się i znika z plamy światła padającego z lampy,

pod którą klęczy, a gęste, lśniące pukle splecionych włosów odcinają się od bladego ramienia, z którego zsunęło się ramiączko czerwonej sukni.

Nawet smutna olśniewa urodą. Nawet z nozdrzami wypełnionymi jej cynamonowym zapachem i widokiem jej błyszczącej skóry przed oczami zastanawiam się, czy istnieje naprawdę. Ogarnia mnie gorące pragnienie, by podejść i porwać ją w ramiona. I całować ją z takim zapamiętaniem, by zapomniała, kto kazał jej włożyć tę suknię i przez kogo płacze. A co najgorsze, podstępem wdarł się do jej umysłu.

Poprzysięgam sobie, że wynagrodzę jej wszystkie krzywdy, przywrócę radość i wleję światło w jej duszę. W końcu moje usta wymawiają najpiękniejsze imię świata:

– Kara.

Kara

OGARNIA MNIE ROZPACZLIWY SZLOCH. Mijają minuty, a ja czuję coraz większą wściekłość zrodzoną z bezradności, z której nie potrafię się otrząsnąć.

Walę pięściami w stare półki biblioteki i zrzucam z nich zakurzone tomiszcza, dopóki nie opadam bez sił na kolana. Ocierając łzy, które nie chcą przestać płynąć mi z oczu, pocieszam się tylko tym, że nie muszę już wysłuchiwać Hadesa i jego sługusów planujących pokonanie Maximusa.

Biorę głęboki wdech i z gardła wyrywa mi się jęk frustracji, że wyżyłam się na niewinnych książkach. Nie należą do mnie, ale w poprzednim życiu bywały moimi jedynymi towarzyszami. Czerpałam z nich pociechę w najgorszych chwilach, kiedy prześwietne nazwisko Valari było zbyt dużym brzemieniem.

Zaczynam układać w stos ofiary mojego ataku hysterii. Większość jest po łacinie, ale poznaję kilka angielskich tytułów. Otwierając jedną z nich, rozcinam sobie palec wskazujący przy przewracaniu kartek. Na kruchy papier kapie parę kropli krwi. Pośpiesznie zamykam książkę i moim oczom ukazuje się inna z wyblakłym emblematem płonącej pochodni, pod którą widnieją złote litery starożytnej greki: Ἑκάτη.

– Hekate – szepczę. – Bogini Hek...

Nagle kontury pochodni obrysowuje płonące światło, odbierając mi na chwilę mowę. Gdy dociera do punktu wyjścia, okładka unosi się lekko, jakby książka zaczerpnęła powietrza. Oczarowana zaczepiam palcami o brzeg okładki, chcąc czym prędzej zagłębić się w jej treść.

Strony wypełnione słowami i symbolami, które podświetlają się na złoto, gdy wędruję po nich palcem, są jak pokarm dla duszy, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłam. Zupełnie jakby jakaś wyższa siła przełożyła moją więź z Maximusem na zaklęcia, dźwięki i symbole, które tylko ja rozumiem.

Jestem tak zajęta zachwycaniem się tą książką i bijącą z niej energią, że ledwie słyszę swoje imię. W pierwszej chwili mam wrażenie, że to mój umysł płata mi figle, ale biorę głęboki oddech, czerpiąc siłę z kart książki.

– Kara.

Tym razem przypomina szelest liści, niewzruszony niczym dąb, z którego spadły, a przy którym trzęsę się jak osika. Jak widać, potrzebuję jeszcze chwili samotności w tym miejscu, które instynktownie znalazłam, zanim znów zmierzę się ze swoją nową rzeczywistością.

Nie. To nie był do końca instynkt. Biblioteka wzywała mnie, jakbym bywała tu tysiące razy. Zupełnie jakbym miała się w niej znaleźć. Przemawiała do mnie jak ta książka, sprawiając, że zapomniałam, gdzie jestem i dlaczego w ogóle tu uciekłam...

Do teraz.

Podnoszę wzrok, spodziewając się, że ten piekielny koszmar na powrót mnie przygniecie.

Ale zamiast tego widzę tylko piękno.

Nawet w najgłębszym zakamarku tego chaosu zapłonęło boskie światło.

Bo oto komnata wypełniła się nim.

Nie jestem w stanie opanować drżenia. Uderzam w płacz, którego nie sposób zdławić. Ale nadal myślę, że to sen...

Dopóki Maximus nie rusza ku mnie.

A ja zaczynam się jeszcze bardziej trząść, bo każdy jego krok wstrząsa ścianami biblioteki.

Dopóki on się nie zbliża.

A ja wzdycham jak jakaś wiktoriańska panna gotowa zemdleć przez głupi gorset.

Jest jeszcze gorzej, gdy staje w plamie światła oświetlającego mój kącik. Znów widzę kobaltowe pierścienie jego tęczy. Czuję jego męski zapach: pachnie ziemią i burzą, ale temu też nie ufam. To nie może być prawda. To nie może być...

Detale, których nie mogę pominąć, mówią jednak co innego. Spod porozrywanej koszuli wyzierają krwawe rany. Inne zdążyły się już zasklepić, o czym świadczy różowa skóra, ale to jasne, że jakaś bestia próbowała rozerwać go na strzępy.

Bestia o wielu pyskach.

Drapieżnik, któremu stawiał czoła na równi z niejednym potworem i burzą tylko po to, by znowu być ze mną.

Teraz to wiem.

Bo czuję bijącą od niego prawdę. Jak pieśń jego duszy, której słowa są niemal wyryte w powietrzu. Nie da się jej pomylić z niczym innym.

Już wiem, że to naprawdę on. Czuję go. Czuję tak wyraźnie każdą bijącą od niego wibrację – mieszankę tak potężnego pragnienia i niesłabnącej euforii trzymany na wodzy jedynie przez jego słynną samokontrolę – że teraz już wierzę. I gdy robi ostatni krok ku mnie, jestem gotowa uwierzyć.

I wreszcie – wreszcie – porywa mnie w ramiona i przyciska do muskularnego ciała. Spowijają mnie światło i energia, które czuję tylko w jego objęciach. W naszej więzi. Pławię się w połączeniu naszych energii i w świetle naszej miłości, aż w końcu mogłabym przysiąc, że czas stanął w miejscu.

Gdy wygłodniały wpija się w moje wargi, czas naprawdę się zatrzymuje.

Przywieram do niego, otwieram usta i wzdycham, gdy nasze języki się odnajdują, oddechy stapiają, a serca zaczynają bić jednym rytmem, dostrajając się do ognia naszych ciał. Naszej niewytłumaczalnej elektryczności. Połączenia, którego nie doświadczyłam z nikim innym. Które jest tylko nasze, niepodważalne i niepojęte.

Tyle że... już przestało być tylko nasze.

Odrywam się od niego, łkając ze wstydu. Nie wiem, jak mu powiedzieć o Hadesie, ale jeszcze gorsze byłoby zatajenie prawdy. Spuszczam głowę jak winowajczyni. Może zrozumie, skoro bóg zaświatów wdarł się i do jego umysłu. Ale co, jeśli to marzenie ściętej głowy?

– Kara? Hej, spójrz na mnie. Tym razem to naprawdę ja, kochana. Przysięgam.

– Wiem – rzucam pośpiesznie, zdając sobie sprawę, że mamy niewiele czasu. Każda sekunda jest na wagę złota, nie możemy ich marnować.

– Więc mów do mnie, piękna. – Jego aksamitny szept brzmi jak rozkaz. Ujmuje moją twarz w dłonie i zagląda mi głęboko w oczy.

Mam ochotę o wszystkim zapomnieć i zanurzyć się w ciemnoniebieskich odmętach jego tęczy. Nie opuszczać bezpiecznej przystani jego ramion. Pragnę tak wiele, choć wiem, że mamy mało czasu. Muszę się z tym zmierzyć i wyznać mu całą straszną prawdę.

– Hades... On...

– Co takiego? – To by było na tyle, jeśli chodzi o jego aksamitny ton. Jego oczy płoną, a słowa przepełnia gniew, który teraz wykrzywia mu twarz. – Co zrobił, Karo?

– Wszedł... do środka. – Dotykam czoła z nadzieją, że zrozumie, bo te słowa nie przejdą mi przez gardło. – Nie chciałam tego – dodaję gorączkowo – walczyłam z nim, do upadłego... ale w końcu zasnęłam i miałam sen, który był taki...

– Realny. – I ot tak cała jego wściekłość się ulatnia. Jego energia jest inna, a mimo to tak cudownie znajoma. Mam wrażenie, że znam ją z wcześniejszego życia. Ze sposobu, w jaki na początku każdych zajęć muska okładkę swojego wysłużonego egzemplarza *Boskiej komedii*, sprawiając, że każda obecna na sali studentka marzy tylko o tym, by stać się starą, oprawioną w skórę książką pełną średniowiecznej poezji.

Już to rozumiem, bo w tej chwili to ja jestem przedmiotem tego milczącego procesu myślowego. To takie uzależniające...

– Tak. Realny – wyduszam z siebie. – Skąd wie...

– Bo ja też to śniłem.

Serce chce mi się wyrwać z piersi i otwieram szeroko oczy ze zdumienia. Wwierca we mnie wzrok, jednocześnie gładząc mnie kciukiem po policzku.

– Byłem tam z tobą. Widziałem cię w tej... sukni. – Spogląda w dół, ewidentnie bardziej niezadowolony z garderobianego wyboru Hadesa niż ja sama. – Dopóki nie wstałaś z wielkiego łoża i...

– Podeszłam do ciebie leżącego na czerwonym szezlongu – kończę jednym tchem, nie mogąc wyjść ze zdumienia. – Którego nie widziałam wcześniej w swojej komnacie.

– Pewnie dlatego, że go tam nie było – wyjaśnia. – Stał w sali, w której ja byłem.

– A gdzie byłeś?

Nie chcę być taka ciekawska, zwłaszcza że moje zaintrygowanie może się wydać sposobem, by uniknąć trudnego tematu, ale jeśli nie zapytam teraz, w jego bezpiecznych ramionach, to mogę już nie mieć okazji. Jeśli za sprawą jakiegoś kosmicznego cudu uda nam się wyjść z tego cało, muszę wszystko pamiętać.

Kosmiczny cud... Być może jest nim książka, którą znalazłam w kącie.

Ale na razie to tylko parę absurdalnych stron, o których nie pora dywagować. Teraz liczy się jedynie Maximus i ostatnie chwile, które zostały nam w tej pięknej bańce.

– Byliśmy w szlachebnym zamku – wyjaśnia. – Zatrzymaliśmy się tam na krótki odpoczynek.

Pomimo ukłucia w sercu odpowiadam uśmiechem na jego uśmiech, kropka w kropkę podobnym do uśmiechu dziadka. Jakże bym chciała go teraz zobaczyć. I Kell, i Jadena... nawet mamę.

– Naprawdę istnieje?

– Dasz wiarę? – odpowiada pytaniem. – Ale bez łąki, rzeki czy siedmiu murów. Z kolei Charon i Minos są jak wyjęci z kart poematu Dantego.

Szczęka mi opada.

– Przyznaj się, że mówisz tak tylko po to, żebym nie mogła wyjść z szoku.

Żartobliwie całuje mnie w nos.

– Mały demonie, mam na to lepsze sposoby.

Przez dłuższą chwilę tonę w jego pełnym uwielbienia i namiętności spojrzeniu. Nagle w pełni docierają do mnie jego słowa.

– Zaraz, czy ty powiedziałeś „byliśmy”? To znaczy kto?

– Co słyhać, biedroneczko?

Ponownie nieruchomieję, jeśli nie liczyć mrugania powiek, spod których wpatruję się w osłupiała w mojego ukochanego, który nadal uśmiecha się szelmowsko, bo wie, że tylko jeden głos na świecie mógłby sprawić, bym wyrwała się z jego objęć, by wpaść w inne. Szlochając z radości, przytulam go mocno, aż nie mogę oddychać, a on odwzajemnia się tym samym.

– Dziadziu. – Przez chwilę nie jestem w stanie wydusić z siebie nic więcej. Boję się, że ten sen zaraz rozplynie się w powietrzu. Nie potrafię zatamować łez, które spływają mi ciurkiem po twarzy, a on gładzi mnie po plecach, jakbym znów była dzieckiem i dostała czkawki.

– Pierwsze, drugie... zapnij mi obuwie – szepcze mi we włosy i parskam śmiechem, jednocześnie pociągając nosem.

– Trzecie, czwarte, zamknij drzwi otwarte. – Minęło co najmniej piętnaście lat od naszej ostatniej rymowanki. Teraz jej słowa brzmią tak błogo, zwłaszcza gdy wtóruje mi lekkim śmiechem. – To ty przyprowadziłeś tu Maximusa?

– Przeprowadziłem go tylko przez Przedsiónek i jedną czy dwie podejrzaną dzielnicę. – Prawdziwą bohaterką jest twoja babcia, która nas tu przeniosła.

Zza jego pleców wyłania się Charlena wyprężona jak struna.

– Obowiązek jest obowiązkiem – mówię, by mogła zachować twarz. Bez wątpienia to właśnie obowiązek jest kluczem do jej pozycji. Biletem wyjścia z koszmarnej muliska, które Hades pokazał mi w dali tuż po przybyciu. Naprawdę to było zaledwie przed kilkoma dniami? Mam wrażenie, jakby upłynął cały rok pełny lęku i beznadziei.

Takiej samej beznadziei, jaka ogarnia mnie teraz, gdy wisząca w powietrzu energia nabiera namacalnej zaciekłości. Z przerażeniem zdaję sobie sprawę z jej poczucia obowiązku – nie jako mojej babki stojącej

u boku mojego ukochanego dziadka, ale jako żołnierki Hadesa. A to może oznaczać tylko jedno.

– Hades. Idzie tu – rzucam. Odwracam się z powrotem do Maximusa. – Czuję to.

Przeklinam się w duchu, że nie wyczułam tego szybciej. Chcę błagać dziadka i Maximusa, żeby się ukryli albo spróbowali ucieczki, ale żaden z nich nie wygląda na skorego, by się ratować. Dziadek ściąga łopatkę i staje w rozkroku, a Maximus z profilu wygląda równie zaciekle: jego dumny nos prowadzi do prostej linii ust, a szczęki zaciska z taką stanowczością, że ich zarys aż przebija przez jego brudną brodę. Mój wzrok pada na dziurę w jego postrzępionej koszuli, spod której widać nagie ramię. Nawet teraz jest napięty, dumny i gotowy na wszystko.

Kręcę głową, ale w duchu krzyczę w popłochu.

Obaj są gotowi stawić czoła kolejnemu potworowi, by uratować mi życie.

Tyle że tym razem to nie byle potwór.

To istota mieniąca się władcą tej krainy, bóg, któremu już kiedyś udało się wedrzeć do umysłu Maximusa. I to nie raz, jak widać.

Ile jego słabości zna i może teraz wykorzystać? I co się stanie z moją duszą, jeśli będę musiała patrzeć na śmierć dwóch najdroższych mi osób?

Nie mogę. Nie będę na to patrzeć. Cofam się więc i zamykam oczy, bo nie chcę być świadkiem choćby początku tej konfrontacji. Obiecuję sobie, że nawet nie zerknę na Hadesa, który wchodzi do biblioteki chyba z całą swoją świtą, sądząc po hałasie, jaki robią.

Nie wiedzieć czemu na tę myśl prostuję plecy i otwieram oczy. Jestem najslabszym ogniwem po naszej stronie, ale nawet ja się przydam w starciu z ośmioma czy dziewięcioma demonami.

– Panowie, witam. Cieszę się, że dotarliście tu cali i zdrowi! – ryczy Hades w ramach powitania, a przerażone książki dają drapaką, gubiąc kolejne kartki.

Jego podniesiony głos pasuje do stroju, w który zdążył się przebrać, a który przypomina zachlapane krwią grzeszników skrzyżowanie uniformu konduktora z frakiem dyrygenta.

– Nie przebyłem całej tej drogi, żeby słuchać uprzejmości – warczy Maximus. – Możemy już przejść do rzeczy?

Kilku dowódców Hadesa już się jeży, ale władca uspokaja ich jednym gestem.

– Skoro sobie tego życzysz.

– Wszyscy zachowajmy spokój – wtrąca dziadek. – Niepotrzebne nam swary.

Hades obrzuca go osobliwym złowieszczym spojrzeniem.

– Powiedział uciekinier, który zbyt długo nadużywa mojego miłosierdzia. – Nagle dostrzega Charlenę i jej posyła z kolei spojrzenie oskarżycielskie. – Tu jesteś. To do ciebie niepodobne lekceważyć wezwanie swego władcy.

Charlena sztywnieje, staje na baczność.

– Wiedziałam, o co chodzi, więc pomyślałam sobie, że zostawię w tyle resztę i znajdę ich pierwsza.

Hades uśmiecha się półgębkiem.

– Jak zawsze sprytnie. A już miałem przekazać Karę innemu dystryktowi...

Na te słowa opanowanie Charleny obraca się w pył.

– Obiecałeś ją mnie! – wybucha.

– Obiecałem ją dowódcy, który przyprowadzi mi Maximusa Kane’a, o czym byś wiedziała, gdybyś raczyła się zjawić na odprawie – odparowuje. – I oboje wiemy, że w każdej chwili mogę ją wrzucić pod lód. Nie tym tonem, Charleno. Oboje dobrze wiemy, że zasługujesz na wieczną udrękę. Co więcej – odwraca się z powrotem do dziadka, mrużąc oczy – musiałaś wiedzieć, jak się sprawy mają, skoro wyłamałaś się, by przyprowadzić mi nie jedną, ale dwie zagubione duszyczki. Cóż za cudowna niespodzianka! Giovanni, jak miło znów cię widzieć.

Ku mojemu rosnącemu przerażeniu w odpowiedzi dziadek posyła mu równie zuchwałe spojrzenie.

– Miło, mówisz? A wy piekielnicy znowu o ziemskich sprawach, o których nie macie zielonego pojęcia.

Śmiech Hadesa wstrząsa murami biblioteki.

– Może wy, śmiertelnicy, powinniście je bardziej doceniać, zwłaszcza stając przed bogiem, który może dopilnować, byście już nigdy nie musieli się przejmować takimi błahostkami.

Dziadek, który ewidentnie spodziewał się takiej odpowiedzi, zadziera brodę wyżej. Nie mam pojęcia, jaką kąśliwą uwagę wygłosi, ale czuję, jak burzy się w nim krew. Naszemu gospodarzowi to się raczej nie spodoba.

Ale mój plan, by milcząco błagać Maximusa o interwencję, spala na panewce, gdy tylko się do niego odwracam. Bije od niego taka frustracja, zniecierpliwienie, a nawet żądza mordy, że aż zapiera mi dech.

„O-o. Nie, nie, nie”.

Gdzie się podział mój chłodny, opanowany profesor Kane, kiedy najbardziej go potrzebuję?

I dlaczego czuję w kościach, że nie dostanę szybko odpowiedzi na to pytanie?

Maximus

NIEPOKÓJ W POCIEMNIAŁYCH OCZACH KARY mówi sam za siebie. Ale prosi mnie o zbyt wiele. Błaga, bym się pohamował, ściska mnie znacząco za rękę. Prosi mnie o niemożliwe, musi to zrozumieć. Hades nie ugości nas herbatką, nie zaoferuje cywilizowanej wymiany zdań. Jedyne strzępy człowieczeństwa pod jego czaszką pochodzą z rabunku. To Don Corleone świata bogów, brutal w jedwabnym garniturze. Nie dotrę do tego pierwszego, jeśli nie wstrząsnę drugim. A Hades powinien już wiedzieć, że nie boję się ubrudzić sobie rąk.

Ale nawet w tej chwili roztrzęsienia wszystkie moje kontrolki logiki płoną. Nie jestem już płochliwym nieopierzonym żółtodziobem, grzecznie popijającym z nim nektar w barze Honeya Bacchusa. Jestem jego bratankiem półbogiem, który zaliczył przyspieszony kurs po tej stronie lustra – i to na piątkę. Z pewnością zdążył się o tym już przekonać. Nawet bóg chaosu musi docenić siłę wytrwałości i zrobić jej miejsce przy negocjacyjnym stole.

– Doszedłeś do siebie, wuju? – pytam, przerywając przedłużającą się ciszę. – Skoro już wiesz, kto tu rządzi, możemy przystąpić do rzeczy?

W chwili gdy wypowiadam te słowa, czuję, jak w łokieć wbijają mi się drobne paluszki. Nie zapunktowałem u Kary, to na pewno.

– Maximusie – syczy mi do ucha, ale tylko prostuję rękę, karcąco, acz delikatnie przyciągając ją do siebie. Tak bardzo chciałbym spojrzeć jej w oczy i ją uspokoić, ale nie śmiem. Zaufanie Hadesowi kosztowało mnie kiedyś koszmarne mętlik w głowie. Za drugim razem cena była dużo wyższa. Teraz nie zamierzam ani na sekundę spuścić go z oka.

Mój świdrujący wzrok nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

– Urocze. – W spojrzeniu jego grafitowych oczu tli się dość złości, by utrzymać w stanie podwyższonej gotowości całą demoniczną drużynę. Ale nie na długo.

Podskakują jak jeden mąż, gdy bóg mroku unosi ręce i splata je na wysokości mostka. Już myślę, że zaraz zmaterializuje się w nich wysadzana klejnotami laska albo ognisty miecz.

– Ależ naturalnie, że możemy przystąpić do rzeczy – mówi przesłodzonym głosem. – Jesteśmy w domu, bratanku. Z wielką chęcią spełnię twoje życzenie. Bo nie wiem, czy wiesz, ale zaczęliśmy zabawę bez ciebie, że się tak wyrażę. – Przekrzywia głowę, odszukując spojrzeniem Karę. – Prawda, skarbie?

Teraz już nie tylko jego dowódcy przestępują z nogi na nogę. Tyle że moje drgnięcie spowodowane jest czymś zupełnie innym. Wyczuwając to, Kara szepia nasze łokcie i wzmacnia uścisk. Prawie tego nie zauważam, bo krew uderza mi do głowy, z oczu ciskam gromy, a moje zmysły ogarnia wściekłość.

– Spokojnie, synu – prosi gorączkowo Gio, przypadłszy do mnie. – Dobrze wiesz, że on cię prowokuje – dodaje, uderzając mnie płaską dłonią w mostek.

Ostatnie zakamarki mojego umysłu, w których ostał się zdrowy rozsądek, skwapliwie mu przytakują. To w nich przechowuję szczegółowy obraz mojej kobiety, który ten potwór widział. Jej nagie ciało. Obnażone

myśli. Szczyty ekstazy i dno rozpaczy. Wstyd, którym ją okrył, w imię swojej przeklętej fascynacji.

Ciemnieje mi w oczach z gniewu, ale ostatkiem sił trzymam się kurczowo resztek rozsądku. To zbyt proste jak na niego. Jest na świecie od tysiącleci, więc jego zło miało dość czasu, by nabrać wielowymiarowości, o jakiej mi się nie śniło. Nie wolno go lekceważyć, co nie znaczy, że nie można go zrozumieć. A w tej chwili ta zdolność to jedno z niewielu narzędzi, jakie mi zostały. Im więcej amunicji, tym lepiej...

Muszę tylko drążyć głębiej...

Czego on chce?

Oprócz oczywistej nagrody, która przed nim stoi. Gdyby chodziło mu o Karę, rzuciłby nas po prostu na pastwę swojej krwiożerczej hordy. Nawet Charlena zdążyła zasugerować, że jesteśmy tylko przelotną rozrywką, dopóki nie trafi mu się nowa lśniąca zabawka.

Zgaduję, że jest nią Persefona.

Ile zostało czasu do powrotu królowej podziemia? Jeżeli moje zakłócone zmysły mnie nie mylą, równonoc jesienna jest tuż za rogiem. Zakładając oczywiście, że mity to prawda.

Tylko w ostatnim tygodniu odwiedziłem „przenośny” cocktail-bar, patrzyłem, jak z posągów wyskakują groźne bestie, i niespodzianie dokopałem się do własnych wspomnień z życia na Olimpie. Tak więc nietrudno mi uwierzyć w kursowanie Persefony między dwoma światami. Wprost przeciwnie: nagle widzę Hadesa w zupełnie innym świetle. Jest po prostu smutnym, znudzonym mężem czekającym na powrót miłości swojego życia.

Ale – o ile się nie mylę – czy naprawdę zaryzykuje swoje małżeńskie szczęście dla jakiejś przelotnej rozrywki? Dla pionków, o których zapomni, gdy tylko jego prawdziwa miłość przestąpi progi tego zamku?

Czekanie z założonymi rękami na odpowiedź to nie najlepszy pomysł. Nie mamy najmniejszych szans, by oszacować, ile czasu nam zostało, zanim się nas pozbędzie. A dopóki ja tu jestem, nie dostanie ani strzępu myśli Kary.

Pchnięty tym postanowieniem zasłaniam ją własnym ciałem. Mój wzrost i gabaryty wystarczą za barierę dla Hadesa.

Widząc to, władca zaświatów uśmiecha się drwiąco.

– Naprawdę sądzisz, że zdołasz ją ochronić?

– Owszem. – Prostuję się. – Miałeś ubaw, chory podglądaczu? Tylko dlatego ją tu zatrzymałeś, prawda?

Prycha.

– Nowe doświadczenia zawsze są ekscytujące. Ale nawet nie najświeższe bywają... przydatne.

Zaciskam dłonie w pięści, by nie pokazać mu, do czego się one przydają.

– Zabawiłeś się – cedzę – a teraz pozwól jej wrócić do domu i skończmy z tym.

– Hm. Tak po prostu?

– To nie musi być trudne.

Kręci głową z szerokim uśmiechem.

– Daję słowo, roszczeniowa postawa jak u ojca. Naprawdę myślisz, że możesz wdzierać się do mojego królestwa i zabierać moich poddanych? A powiedz mi, z łaski swojej, na jakiej podstawie? Namiętności kochanka? Upominającego się o studentkę profesora?

Ruszam na niego, nie rozluźniając pięści.

– Jeśli trzeba, stanę do walki ze wszystkimi pachołkami, których tu skrzyknąłeś.

– I sądzisz, że tym sobie na nią zasłużysz?

– Tym właśnie się różnimy, wuju. Ja wiem, że na nią nie zasługuję.

Jego nozdrza się rozszerzają.

– Ona jest moja. Moja!

Jego ryk zrzuca z półek kolejne książki. Ale teraz już obaj się wzajemnie nakręcamy. Kara może i nie należy do mnie, ale do mnie należy ją chronić. Kochać, wielbić i uchronić przed strasznym losem, na który sobie nie zasłużyła.

Moje mięśnie jeszcze bardziej się napinają, a trzewia ściskają.

Gdy robię kolejny krok w jego stronę, słyszę dudnienie w uszach.

– Maximusie, nie. Nie bądź niemądry! – Kara gorączkowo próbuje mnie odciągnąć, rozrywając mi rękaw koszuli, ale nie dbam o to. Jestem kłębkim nerwów, adrenaliny, wściekłości, nieustraszoneści i wyczerpania – bo wreszcie przejrzałem jego plan. To mnie chce doprowadzić na granicę wulkanicznej erupcji i patrzeć z uciechą, jak gotuję się ze złości. To go fascynuje.

Dobrze więc. Dam mu to, czego chce, jeśli tak mogę odwrócić jego uwagę od Kary. Połknę przynętę i zabawię go swoją furią. W duchu maluję już niewidzialną tarczę na jego torsie, mierząc kolanem w jego zimne, wyrachowane serce...

Nie może zignorować chłaśnięcia mojej pogardy i nasz wzrokowy pojedynek przerywa drżenie jego dolnej wargi. Tak myślałem.

Nagle jakaś siła odrzuca mnie do tyłu i upadam na plecy jak rażony falą uderzeniową. Nie wiem, gdzie jest Hades, bo widzę tylko złoty sufit biblioteki i parę przytrzymujących mnie sługusów. Ale nawet ich wspólna waga to na mnie za mało. Wystarczy, że oprę o coś stopy, odepchnę się od podłogi i...

– Co, do dia...

Nie mogę złapać tchu. Kopię na oślepa, a w zasadzie próbuję, bo obie nogi unieruchamiają ostrza przeszywającego bólu. Z mojego gardła wyrywa się ryk, ale to tylko pogarsza tortury. Nadal nie mam oglądu sytuacji, bo na klatce piersiowej i łokciach siedzą mi te piekielne demony, ale odnoszę wrażenie, jakby ktoś przypiekał mi palnikiem kostki, golenie i kolana – wrażenie tak silne, że lada chwila spodziewam się poczuć swąd zwęglonego ciała. Gdy mija kolejna minuta, a ja nadal czuję jedynie zapach kwaśnego potu i starego kurzu z podłogi, uświadamiam sobie straszną prawdę.

Ulga nie nadejdzie.

Jestem w piekle i moje męki będą trwałe, dopóki torturowanie mnie nie znudzi się Hadesowi.

– Maximus!

Krzyk Kary odbija się echem w nielicznych racjonalnych zakamarkach umysłu, które mi zostały. Ale sam mam ściśnięte gardło i nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Może... gdybym tylko mógł na nią jeszcze raz spojrzeć...

Jakimś cudem zbieram się w sobie i resztką sił unoszę głowę – ale nie mogłem wybrać gorszej chwili. Dostrzegam tylko Hadesa dającego znak do ataku dwóm innym pachołkom. Obnażając kły i zanosząc się śmiechem jak hieny, dołączają do swoich towarzyszy, by jeszcze mocniej przygwoździć mnie do podłogi. Klnę i stękam, ale to na nic. W ich kleszczach jestem jak porażony paralizatorem. Nawet protesty gasną mi na ustach.

Jedynym, co czuję, są miliony ostrzy palącego bólu.

Kara

ANI NA CHWILĘ NIE PRZESTAJĘ KRZYCZEĆ, ale wszystko dzieje się tak szybko – mogę tylko bezradnie patrzeć. Jeszcze niespełna minutę temu ścisnęłam rękę Maximusa, a teraz próbuję wyrwać się ze szponów Hadesa, wbijając w nie paznokcie jak w plastelinę. Ale to nic nie znaczy dla tych umarłych za życia istot. Nic nie może się równać udręce tej chwili.

Powietrze drży od wycia Maximusa. Jego męki rozdzierają mi duszę. Dowódcy Hadesa rozrywają mu koszulę, przygotowując go do nowych tortur.

Ale znosi nie tylko fizyczny ból. Czaszkę rozsadza mu nieznośne poczucie bezsilności... powoli ciągnąc mojego ukochanego w otchłań szaleństwa. Ucieczkę w pustkę niczym w sen przynoszący wytchnienie. Wiem, bo czuję to wyraźniej niż cokolwiek innego, nawet własny paralizujący strach.

– Maximusie! – krzyczę. – Błagam, nie idź tam!

I choć przekręca głowę w moją stronę, jego spojrzenie jest puste niczym wygaszony ekran monitora. Patrzy przeze mnie na przestrzał, trawiony ogniem niesłabnących męczarni przesłaniających wszystko inne. Ale w głębi piersi, w centralnym punkcie mojej jaźni czuję zupełnie inny ogień. Iskrę rozpacz i bóle zlewającą się z moją, bliźniaczą.

To on.

– Boże – szepczę ochryple, świadoma, że to coś więcej niż tylko wrażenie.

Nagle przez jego puste spojrzenie i rozdzierające jęki przebija się wewnętrzny głos.

„Kara”.

Z sercem w gardle, wykręcając w dłoniach strzepy jego koszuli, zmuszam się, by unieść głowę i się rozejrzeć.

„Odnajdź mnie, Karo”.

Nie wiem, gdzie go szukać ani co robić. Jestem zagubiona i przerażona. Od pierwszego wejrzenia połączyła nas namacalna, potężna więź. Oboje to wyczuwaliśmy, jeszcze zanim się dotknęliśmy, a po pierwszym pocałunku byliśmy już tego pewni. I pełni niezachwianej wiary w siebie nawzajem. Może i po zaświatach prowadził go dziadek, ale odwagę Maximusa napędzało jego przywiązanie do mnie. A ja przetrwałam ten koszmar tylko dzięki pokładanej w nim nadziei.

Nadziei, która teraz błyskawicznie gaśnie...

Ale jeszcze się tli.

– Jeszcze się tli.

Powtarzam te słowa na głos, bo mój duch musi je usłyszeć. I czuję, że Maximus też tego potrzebuje. Moja afirmacja chyba jednak niewiele wskóra. Nawet dźwignięcie się z klęczek jest ponad moje siły, zupełnie jakbym w najgorszy sztorm próbowała przybić do portu rozklekotaną łajbą. Serce mi krwawi. Odwaga mnie opuszcza. W głowie mi wiruje. A umysł podpowiada, by rzucić się z pazurami na Hadesa, tak jak wcześniej na jego sługusów.

Ale nie jestem w stanie się ruszyć i momentalnie uświadamiam sobie dlaczego. Na odwet nie trzeba byłoby długo czekać – i złość Hadesa nie

skrupiłyby się na mnie. Miłość mojego życia wciąż jest w jego szponach, bo dowódcy dystryktów nie zrobią nic bez zgody swojego pana. Drzę na samą myśl o tym, co spotkałoby Maximusa, gdybym wstawiła cierpliwość Hadesa na jeszcze większą próbę. Dopóki nie znajdę na niego sposobu, jestem zupełnie bezsilna. Tylko gdzie go szukać?

Nagle mnie oświeca.

„Odnajdź mnie”.

Tę samą prośbę Maximus wypowiedział do mnie, gdy spotkaliśmy się we śnie, jednym z najpiękniejszych, jakich dane mi było doświadczyć – dopóki nie zamienił się w koszmar. Dopóki Hades nie wdarł się do mojego umysłu, nie położył łapy na moich najintymniejszych wspomnieniach i nie popatrzył na mnie jak wygłodniały drapieżnik.

Teraz zastanawia się, jak znowu to zrobić. Kimże jestem, by mu tego odmawiać?

Nie czekając, przystępuję do rzeczy. Żeby ten szalony plan się powiódł, we wszystkie szare komórki mojego mózgu muszę wlać cały ten obłęd. Całą moją frustrację i wszechogarniającą, dziką furję. Bezrozumny ból, smutek i poczucie straty, od których kręci mi się w głowie.

Nietrudno przywołać te wszystkie emocje. Potykając się o własne nogi, staram się podejść jak najbliżej do krwiożerczej hordy i jej ofiary. Na widok wyciągniętej szyi i rozedrganych kończyn Maximusa w duchu próbuję choć odrobinę go ukoić. Ale to na nic. Jest już poza moim zasięgiem. A ja nadal nie jestem w stanie mu pomóc.

To poczucie bezsilności jest nie do zniesienia. Nienawidzę go każdą komórką ciała i kroplą krwi w żyłach. Tak wiele razy Maximus był dla mnie wsparciem, a teraz, gdy sam potrzebuje ratunku, ja nie umiem mu się odwdzięczyć.

Nie mam nic, żadnej broni.

Mam tylko... siebie.

Ale może to wystarczy.

– Hadesie. – Zawracam do niego na klęczkach z przygarbionymi ramionami i zwieszoną głową. Dla ratowania życia i zdrowych zmysłów Maximusa jestem gotowa zlizywać mu kurz z butów na oczach całej tej piekielnej widowni, ale na razie ograniczam się do słów. – Błagam. Błagam...

– I to jak uroczo – rzuca w końcu pod nosem władca podziemia, budząc we mnie nadzieję, że może mojego szalonego planu da się uniknąć. Wyciąga rękę i ujmuje mój podbródek. – Nie przerywaj, moja piękna.

Ja jednak milczę. Musi powtórzyć swoje polecenie.

Zakrwawiony Maximus tymczasem ryczy i wierzga jak dzikie zwierzę. Udaje mu się wyszarpnąć rękę, ale kolejny dowódca Hadesa natychmiast doskakuje, by pomóc kamratom na powrót go unieruchomić. Choć nie mogę na to patrzeć, nie odwracam wzroku. Wlewam w swoje gorączkowe błagania świeżą porcję bezsilnej udręki.

– Dlaczego? – pytam z rozpaczą. – Dlaczego to robisz? To ja ci zawiniłam przez swoje nieposłuszeństwo!

– Spowodowane twoją obsesją na jego punkcie – odpowiada ze złością Hades. – A on nie zrobił nic, by ją ukrócić. Wprost przeciwnie, tylko cię w niej utwierdzał.

– Bo o niczym nie wiedział, dopóki nie było za późno! Nie miał pojęcia o tym, jaką łamię przysięgę.

Hades prychnął.

A moim ciałem wstrząsają dreszcze. Teraz już wiem, jak się czuł Syzyf, bez końca wtaczając pod górę swój kamień. Nieważne, co powiem – Hades jest zdeterminowany, by ukarać Maximusa za sytuację, której nigdy nie chciał. A może wie to, czego ja nie śmiem powiedzieć na głos. Że

torturowanie Maximusa jest dla mnie większą udręką niż jakiegokolwiek męki, na które mógłby mnie skazać.

Ale nie zamilknę, dopóki fizycznie mnie nie uciszy.

– Błagam cię na kolanach, byś pozwolił mi zapłacić za moje przewinienia. Odbyć pokutę. Całą. Każdą przyjmę z pokorą. Nawet jeśli... – Przełykam z trudem, co na chwilę pozbawia mnie tchu. – Nawet jeśli zechcesz zakuć mnie w lód. Tylko proszę... proszę, oszczędź Maximusa.

Każda moja sylaba ocieka teraz udręką, do tego stopnia, że nie przeszkadza mi już paraliżujące usztywnienie kończyn. Podnoszę głowę niczym uczennica podczas modlitwy z nadzieją, że moje cierpienie zrobi choć najmniejszy wyłom w pancerzu gniewu stojącego przede mną boga.

– Może i panujesz nad królestwem cieni, ale nie jesteś niesprawiedliwym władcą – ciągnę. – Wymierzasz kary z rozsądkiem. A to uwięzienie... tortury, które zasądziłeś... – Kręcę powoli głową. – Są niepotrzebne i niezawinione. Zdradzają emocje poniżej ciebie. I słabość, której nie powinieneś okazywać.

Znów przełykam z trudem. Moje zarzuty są groźne i lekkomyślne, ale nie dbam o to. I wygląda na to, że Hades też nie, bo nie zadrzała mu nawet powieka. Nie jest już jednak tym samym cierpliwym dżentelmenem, który powitał mnie w swoich progach.

– Błagam cię całym sercem i duszą. Proszę, byś w duchu wspaniałomyślności...

– Nie – ucina, dając znak kolejnemu dowódcy, by dołączył do brutalnej napaści. – Nie masz prawa przedstawiać żadnych żądań czy nawet argumentów. Nie chcę słyszeć żarcików ani błyskotliwych uwag pod płaszczykiem rozsądku. Zrozumiano?

Ściska mi podbródek, aż syczę z bólu, pewna, że zaraz pogruchoce mi szczękę. Ale wytrzymuję ból na równi z jego nienawistnym spojrzeniem i gniewnym grymasem. Zgodnie z moim planem są paliwem podsycającym gwałtownie wzbierający we mnie ogień. Nie mam wyboru, muszę zaryzykować. To moja ostatnia nadzieja...

– Zrozu-miano – wyduszam ochrypłym głosem i na powrót spuszczam wzrok. To idealny moment na tę symboliczną oznakę szacunku, dzięki której rosnący we mnie mrok ma czas, by do końca wypełnić mi duszę i serce. Gdy znów zaczynam drżeć, niemal nakazuję swoim zmysłom, by się wyłączyły.

Już niechciany ból i rozpacz są wystarczająco trudne do przełknięcia. Czy ja naprawdę z własnej woli pozwalam, by ten chaos mnie ogarnął?

Tak. Dla Maximusa zniosłabym dziesięciokrotnie większe cierpienia. Zrobię to, co muszę, by go ratować. Nawet oddam kawałek duszy.

Hades rozluźnia uścisk i głaszcze mnie szorstko po policzku.

– Grzeczna dziewczynka. Znakomicie, że rozumiałaś wreszcie, gdzie twoje miejsce, Karo. Dobrze wiesz, czego oczekuję od ciebie w zamian. I to dostanę, wszystko. Już wkrótce. – Wolną dłonią ujmuje mój drugi policzek i głaszcze moją skórę w geście pochwały za uległość. Mam ochotę ją strącić. – A nawet szybciej, jeśli nie chcesz, by twój kochanek nadal uiszcział specjalną opłatę za wstęp do piekła.

Więszego kopniaka od losu w zadek – a raczej w płat czołowy z jego istotą szarą w pełnej krasie – już nie dostanę. To idealna chwila i jego niewidzialna ręka pcha mnie do działania.

A ja się jej poddaję.

Gdy unoszę głowę i świdruję Hadesa spojrzeniem, pod którym w jego oczach pojawia się przeblýsk gniewu.

Gdy chwytam go za ręce niczym powstały z grobu upiór i patrzę, jak się wzdryga.

Gdy z lubością pytam słodko:

– W ten sposób?

Gdy przyciskam sobie jego palce do skroni, do ostatniej kropli dzieląc się z nim swoimi najmroczniejszymi emocjami – i udręką Maximusa, której sam jest sprawcą.

– Uważaj – szepczę – byś nie dostał dokładnie tego, o co prosisz.

Hades otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wychodzą z nich żadne słowa. Choć raz jest równie przytłoczony, zniesmaczony i oniemiały jak ja, gdy trafiłam do jego przerażającego królestwa. I co najważniejsze, sparaliżowany, ale nie spodziewam się, by to długo trwało.

Co oznacza, że nie mam ani chwili do stracenia.

– Dziadku! – wołam, podrywając się z ziemi. Na szczęście błyskawicznie pojawia się u mojego boku i podtrzymuje mnie, zanim nie wyręczy go przyływ adrenaliny, który dodaje mi tak potrzebnej odwagi. – Zostań tu, przy Maximusie. Bądź gotów mu pomóc. Nie mamy dużo czasu.

Dziadek się cofa, kręcąc głową.

– Na co?

– Maximus – powtarzam tylko w odpowiedzi. – Po prostu... pomóż mu. „Jeśli to w ogóle zadziała”.

Nie marnuję cennych sekund, by powiedzieć to głośno. W tej chwili liczy się każdy ruch. Każdy oddech, zamiar, każdy szalony moment tego naciąganego planu – co do którego zaczynam jednak nabierać pewności, gdy tylko odwracam się na pięcie i biegnę po książkę, która przemawiała do mnie z taką tajemniczą siłą.

Z ulgą odnajduję ją tam, gdzie ją zostawiłam, w kącie biblioteki. Muszę przyznać, że jestem zaskoczona. Po zaledwie paru minutach pochłaniania słów i symboli, które zdawały się napisane specjalnie dla mnie, już myślałam, że sama wstanie i stąd wyjdzie. Ale jestem jej niewymownie wdzięczna, że jednak została, zwłaszcza gdy wytłoczona na okładce pochodnia znów zaczyna się jarzyć złotym światłem.

I już chyba wiem, dlaczego książka dla mnie została. I dlaczego w ogóle ją znalazłam.

Na krótką chwilę zamykam oczy, przebiegając palcami po jednej ze stronic. I po kolejnej. I jeszcze jednej, czekając, aż coś nabierze sensu. Czując, że znaczenie skryształizuje się jak symbolika wersów z poematu Dantego. Mam wrażenie, że dosięgam ciężkich chmur i ukrytych w nich błyskawic.

Nagle słowa na jednej z kartek wypełniają moje żyły elektrycznością, a duszę oślepiającą energią, która błyskawicznie rozchodzi się po moim ciele aż po opuszki palców, gdzie zaczyna boleśnie pulsować.

Aż wypowiadam słowa, by ją uwolnić.

– „Z krainy Amazonek racz zstąpić, o bogini”.

Przymykając powieki, widzę, jak słowa zaczynają się żarzyć. Na wpół świadoma zauważam, że struchlali dowódcy Hadesa odskakują od Maximusa, a ich pan nie jest w stanie nic z tym zrobić. Choć zgrzyta zębami, rzucając głową, jakby chciał ryknąć jakiś rozkaz, żaden dźwięk nie wydostaje się z ust boga, którego zakułam w okowy rozpacz.

– „W mrowiu kształtów jedno światło, twoja gwiazda nas prowadzi”.

Słowa zaczynają pulsować coraz jaśniejszym światłem. Jak przez mgłę widzę, że jego źródłem są opuszki moich palców. Jest ciemnozłote jak pochodnia, którą zapaliłam. Jego ciepło rozlewa się po moich rękach, piersi, głowie, wreszcie wypełniając mój umysł. Staję w najpiękniejszych

plamieniach. A im bardziej gorzej, tym bledsze stają się czerwone obrączki na rękach i nogach Maximusa. Z każdą chwilą mój uśmiech rośnie. Czuję się... niesamowicie.

Ale to nie tylko moja zasługa.

Jestem tego świadoma tak jak ciepła rozlewającego się po moim ciele i sercu. Wiem to, bo w tym niekończącym się przyplądzie złocistej energii czuję jeszcze inny. Moc książki... i łaskę jej autorki.

– Hekate – szepczę, pewna, że to ona. Z moich ust płyną kolejne słowa niczym wywołane jej imieniem: – *Fax accenditur superiores. Hecate declarat. Ego sum unus cum Hecate.*

Intuicja każe mi je powtórzyć, jakby były zbierającymi się w mojej chmurze kroplami deszczu. Nie jestem w stanie się im oprzeć, świadoma, że muszę się podporządkować tej potędze, czymkolwiek ona jest.

Ale jeszcze się nie zatraciłam. Nadal mam świadomość wszystkiego, co się dzieje dookoła. Walki Hadesa z dojmującym żalem, która nie będzie trwała wiecznie. I powoli dochodzącego do siebie pięknego mężczyzny leżącego wciąż zbyt blisko niego.

– Nieczysta łaska! – wybucha Charlena, przyciskając drżące palce do skroni.

Ale to nie na niej skupiam uwagę. Nikt nie liczy się tak jak wybraneń mojego serca, któremu wreszcie udaje się uwolnić z niewidzialnych okowów. A gdy przytomnieje, otwierając oczy, mam ochotę skakać z radości.

Ani na sekundę nie przerywam jednak inkantacji.

– *Fax accenditur superiores. Hecate declarat. Ego sum unus cum Hecate.*

Maximus dźwiga się na kolana i przenosi zdeorientowane spojrzenie z Charleny na mnie i z powrotem.

– Co, do... Co się dzieje? Kara? Wszystko z nią w porządku? To sprawka Hadesa?

– Nie. – Charlena rusza w moją stronę, udając, że niestraszna jej magia płynąca z kart księgi. – „Pochodnia płonie coraz jaśniej”. Tak brzmi początek...

Gdy głos więźnie jej w gardle, jakby kolejne słowa nie chciały przez nie przejść, Maximus kończy za nią:

– „Tako rzecze Hekate” – dodaje z iście nabożną czcią. – „Jam jest z nią jednością”.

– Hekate – powtarza szeptem Charlena, trzęsąc się od stóp do głów. – Na kręgi piekielne, jak udało jej się ją znaleźć?

– Co znaleźć? – Maximus zrywa się na równe nogi.

– Po tych wszystkich latach. – Charlena rzuca Gio znaczące spojrzenie. – Księga czarów Hekate.

Maximus nieruchomieje. Och, jakże bym chciała podbiec i zamknąć go szczelnie w swoich objęciach! Ale to niesamowite ciepło wypełniające moje zmysły – i czarodziejka, która je wznieciła – każą mi nie przestawać, prowadząc nad skraj przepaści. Ku szczytom tej wybuchowej mieszanki miłości, nadziei i wytrwałości, byśmy szybowali coraz wyżej i wyżej...

– O chol... – Maximus przerywa. – Księga czarów Hekate? Bogini, którą przywoływali wszyscy, od Hezjoda i Homera po Owidiusza i Szekspira?

Charlena kiwa zdecydowanie głową.

– A teraz przywołuje ją Kara. Nikt z tutejszych nie ośmieliłby się wzywać jej mocy z żadnego innego powodu.

W odpowiedzi Maximus otwiera szeroko oczy ze zdumienia. Nawet w tej najbardziej szalonej z chwil, jakich kiedykolwiek dane mi było – i zapewne będzie – doświadczyć, niemal omdleam z zachwytu nad jego

męską urodą. Więszego uroku dodają mu tylko okulary w rogowych oprawkach. Ale na razie muszę zadowolić się błyskiem intelektu w jego oczach.

– Hekate jest czarodziejką najwyższej rangi – ciągnie moja babka. – Jako jedna z nielicznych jest zdolna bezkarnie sprzeciwić się wszechojcu. To bogini księżycy, duchów... – Przerzywa znacząco i Maximus musi dokończyć za nią.

– I czarnoksiężstwa.

Maximus

WSTRZĄSA MNĄ WIDOK KARY przywołującej Hekate czy innego mieszkańca tej starej zakurzonej księgi, zwłaszcza że moje ciało wciąż nie doszło do siebie.

Ona świeci. Promienieje energią tajemnych sił, które przemieniły jej opuszki palców w ogniste punkty, jednocześnie unosząc jej włosy niczym połyskujące anielskie skrzydła. Chciałbym w nieskończoność napawać się jej pysznym pięknem, ale jestem boleśnie świadomy, że mamy mało czasu. Z każdą sekundą Hades odzyskuje coraz więcej swoich mocy. Ostatni z jego demonicznych sługusów odrywają się od ścian z niepewnymi minami, chcąc jakoś pomóc, lecz nie wiedzą jak. Świetnie ich rozumiem. Nie mam pojęcia, jakie zaklęcie na niego rzucono ani dlaczego. Wiem tylko, że wbrew moim gorącym pragnieniom ten stan nie będzie trwał wiecznie.

Choć z magią mojej kobiecie jak najbardziej do twarzy, ewidentnie jest to dla niej taka sama nowość jak dla mnie. Jej zaklęcie może i pokrzyżowało szyki moim oprawcom, ale czy zdoła nas stąd wyrwać?

Jeśli nie, zostają jeszcze moje pięści. Przygotowuję się na tę ewentualność, gdy wreszcie jeden z dowódców rzuca się w moją stronę z okrzykiem bojowym na ustach – który na szczęście okazuje się jego

jedyną bronią. Uciszam go błyskawicznym ciosem w gardło i poprawiam łokciem w pysk.

Reszta pachółków Hadesa zamiera w bezruchu, ale tylko na chwilę. Teraz naciera na mnie już siedem zaprawionych w boju bestii. W zastygłej twarzy ich pana nie drga ani jeden mięsień, ale w jego oczach pojawia się triumfalny błysk.

Obok mnie Kara przyciska do piersi rozświetloną księgę.

– *Fax accenditur superiores. Et ignem ipsum liberet. Hecate declarat* – szepcze z nabożną czcią.

Patrzę jak zaczarowany, gdy najbardziej zniewalająca kobieta, jaką dane mi było poznać, wsuwa dłoń w moją.

I nagle... to coś więcej niż zaczarowanie.

Płynące z jej palców ciepło momentalnie rozlewa się po mojej skórze, nadając jej hipnotyzującą złocistą barwę. Każda z jej opuszek obiera sobie za cel inny zmysł, a włoski na moich rękach unoszą się muskane tak ciepłym powiewem, że mógłbym przysiąc, że siedzę na patio Recto Verso w letni poranek. Nawet powietrze ma ten sam zapach nowych książek i mocnej kawy Sarah. Niemal czuję jej smak zaprawiony szczyptą cynamonu. Odwracam się do Gio, który z uśmiechem obejmuje wnuczkę, ale Kara ani na sekundę nie przerywa swojej potężnej magicznej litanii.

Ja jednak uśmiecham się szerzej. Bo do moich uszu zaczynają dobiegać także dźwięki księgarni – zarówno te, których tak bardzo mi brakowało, jak i te, za którymi nie spodziewałem się kiedykolwiek zatęsknić. Chrobot młynka do kawy Sarah. Śmiech członków klubów książkowych i odgłosy ulicy.

Nagle przecina je wściekły ryk Hadesa, jakby ktoś zbił kamieniem witrynę kafejki.

– Nie! Nie możecie odejść! Zabraniam wam!

Ściskam mocniej dłoń Kary, dodając jej siły do kontrataku. Jeśli mamy się rozpaść na miliard kawałeczków w kosmicznej próżni między wymiarami, niech tak będzie. Przynajmniej będziemy razem.

Ale w moje serce wlewa się nowa nadzieja, gdy głosy piekielnych sługusów zlewają się w jeden bełkot. Wyraźny pozostaje tylko głos Hadesa, który rzuca się w naszą stronę.

– Nie! – wrzeszczy, nacierając na nas jak oszalała bestia. – Za nimi, kretyni! Za nimi!

– Panie... ale dokąd?

Nie mam pojęcia, który z dowódców miał jaja, by odpowiedzieć mu pytaniem, bo wszyscy zdążyli zniknąć mi z oczu. Mrugam i nagle jedynym, co widzę, jest oślepiające światło. Zastanawiam się, czy to już koniec i tak będzie wyglądała moja wieczność, ale to nic. Jestem szczęśliwy. Choć nie widzę Kary i Gio, czuję ich obecność, gdy przemierzamy razem tę świetlistą próżnię. Ogarnia mnie euforia albo uczucie wielkiej ulgi, bo uśmiech nie schodzi mi z ust. Odzyskałem ją. Nareszcie. Znow jesteśmy razem, na dobre i na złe.

Wraz ze światłem zalewa mnie fala nieopisanej nadziei. Ale gdy krzepnie, otaczająca nas świetlistość zaczyna się zmieniać. Nie jest już tak oślepiająca i pojawiają się kształty. A ja znow widzę palce Kary. Spełniło się. Pięć palców, pięć zmysłów. Wzrok jest ostatnim z jej darów...

I zarazem najlepszym z nich.

Bo oto stał się cud: jestem w domu.

Otoczony zapachem używanych książek i świeżej kawy. Mrużę oczy oślepiiony zagładającym przez czystą szybę słońcem. Zewsząd dobiega śmiech, dźwięk dzwonków rowerowych, powitań i miliony innych, które zawsze przyjmowałem za pewnik. Nigdy więcej tego nie zrobię. Choć ta kakofonia niemal przytłacza moje zmysły, nie próbuję się wyłączyć. Ani

myślę. Po piekielnych lamentach, jękach i wyciu chcę całej gamy doznań tego świata.

Dobry Boże, jak ja kocham Los Angeles.

Rozpiera mnie taka radość, że niemal zaczynam nucić płynącą cicho z kawiarnianych głośników piosenkę The Bangles. Czyli za ladą stoi dziś Regina. Jest zajęta rozmową z jednym ze stałych bywalców, ale dobrze się składa, bo potrzebuję chwili, by przypomnieć sobie parę rzeczy. Na przykład jak się oddycha. I przytulić się do rozpartej na drugim końcu sofy Kary, która mruga z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Biorę ją w ramiona, przyciskam do piersi i całuję do utraty tchu.

To najlepszy pocałunek w moim życiu.

Gdy rozchyłam jej usta językiem, poddaje mi się z cichym jękiem. W tle rozbrzmiewają słowa piosenki o wychodzącym zza chmur słońcu, które koi ból, a ja myślę sobie, że to idealne muzyczne powitanie w domu.

Dom. Naprawdę wróciliśmy. Naprawdę zwyczajnie się obściskujemy na kawiarnianej sofie jak każda normalna para dzieciaków, które właśnie wróciły z wycieczki do piekła.

Na tę myśl uśmiecham się przy ustach Kary, kiedy w końcu przerywamy pocałunek, by zaczerpnąć powietrza. Gdy zadziera główkę i spogląda na mnie z pytająco ściągniętymi brwiami, w odpowiedzi nachylam się, by musnąć jej nos.

– Udało ci się, mój piękny mały demonie – mówię cicho, tylko dla jej uszu.

– Udało się nam – poprawia mnie szeptem, oplatając moją szyję ręką, by mnie do siebie przyciągnąć. Drugą wciąż przyciska do piersi oprawioną w skórę księgę. – Maximusie – zaczyna łamiącym się głosem, ale oczy ma piękne i przejrzyste jak zawsze – tak bardzo się o ciebie bałam. Ale to dodało mi odwagi, by spróbować. Dałeś mi siłę.

Kręcę powoli głową.

– Miałaś ją w sobie, moja piękna. Jesteś potężniejsza, niż myślisz.

Przyciąga mnie do siebie i nasze usta znów się spotykają. Gdy w końcu mnie puszcza, na jej ustach tańczy uśmiech, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widziałem. Rozmarzony i przepełniony radością. Euforyczny i triumfalny.

– Zrobiłam to, prawda?

– A ja jestem z ciebie cholernie dumny – przytakuję z zaborczym pomrukiem, gdy The Bangles zaczynają śpiewać o wyczekiwanej miłości. Muzyka kolejnym zrzędzeniem losu symbolizuje targające mną emocje ukryte za moim własnym triumfalnym uśmiechem. Żadnego z nas nie można nazwać normalną istotą – tyle nie ulega wątpliwości – więc czemu mielibyśmy liczyć na normalny związek?

Czy nasza ludzka połowa nie ma jednak prawa do tych paru zwyczajnych chwil? Czy nie dość się naczekaliśmy na kilka romantycznych gestów i nasiadówek na kawiarnianej sofie?

O tak. Najwyższa pora odbić sobie całe to czekanie.

Ale gdy już się nachylam, by wziąć jej usta w posiadanie z zapamiętaniem, które jeszcze długo będzie wspominać, odpycha mnie i przerażona podrywa się na równe nogi, wciąż przyciskając do siebie księgę czarów jak tarczę.

– Dziadek! – szepcze z przestraczem. – O cholera, czy on...

– Tu jestem, biedroneczko. – Starszy pan wychyla się z jednego z przepastnych foteli uszaków. – I teraz już wiem, co się czuje podczas lądowania wahadłowca...

– O Boże – woła Kara, pomagając mi usadzić go prosto. – Przepraszam. Tak bardzo...

– Biedroneczko – przerywa jej Gio, łapiąc ją za rękę – czy zrobisz coś dla mnie i odrobinę wrzucisz na luz? Dopiero co prosiłaś Hekate o pomoc

w ucieczce...

– Że co, do czorta? – Regina pojawia się w najgorszej chwili z możliwych. Albo najlepszej, zależy, jak na to spojrzeć. Gdyby weszła sekundę później, trafiłaby na najbardziej niewiarygodną opowieść tego stulecia, tylko czy dałaby jej wiarę? I co ważniejsze, czy już zdążyła dopowiedzieć sobie resztę? Czy nadal mam błoto we włosach i w brodzie? A pod oczami sińce świadczące o tym, że nie spałem od ładnych paru dni? Czy plamy na moich ciuchach są tak samo widoczne jak liczne rozdarcia? Mam wrażenie, że od wieków nie widziałem się w lustrze. Nawet przekraczając Acheron, byłem skupiony na wizji Kary, nie na swoim odbiciu w wodzie.

– No więc? – dopytuje Reg, zadzierając brodę z taką mocą, że wszyscy troje sztywniejemy. – W ucieczce skąd?

– Eeee... nie skąd. – Kara uśmiecha się do niej promiennie, błyskawicznie chowając księgę pod jedną z poduszek. – Przed kim. Przed hordą wielbicielek Maximusa. Zauważyły nas, gdy wychodziliśmy z mieszkania, i... zasadziły się na nas...

– Wychodziliście? – upewnia się Reg.

– Tak. – Kara odrzuca włosy od niechcenia. – By tu przyjść, oczywiście.

– W tym? – Reg obrzuca moją kobietę wzrokiem. Z pewnością nie umknął jej ani jeden kołtun czy zagniecenie w eleganckiej czerwonej sukni. Ale Kara nie traci zimnej krwi.

– Owszem. Rzecz jasna, nie spodziewaliśmy się takiej widowni. – Mruga z godną podziwu naturalnością, choć Reg przez dłuższą chwilę przygląda nam się podejrzliwie. I właśnie wtedy...

– O, tu jesteście, biedroneczko. Tak się cieszę, że udało wam się wyprowadzić w pole te harpie z mediów. – Owe słowa padają z ust uśmiechniętego starszego pana, który „wchodzi” z prawej kulisy i ściska

Karę na „powitanie”. – Niech mnie kule biją, toż to Regina Nikian! Gdy pewna ptaszyna wyśpiewała mi, że lubi przychodzić z Maximusem do kawiarni, której jesteś właścicielką, wiedziałem, że koniecznie muszę odwiedzić to miejsce.

Speszona Reg daje się wyściskać nad wyraz wylewnemu Gio.

– Panie Valari – wyrywa się jej, ale natychmiast przywołuje się do porządku. – Chciałam powiedzieć... Giovanni. To znaczy... eee...

– Po prostu Gio.

Rozładowuje napięcie z taką samą swobodą, z jaką Kara przed sekundą rozbroiła bombę garderobianą. Gdy Reg uśmiecha się szeroko, prezentując uzębienie, wypuszczam powietrze, które wstrzymywałem od dobrych paru chwil.

– Technicznie rzecz biorąc, to nie ja byłem twoim pracodawcą – ciągnie Gio. – A w zaistniałej sytuacji i tak stosowniejsza będzie przyjaźń, nie sądzisz? Mam przeczucie, że ci dwoje jeszcze nie raz dostarczą nam wrażeń.

– Będzie mi bardzo miło, Gio – odpowiada Reg widocznie rozluźniona. A przynajmniej taka się wydaje, bo nie jestem pewien, czy kiedyś zdobędzie się na to, by zaufać Valarim, Kary nie wyłączając. Mimo to na razie się stara, za co jestem jej naprawdę wdzięczny.

Usiłuję okazać jej to spojrzeniem. Kiwa głową, ale widać, że nadal jest lekko skołowana. Nie dziwię się, Bóg jeden wie, jak to moje znaczące spojrzenie wyglądało. Jestem do cna wyczerpany i nie mam pojęcia, jak nie zasnąć w trakcie pogawędki przy kawie z facetem, z którym ostatnimi dniami włóczyłem się po piekle. A może tygodniami? Ile właściwie czasu minęło? Jestem bez zegarka i telefonu, więc nawet nie mogę tego sprawdzić.

I gdy już powtarzam sobie w duchu, że o to nie dbam, bo marzę tylko o powrocie do domu i spędzeniu następnych trzech dni w łóżku z moją kobietą, kawiarnię znów wypełniają dźwięki muzyki. A raczej odśpiewanego ryczącym głosem powitania.

– Dzień dobry, cześć i czołem! Pytacie skąd się... – Jesse wyjeżdża z za rogu od strony tylnego wejścia i momentalnie się zatrzymuje, bo na widok naszej czwórki opada mu szczęka.

– Okej, wybaczcie, jeśli zabrzmiało to dwuznacznie, ale co wy tu, do diabła, robicie?

Jego aluzja jest subtelna niczym tsunami, a ta ogromna fala znaczenia bynajmniej nie umyka Reginie – która wbija we mnie i Karę wściekłe spojrzenie pociemniałych nagle oczu.

Ja z kolei rzucam Karze spojrzenie, którym podobnie jak w duchu pytam zdesperowany: „Piękności, masz może w zanadrzu jakąś niewymagającą czarnoksiężskich zaklęć sztuczkę, żeby moja wieloletnia ochroniarzka nie dowiedziała się o moim małym wypadku do piekła?”.

Kara

JESSEMU WYSTARCZY JEDNO SPOJRZENIE na opłakany stan nas trojga, by się domyślić przynajmniej części naszych przeżyć. Brakuje nam tylko koszulek z napisem „Właśnie wróciłem z wycieczki do piekła, ale nie przywiozłem żadnych suwenirów”.

Zaczynam się nerwowo śmiać. Udaje mi się nawet lekko zarumienić.

– O-o, przyłapani na kłamstwie!

Maximus mi wtóruje, chichocząc, jakby wiedział, do czego zmierzam, ale nie jest w stanie ukryć rozbawienia, gdy przykładam dłonie do policzków niby dla ostudzenia wymagowanego rumieńca.

– Wow, ale mi wstyd – bąkam. – Wczoraj byliśmy na imprezie u znajomego i chyba trochę przeholowaliśmy z alkoholem. Szofer gdzieś nam się zapodział i musieliśmy wracać taksówką. Ale gdy tylko kierowca nas rozpoznał, kazaliśmy mu się zatrzymać w najbliższym znajomym miejscu, zanim zdobyłby jakiś smakowity kąsek dla prasy. I tak oto trafiliśmy do Recto Verso. – Unoszę rękę, śmiejąc się lekko. – Wybaczcie!

Meksykańska fala niezręcznych uśmiechów, która przechodzi przez naszą grupkę, omija jedną osobę: Reg.

Nawet Jesse wchodzi w rolę i kręci głową jak ojciec słuchający o szelmostwach swoich pociech.

– Zżera mnie zazdrość, że taka impreza przeszła mi koło nosa. Nadal jesteście pijani, co?

Maximus przewraca oczami.

– Wolne żarty!

Słyszając to, Reg prycha.

– „Wolne żarty”? Dwa dni temu przyszedłeś tu z kacem gigantem, Maximusie Kane. Tylko mi nie wmawiaj, że nie ma takiej wody ognistej, którą mógłbyś się upić.

– Dwa dni temu. – Maximus mruga nieprzytomnie, ale szybko dochodzi do siebie i zaczyna sztucznie rechotać. – A tak. Tej pani nic nie umknie. Można powiedzieć, że ostatnie dni to był istny młyn. – Wzdycha nerwowo. – Może lepiej jedźmy do mnie, zanim ktoś rozpozna Karę.

Jesse podjeżdża bliżej.

– Albo ciebie, stary. Twoja facjata wciąż jest na czołówkach wszystkich brukowców w mieście.

– Komu w drogę, temu czas – wtóruje mu Maximus. – Poprowadzę.

– Ja mogę prowadzić – upieram się.

Jesse piorunuje mnie wzrokiem i podrzuca kluczyki w dłoń.

– Nie ma mowy. To na razie, Reg.

I zanim Regina ma szansę otworzyć usta, by zaprotestować, Jesse zgrabnie wykręca wózkiem o sto osiemdziesiąt stopni i prowadzi naszą grupkę wąskim korytarzem do tylnych drzwi dla dostawców. Dziękuję mu w duchu za przytomność umysłu. Biedak jeszcze nie wie, ile mamy mu do opowiedzenia.

Gdy schodzimy z rampy towarowej, otwieram usta, żeby zawyrokować, iż odpadki z kontenerów na śmieci to perfumy w porównaniu z panującym w Dis zapachem rozpacz, ale przyjaciel Maximusa mnie ubiega.

– Okej, puszczać farbę, dzieciarnio. Chcę wiedzieć wszystko.

– Chwileczkę. – Trzy długie kroki wystarczą Maximusowi, by przejść przez uliczkę. I drugie tyle, by wrócić do punktu wyjścia. – Jaki dziś dzień? Tygodnia?

Sądząc po pierwszej reakcji Jessego w kawiarni, zgaduję, że ich wypad był krótszy, niż przypuszczali, ale to jeszcze nic nie znaczy. Bądź co bądź nie mam zielonego pojęcia, ile czasu zabrało im przygotowanie całego planu po moim porwaniu. Wśród wielu aspektów pobytu w królestwie Hadesa, które na zawsze wyryją mi się w pamięci, próżno szukać poczucia upływającego czasu. Zwłaszcza że tam na dole każdy moment zdawał się całym rokiem.

– Poniedziałek – odpowiada Jesse. – Serio nie wiedziałeś?

– Brak zegarka i telefonu plus piekielna fizyka równa się dezorientacja czasoprzestrzenna – wyjaśnia Maximus.

– I właśnie dlatego dosłownie umieram z ciekawości. Wedle umowy zostałem w sztabie dowodzenia pod warunkiem, że od razu po waszym powrocie opowiecie mi wszystko ze szczegółami. Choć przyznaję, że szybko się uwinęliście.

Gdy po raz kolejny wymieniają współczujące spojrzenia, odczuwam niewypowiedzianą ulgę. Jest jasne, że Maximus postanowił wreszcie wyznać wszystko swojemu przyjacielowi, więc już nie musimy się przy nim pilnować, żeby czegoś nie chlapnąć.

Z serca spada mi kamień, o istnieniu którego nie miałam nawet pojęcia – dobrze się składa, bo tych kamieni nie brakuje. Jeden z nich szczególnie mi ciąży.

Myślę tu o małej pamiątce, która ze mną wróciła: księdze z biblioteki Hadesa, obok której dziwnym trafem nie mogłam przejść obojętnie. Księdze, która, jak się okazuje, nie jest zwykłą książką.

I mam ją przy sobie, bo to pojmuję. Bo tylko do mnie przemawia w ten niezwykły sposób. Na tę myśl przyciskam ją mocniej do piersi, jakby ktoś próbował mi ją odebrać. Owszem, jej magia wyrwała nas z piekła, ale intuicja podpowiada mi, że kryje się w niej dużo więcej. Że stać ją na dużo więcej.

Maximus ściska mocniej moją dłoń. Wzdycham pewna, że po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, kocham go jeszcze bardziej. Ale jak zwykle jestem tym podekscytowana niczym pensjonarka i posyłam mu głupkowaty uśmiech, gdy przytula mnie do piersi. Nawet teraz, kiedy dopiero dociera do nas to, czego dokonaliśmy. I skąd wracamy.

Całuje mnie słodko w czubek głowy i mam ochotę się w niego wtulić i obsypać jego szyję pocałunkami wdzięczności, ale ostatecznie zadowolam się przytuleniem policzka do jego piersi i rozkoszowaniem się wibracjami jego głosu, gdy odpowiada Jessemu.

– Myślałem, że następnym razem zobaczę cię pod postacią starego obleśnego dziada, więc mogę śmiało powiedzieć, że nikt nie jest tym bardziej zaskoczony ode mnie.

– „Obleśnego dziada”? Powiedział gość, który wciąż ma w brodzie jakieś szatańskie łajno o niewiadomym składzie. To musi być jakaś grubsza sprawa, panie profesorze.

Maximus parska śmiechem.

– Hm, nazwijmy to nagłym zwrotem akcji.

Unoszę wolną rękę i macham palcami.

– Jako królowa kolorowych czasopism ręczę za obecnego tu pięknego boga.

– Półboga. – Choć Maximus kończy kolejnym pocałunkiem złożonym na moich włosach, w jego głosie słychać groźny pomruk.

– Później ustalicie szczegóły, najpierw poproszę o opowieści z piekła rodem – wcina się Jesse.

Maximus bierze głęboki wdech i niepewnie wypuszcza powietrze. Nietrudno się domyślić, że jest rozdarty. Świetnie go rozumiem. Nie chodzi tylko o to, że oboje padamy z nóg, ale i o wyrwy w tym rozdziale naszej wspólnej historii, które dla nas samych wciąż pozostają zagadką.

Na szczęście wiem, gdzie szukać odpowiedzi.

A raczej u kogo.

I zupełnie jakby czytał mi w myślach – co po ostatnich rewelacjach jest jak najbardziej prawdopodobne – dziadek sunie w naszą stronę tą zakurzoną uliczką równie pewnym krokiem, co po czerwonym dywanie na premierze filmu Piper. Oczy same mi się zamykają. Mam wrażenie, że od tamtego wieczoru minęło co najmniej dziesięć lat. Wtedy moim największym zmartwieniem było utrzymanie się w pozycji pionowej w niebotycznie wysokich szpilkach i poprawna wymowa nazwiska projektanta mojej sukni.

Otwieram oczy i ze zdumieniem widzę, że dziadek spogląda na Jessego z taką samą zawadiacką pewnością siebie jak na zarozumiałego reportera na ścianie. Ozdobioną kilkunastu zarostem brodę ma zadartą, a spojrzenie głębokie i uważne.

– Tak się składa, że opowieści to moja specjalność, synu. Ale żeby miały sens, trzeba zacząć od początku.

Na te słowa sięgam za plecy i łapię go za rękę. W odpowiedzi ściska mocno moją dłoń, a jego oczy wilgotnieją.

– To nie od ciebie wszystko się zaczęło, biedroneczko. Ale i nie ode mnie.

Przekrzywiam głowę i posyłam mu pytające spojrzenie. Przykrywa wolną ręką nasze splecione dłonie. Mój oddech znów przyspiesza.

– Wywodzi się ze starej linii boskich czarodziejek, wnuczko.

Przez dłuższą chwilę jego słowa zupełnie do mnie nie docierają. W głowie mam mętlik, a przed oczami mroczki.

– Jak starej?

Dziadek śmieje się cicho, rozładowując nieco moje napięcie.

– Nie aż od Hekate, choć po tym, co miało tam miejsce, mogłabyś tak pomyśleć.

Symbolicznie wskazuje kciukiem za siebie, a Jesse skwapliwie wyciąga szyję, zezując na obtłuczony mur za jego plecami.

– A co miało miejsce?

– Szczerze mówiąc – ciągnie dziadek, jakby nie słyszał jego pytania – nie jestem do końca pewien, ale myślę, że dzieje tej linii można liczyć w stuleciach.

– Wreszcie jakiś smakowity kąsek – mruczy Jesse, pocierając w zamyśleniu koła swojego wózka. – I bez dwóch zdań jedno z ciekawszych drzew genealogicznych, z jakimi się zetknąłem.

Dziadek kiwa głową z pogodnym uśmiechem.

– O którym dowiedziałem się dopiero mniej więcej w wieku Kary.

– Co takiego? – Odwracam się twarzą do niego. – Dorastałeś w nieświadomości?

Patrzy na mnie z czułością.

– To magia, biedroneczko, a nie nauki ścisłe. I choć płynie w naszych żyłach, może się objawić w różnym wieku, a nawet wcale.

Kiwam głową, bo chyba właśnie dostałam odpowiedź na swoje następne pytanie, ale ciekawość i tak bierze górę.

– Czyli mama...

– Jeśli się u niej objawiła, twoja matka to przede mną zataiła.

– Co nikogo by nie zdziwiło. – Przewracam oczami.

Dziadek głaszcze mnie po policzku.

– W tej chwili najważniejsze jest to, że odziedziczyłaś dar, inaczej nie znalazłabyś księgi zaklęć Hekate. Może ją otworzyć tylko czarodziejka.

Maximus milczy jak zaklęty. Czuję i słyszę jedynie stały rytm jego wsparcia. A jako że w tej chwili moje myśli skaczą sobie po głowach niczym groupies na koncercie, jestem mu za nie niewymownie wdzięczna.

– Krew czarownicy – dukam w końcu. – Chyba będę potrzebowała paru dni, żeby to przetrwać.

– Teraz potrzebujesz paru dni solidnego odpoczynku, młoda damo.

– Pełna zgoda, proszę pana – wtóruje mu Maximus.

Dziadek przygląda mu się badawczo.

– Gdyby ktoś wyciągnął cię z nurtów Acheronu, zwracałbyś się do niego per pan?

Maximus wybucha śmiechem.

– To się nie powtórzy.

– Zaraz, zaraz. – Do mojego przytępionego umysłu wreszcie dociera, o czym mówią. – Acheron? – Gwałtownie się do niego odwracam. – Wpadłeś do Rzeki Smutku? Cały?

– Mniej więcej. – Składa delikatny pocałunek na moim zmarszczonym czole. – Jak odpoczniesz, wszystko ci opowiem.

– Ale...

Unosi brew.

– Pójdiesz po dobroci czy chcesz, żeby brukowce miały używanie? Bo żaden telefon w Los Angeles nie oprze się widokowi jaskiniowca z przerzuconą przez ramię piszczącą księżniczką.

– A niech mnie. – Jesse sięga do jednej z kieszeni wózka. – Mimo że pewien mieszkaniec Miasta Aniołów bardzo chciałby to zobaczyć, może jednak będzie lepiej, jeśli wrócicie furgonetką.

– Nie wierzę! – Maximus ściąga brwi. – Z własnej woli oddajesz mi zarekwirowaną maszynę?

– Zmęczyły mnie już „Przygody Maximusa i Kary” – odparowuje Jesse. – Cała ta adrenalina przypomniała mi o niedoborach kofeiny w moim organizmie.

Maximus się śmieje.

– Serio?

– A co? Czy człowiekowi nie należy się odrobina snu po włamaniu na Hollywood Forever?

Zanim Maximus ma szansę rzucić jakąś ciętą ripostą, staje między nimi.

– Hollywood Forever? Ten cmentarz?

– To był jego pomysł – odpowiadają chórem, równocześnie pokazując palcem dziadka, który kołysze się na jednej nodze, jakby przewidział ten zwrot akcji.

– Mówią prawdę. Ale opowieści muszą poczekać, aż przestaniesz się potykać o własne nogi z wyczerpania.

Nabieram powietrza, by znów zaprotestować wobec ich zbiorowej obsesji na punkcie mojego zmęczenia, ale w tej samej chwili zaczepiam stopą o suknię i gdyby nie refleks Maximusa, wywinęłabym orła na chodniku.

– O tak. Pora na drzemkę, mały demonie – mówi kojącym tonem, stawiając mnie do pionu. Rusza w stronę furgonetki zgrabnie zaparkowanej przy mustangu Reg, ale jeszcze przystaje i się odwraca. – Może cię podwieźć, Gio?

Wyczuwam w dziadku lekki przyływ emocji, ale i melancholię, która nie opuszcza go od zjawienia się w księgarni. Może Maximus także ją wyczuwa. I już wiem, że między dwoma najważniejszymi mężczyznami w moim życiu zadzierzgnęła się wyjątkowa więź.

Być może nigdy nie będę w stanie zrozumieć dziadka tak jak Maximus.

– Miło z twojej strony, synu, ale tok myślenia Jessego bardzo mi się podoba – odpowiada dziadek. – Filiżanka kawy i trochę słońca to coś, czego mi teraz potrzeba.

– Na pewno? – Odchylam głowę, by mu się przyjrzeć, ale tylko ściąga nonszalancko brwi.

– Nie przejmuj się mną, biedroneczko. Ostatnimi czasy może i zaszyłem się w swojej pustelni, ale samą urodą nie podbija się miasta.

– Nie o twoje podboje się martwię. – Kładę dłoń na jego piersi. – Dziadku. To przecież ja.

Ściąga moją dłoń, ale jej nie puszcza.

– Więc powinnaś mnie lepiej znać.

– Znam cię na tyle, by wiedzieć, że na nikogo nigdy tak nie patrzyłeś, jak na babcię w tamtej bibliotece.

Rozluźnia palce i puszcza moją rękę. Widzę w jego oczach prawdę. Rozgryzłam go, nawet nie próbuje zaprzeczać. Serce mi się kraje, ale w tej chwili może rzeczywiście najlepszym lekarstwem będą kawa i słońce.

– Jedźcie. – Jesse odgania nas żartobliwie jak dwie muchy. – Dopilnuję, żeby nie wpadł w żadne tarapaty.

Usatysfakcjonowany tym planem Maximus zawraca i prowadzi nas do furgonetki. Każdy jego krok to pokaz determinacji, więc pomimo pytań, które bombardują mi mózg jak grad kamyków, nawet nie próbuję protestować. Nie mam pojęcia, w jakiej kolejności je ustawić, więc zaczynam od najbardziej palącego.

– Myślisz, że moja matka wie? O tym, że dziadek jest...

– Szukasz słowa „czarnoksiężnik”? – pyta łagodnie Maximus. Podnosi do ust moją dłoń, by pocałować czubki palców, i uruchamia silnik. – Nie, nie mam pojęcia, czy twoja matka się czegoś domyśla.

Gdy odwraca się przez ramię, by wycofać, zachwygam się jego pięknym profilem. Nigdy nie zapomnę tych długich godzin rozpacz, że już nigdy go nie zobaczę. Że nigdy nie zanurzę palców w jego ciepłej brodzie, nie zatnę w błękanie jego oczu. A przede wszystkim nie poczuję, jak otwiera przede mną duszę, pokazując mi, że mogę go pytać o wszystko.

– To by dużo wyjaśniało. Zawsze drażniły ją nasze zdolności. Może od początku dopatrywała się w nich oznak naszego magicznego dziedzictwa.

– I może nimi są – zauważa Maximus.

Mimo że mam na to ochotę, nie spieram się z nim. Teraz wszystko nabiera sensu, cała przeszłość. Moja przeszłość. Rodzinne podania o tym, jakoby Hades sparował Charlenę z dziadkiem dla urozmaicenia demonicznego DNA. I choć z technicznego punktu widzenia tak właśnie było, to tylko część prawdy.

– Sądzisz, że to dzięki temu dziadkowi udało się uciec? – ośmielam się zapytać, gdy Maximus zwalnia, by wyjechać na siódmkę. – To znaczy za pierwszym razem. Może jego zdolności się ujawniły, właśnie kiedy był całkiem sam, a księga przemówiła do niego z taką mocą jak do mnie. Hades to zobaczył i postanowił wykorzystać zuchwałego młodego czarnoksiężnika.

– Całkiem prawdopodobne. – Maximus kiwa głową, ale między jego brwiami pojawia się głęboka bruzda. – To by tłumaczyło, dlaczego tak się tobą interesuje. – Hamuje przed skrzyżowaniem. – I dlaczego nie ma co liczyć, że tak łatwo zrezygnuje.

Kończąc zdanie, rzuca znaczące spojrzenie na leżącą na moich kolanach księgę.

– Twoim zdaniem źle zrobiłam, że ją zabrałam? Mimo że ewidentnie nie powinna się znaleźć w jego posiadaniu?

– A jesteś tego absolutnie pewna?

– A ty uważasz, że jej miejsce jest w prywatnym księgozborze Hadesa? Przechodzi włosy, drapiąc się po głowie.

– Mówię tylko, że jeszcze nie wiemy wszystkiego.

Wypuszczam powietrze, usiłując zdławić rozdrażnienie, bo wiem, że to efekt zmęczenia.

– Jest tyle rzeczy, o których muszę porozmawiać z dziadkiem... – A on siedzi sobie przy kawie w Recto Verso...

Moje rozmyślenia przerywa przyływ współczucia wobec mężczyzny siedzącego za kółkiem.

– Niedługo sobie porozmawiacie, obiecuję.

Już chcę z nim ustalić konkretną datę odwiedzin w Beverly Hills i długiego spotkania z dziadkiem, ale gdy wjeżdżamy do ciemnego garażu w jego budynku – w którym dla odmiany nie cuchnie cierpieniem i eonami rozkładu – niechętnie przyznaję im obu rację co do odsetka przytomnych obecnie szarych komórek w moim mózgu.

Maximus parkuje i każe mi poczekać w aucie. Tym razem posłusznie nie ruszam się z miejsca. Z radością pozwalam mu się wziąć na rękę i zanieść do jego mieszkania na ostatnim piętrze.

Gdy otwiera drzwi, oczy znów zaczynają mnie piec od łez.

Dom.

Naprawdę tu jesteśmy, otoczeni wszystkimi małymi rzeczami sprawiającymi, że na powrót oddycham pełną piersią. Ceglana ściana

w aneksie kuchennym. Skąpane w słońcu kwiaty na balkonie. Zapach skórzanej sofy i tysiąca książek.

Wszystkie przyjemności, z którymi musiałam się pożegnać, a z którymi teraz się radośnie witam.

Z całej tej euforii mam ochotę zwinąć się w kłębek na podłodze. Odłożywszy na stolik księgę czarów i zrobiwszy parę niepewnych kroków, wcielam swój pomysł w życie.

– Mały demonie – wydusza z siebie Maximus. Zatrząskuje za sobą drzwi i w ciągu kilku sekund już przy mnie klęczy. – Karo, kochanie, co się stało? Powiedz mi...

Wszystko. Jestem taka szczęśliwa. Taka szczęśliwa. Och, Maximusie...

Ale nie mówię tego, bo nagle nie chcę mu tego powiedzieć. Wolę mu pokazać. Tak wiele. Nie – wszystko. W najbardziej autentyczny i szczery sposób, jaki znam.

Więc ponoszę głowę i daję mu usta, by wziął je w posiadanie.

Maximus

NIE POWINNO SPRAWIAĆ MI TO TAKIEJ PRZYJEMNOŚCI. Odciągnąłem ją od Gio, by porządnie odpoczęła, a nie żeby rzucić się na nią tuż po przestąpieniu progu.

Ale teraz nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Mam ochotę ją pożreć, centymetr po centymetrze jej soczystego, rozkosznego ciała. Spijać każdą ognistą, seksowną kroplę, którą mnie napoi. Parę może nawet wezmę sobie sam.

Przerywam nasz pocałunek, by zobaczyła to w moich oczach. Kara zdążyła już to wyczuć: uśmiecha się, gdy stawiam ją na nogi, przytrzymując w talii. Ale ona na tym nie poprzestaje i wspina się na palce, by za chwilę opleść mnie nogami w pasie. Przesuwając dłonie na jej jedwabiste uda, wykorzystuję okazję, by raz jeszcze wsunąć język w jej usta. Boże święty. Ma smak słońca, ognia i przypraw korzennych.

Smakuje tak, jakby była cała moja.

Na wszelki wypadek robię wszystko, by ją o tym zapewnić.

Jej rozkoszne jęki wibrują mi w ustach, gdy nie przerywając ani na sekundę, przekręcam głowę, by wejść tak głęboko, na ile tylko mi pozwoli. Chyba nigdy nie będę miał dość dominacji nad nią, odciskania na niej

swojego piętna w każdy możliwy sposób. Zupełnie jakby lada chwila miał tu wpaść Hades i...

Nie.

I nie przemawia przeze mnie zwykłe życzeniowe myślenie. Nie ośmieliłby się tak szybko wejść na teren syna Zeusa, zwłaszcza że Kara jest teraz uzbrojona w potężną księgę zaklęć, dzięki której możemy się błyskawicznie teleportować z jego królestwa.

Na razie jesteśmy bezpieczni. Jesteśmy razem.

A już wkrótce mam zamiar uczynić nas jednością.

Jej przeciągły jęk mówi mi, że to wyczuwa. Jest dla moich zmysłów niczym anielska pieśń, której słucham, idąc tyłem w stronę łóżka. Głuchy odgłos moich pośpiesznych kroków tłumi materiał jej pysznej sukni, która wlecze się za nami po podłodze. Ale nie trwa to długo.

Gdy tylko docieramy do podestu, na którym stoi moje łóżko, zatrzymuję się, pozwalając jej zsunąć się ze mnie. Promienie słońca podkreślają jej olśniewającą urodę. Zgrabne łydki. Wciętą talię. Zapierający dech w piersi dekolt. A nawet idealny podbródek w kształcie serca.

– O cholera – wyrywa mi się i z wrażenia aż siadam na materacu za moimi plecami. Kara stoi przede mną i zaczyna siłować się z kołnierzem sukni, ocierając się kolanami o moje. Ani na ułamek sekundy nie przestajemy patrzeć sobie w oczy, nasze dusze są przed sobą obnażone.

I dobrze się składa, bo w tej chwili moje ciało i dusza mają do siebie na skrót.

A jeśli interpretuję właściwie jej zamglone brązowe oczy...

– Mój seksowny słodki mały demon...

Kara przybliżyła się odrobinę – ale tylko odrobinę – i nasze kolana są już do siebie przyciśnięte.

– Mój piękny, nieustraszony półbóg...

Zamykam na chwilę oczy, napawając się tymi słowami uwielbienia jak modlitwą. Z wciąż przymkniętymi powiekami pytam:

– Zrobisz coś dla mnie?

– Wszystko, co zechcesz – szepce. – Wiesz przecież.

– Zdejmij tę przekłętą suknię, żebym mógł ją wreszcie spalić.

Anielskie pieśni mogą się schować, bo najpiękniejszym dźwiękiem popołudnia jest szelest opadającego na podłogę materiału.

A gdy otwieram oczy, mam przed nimi najpiękniejszy widok tego dnia. Doskonałość jaśniejąca czystym blaskiem. Mógłbym wyliczać przymiotniki w nieskończoność, gdyby skończone piękno jej nagiego ciała nie odebrało mi rozumu.

– Zastanawia się pan, czy przedtem nie polać jej benzyną, profesorze? Bo tu akurat służę pomocą.

– Później – słyszę swój gardłowy głos. W normalnych okolicznościach nazwałbym te zakłócenia pracy mózgu podnieceniem, ale to nie są normalne okoliczności. Pragnę jak najszybciej przykryć tę boską kobietę całym ciałem i rozpalić ją do czerwoności.

– Chodź tu – nakazuję, ciągnąc ją za biodro. Drugą ręką oplatam ją w talii, łagodząc upadek na siebie. Ale na tym kończy się moja delikatność. Im więcej jej smakuję z każdym dotykiem i pieszczotą, rośnie mój żar, puls przyspiesza, a zmysły są jej coraz bardziej złąknione.

Mówię jej to wszystkim brutalnym pocałunkiem, przesuwając dłoń z jej talii na kark, by poczuła pełnię jego głębi. Choć to ona jest na górze, bez szemrania ulega mojemu unieruchamiającemu uściskowi. W odpowiedzi moje ciało drży pod nią, a mój bezradny penis staje na baczność, zdradzając, kto tu tak naprawdę kogo zdominował.

Ale ten dowód zdaje się nie wystarczać mojej małej ognistej kokietce. Siada i wędruje wzrokiem po całym moim ciele z leniwym uśmiechem na

pełnych czerwonych wargach. Staje się jeszcze piękniejszy, gdy wyciąga rękę i rozpina mi rozporek.

Zaczynam łapać powietrze jak ryba wyrzucona z wody. Widzę, jak jej oczy robią się okrągłe, gdy moje ciało buntuje się przeciwko wszelkim próbom samokontroli.

Pulsujący penis natychmiast wyskakuje z rozporka, potwierdzając efekt, jaki wywiera na nim mój mały demon. Moje mięśnie napinają się, rozrywając spodnie w miejscach, które upatrzyła sobie świta Hadesa podczas przypiekania. Krzywię się lekko z bólu, ale mój grymas przeradza się w uśmiech, gdy ciszę przecina ochrypły szept Kary.

– Maximusie.

Słyszając smutek w jej tonie, momentalnie jednak trzeźwieję. Choć ani na moment nie odwróciłem od niej wzroku, teraz przyglądam się jej badawczo. Siedzi przygarbiona, ze łzami w oczach. I bynajmniej nie są to łzy radości.

– Nie mogę przeżyć, co ci zrobili.

Tym razem krzywię się na dźwięk jej zboląłego głosu.

– Zrobili, kochanie. – Staram się zapanować nad własnym łamiącym się głosem. – To już przeszłość. Przetrwalem, ty także. Tylko to się liczy. Kara... Kara, co ty...

Pewnie mnie słyszy, ale nie słucha. Sztywnieję i nieruchomieję, gdy przyciska usta do ciemnego śladu po oparzeniu na moim prawym udzie, składając na nim nabożny pocałunek. Jestem tym tak zaskoczony, że prawie zapominam o swoim wzwodzie gigancie. Jej gest nie pomaga – ale i nie przeszkadza, że się tak wyrażę. Zwłaszcza gdy ściąga mi spodnie do następnej od góry blizny, do której przyciska swoje jedwabiste usta. Jest mi...

Ciepło.

Cudownie.

Ale to z pewnością nie zasługa magii.

I zdaję sobie sprawę z czegoś jeszcze: tę leczniczą moc mają słodkie pocałunki płynące prosto z jej serca – z serca zwykłej kobiety. Rozbierając mnie i składając na mojej skórze pełne uwielbienia pocałunki, oddaje cześć mojemu cierpieniu. Delikatnym dotykiem oddaje hołd mojemu heroizmowi, nie potępia za słabość.

Gdy muska ustami skórę między dwiema bliznami na mojej łydce, ta świadomość wywiera na mnie najgłębsze wrażenie. Choć teraz już wiem, po co to robi, i rozumiem jej potrzebę, by skończyć, niemal każę jej przestać. To, jak na mnie patrzy... i jak nauczyła mnie widzieć siebie samego... jest więcej niż wzruszające.

To odmieniło moje życie. I serce. Nie mam pojęcia, jak się jej za to odwdzięczyć. Jak okazać jej moje uwielbienie. Mój hołd. Moją miłość.

I o wiele więcej. O wiele, wiele więcej.

Emocje wzbierają we mnie, aż czuję się jak balon wypełniony gorącym powietrzem, gotowy pęknąć i spaść z wyzryn rozumu. Ale tak też się nie stanie. Raz po raz to sobie powtarzam. Stoję twardo na ziemi związany z najpiękniejszą istotą we wszechświecie, która składa na moim ciele idealne pocałunki. Wlewa w moją duszę swoją niegasnącą siłę.

A teraz dzięki Bogu przenosi się na moją drugą nogę, wędrując ustami w górę.

Moje odczucia nie wyparowują, ale w tej chwili na szczęście przesłaniają je inne doznania. Na szczęście, bo łatwiej mi je przekształcić w znajomą siłę. W ogień pożądania, który się we mnie budzi. Rzucam się i jęczę, gdy mój nabrzmiąły penis zaczyna jej szukać. Jeszcze chwila i zacznę ją błagać o spełnienie...

I dostaję coś jeszcze lepszego.

– Kara! – wyrywa mi się, gdy jej usta zaciskają się na jego główce. I znowu, gdy bierze go całego. W jej ciepłych wilgotnych ustach jest mi tak dobrze. Tak. Cholernie. Dobrze.

Wyjmuje go z ust tylko po to, by pieścić go od spodu językiem na całej długości.

– Wygląda na to, że w końcu cię znalazłam – mówi słodkim głosem.

– Najwyższa pora – odpowiadam ze śmiechem, który szybko przeradza się w jęk przez ściśnięte gardło. Ale momentalnie tracę mowę z uniesienia, gdy bierze go z powrotem do ust, aż po samą nasadę.

Ostatkiem sił powstrzymuję się przed tryśnięciem, bo marzę o większej nagrodzie. O skarbie, którego szukam penisem, gdy spokojnie podciągam ją w górę i niezbyt spokojnie przekręcam na plecy. A kiedy nad nią zawisam i wpijam się w jej wargi, słowo „spokój” całkowicie wyparowuje z mojego słownika.

Gdy wreszcie odrywamy się od siebie, by zaczerpnąć powietrza, serce wali mi jak młotem, a krew pulsuje w kutasie. Tylko dzięki temu jestem w stanie wykrzesać z siebie tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Zrób mi miejsce, mały demonie. Muszę w ciebie wejść. Teraz.

Kara

BEZ WAHANIA ROZKŁADAM PRZED NIM NOGI. Tak bardzo pragnę mieć go już w środku. Gdy we mnie wchodzi, witam go z zachwytem.

W jego pierwotnych pchnięciach nie ma ani śladu wahania. Przepelniona wdzięcznością, szczęściem i przede wszystkim nim zapominam o całym bożym świecie. Oto mój nowy ogień i chwała, jedyne piekło i niebo, które dla mnie istnieją. A Maximus jest moim nowym władcą, królem mojej duszy, włodarzem mojego serca, bohaterem, który mnie uratował.

Tak bardzo go kocham.

Ale pragnę mu dać o wiele więcej. Moje uległe ciało. I szepty płynące z głębi duszy...

– Maximusie...

Chwyta moje łyzy swoimi ciepłymi, pełnymi wargami.

– Już dobrze – uspokaja mnie pomiędzy pchnięciami. – Wiem, kochanie. Wiem.

Ale jak może wiedzieć? Jak mógłby zrozumieć pełnię mojego pożądania, ogrom miłości?

Gdy jednak unosi głowę i nasze spojrzenia się spotykają, pojmuję, że to jest możliwe. W jego ciemnoniebieskich oczach widzę odbicie własnego

pożądania.

– To wszystko twoje – szepczę ochryple, a kąciki jego ust wędrują w górę.

– To też wiem – mruczy.

– Więc weź to. – Wbijam pięty w jego jędrne pośladki, błagając, by wszedł jeszcze głębiej. – Weź mnie tak mocno, żebym przestała myśleć. Żebym nie mogła...

Przerywa mi własne gwałtowne westchnienie. Zrobił to. Porwał mnie w miejsce, którego słowa nie są w stanie opisać, i mogę jedynie płonąć z pożądania. Jestem świadoma tylko trawiących mnie w środku płomieni. W głębokim zwierciadle jego oczu przyglądam się ich złocisto-pomarańczowym warstwom, zatracając się w ich potędze. W naszej więzi. W połączeniu naszych ciał kołyszących się pradawnym rytmem, napędzanym czystym blaskiem naszej miłości. Naszej gorącej, oślepiającej miłości...

Moje ciało nie jest w stanie dłużej zatrzymać jej w środku, a w każdym bolesnym uderzeniu serca bije moje oddanie temu pięknemu mężczyźnie. Słowa same wypływają mi z ust, bo powstrzymywanie ich przestaje być możliwe.

– Och, Maximusie. Kocham cię. Tak bardzo... Tak bardzo.

Wbijam pięty w jego pośladki, zmuszając go, by wszedł głębiej. Moje dłonie odnajdują jego barki i z nieprzepartą siłą wpijam palce w jego stalowe mięśnie. Za nic w świecie nie chciałabym sprawić mu bólu, ale gdy zamykam go w kleszczach uścisku, czuję, jak jego twardy penis wypełnia mnie do samego końca, napierając na ścianki pochwy.

Jego twarz unosi się zaledwie centymetry nad moją. Maximus wwierca we mnie spojrzenie tych swoich kobaltowych oczu, ani na sekundę nie przerywając bezlitosnych pchnięć.

– Kocham cię, Karo. I nigdy nie przestanę.

Zaprzeczanie prawdzie jego słów jest niemożliwe.

Zadowalanie go jest cudowne.

Rozpadam się na miliard odłamków namiętności. Przyjemności. Ostatecznego spełnienia. Maximus dotrzymuje mi kroku i po chwili ciszę wypełniają nasze drżące jęki rozkoszy, a nasza ekstaza i jedność stają się zaklęciem samym w sobie. Tyle że wątpię, by w jakimkolwiek języku istniały słowa mogące oddać pełnię tych zmysłowych doznań. Czuję każdy milimetr wypełniającego mnie Maximusa. Poza naszą bańką świat to tylko mglisty zlepek nieistotnych skrawków.

Pozwalam, by świadomość wróciła, dopiero gdy mój puls zwalnia, a ciało się rozluźnia. Gdy Maximus przekręca się na plecy, przyciągając mnie do siebie, stopniowo odzyskuję trzeźwość umysłu. Nasze rozgrzane, wilgotne ciała lśnią w promieniach słońca wpadającego przez przyciemniane szyby mieszkania. Cudownie jest leżeć tu sobie leniwie, na powrót zaznajamiając się z sensoryczną tkanką miasta. W porównaniu z Dis kakofonia zakurzonego Los Angeles to najpiękniejsza symfonia świata.

Która błyskawicznie kołysze mnie do snu i nim się orientuję, wpadam w głębokie objęcia Morfeusza.



– Hm?

Nie zdążyłam się jeszcze w pełni obudzić, wciąż jestem półprzytomna. Nie mam pojęcia, z czyjego gardła wyrwało się owo mruknięcie: mojego czy Maximusa. Co w sumie nie ma znaczenia, bo nie chce mi się przestać kręcić w głowie. Zerkam na budzik na szafce nocnej. Jest późne popołudnie, ale mam wrażenie, że ucięłam sobie tylko krótką drzemkę. To

poczucie potęguje się do tego stopnia, że cała sypialnia zdaje się kołysać na bardzo niepewnych nogach.

I kiedy otwieram oczy, zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście tak jest. I że kołysanie obejmuje także ulicę za oknem, a może i całe miasto.

– O Boże – jęczę, ale prawie nie słyszę swojego głosu, który ginie we wrzawie i trąbieniu co najmniej setki klaksonów. – Maximusie. – W przyplýwie adrenaliny błyskawicznie siadam w łózk. – Czy to...

– Trzęsienie ziemi. – Przyciąga mnie do siebie, również siadając. – I to silne. – Opanowany tembr jego głosu każe mi się nie ruszać, jeszcze zanim robi to jego właściciel. – Powinniśmy zostać na miejscu. To ściana nośna, więc bezpieczniej będzie tu przeczekać.

Słuszność jego polecenia potwierdzają nowe odgłosy, które wlewają się do środka. Tłuczone szyby. Zwalające się drzewa. Przenikliwe syreny alarmowe w budynkach.

– Przeczekać – powtarzam. – Tylko jak długo?

Natychmiast dostrzegam absurdalność tego pytania. Żadne z nas nie zna odpowiedzi, mimo że to dla nas nie pierwszozna. Podczas trzęsienia ziemi pięć sekund zawsze zdaje się pięcioma godzinami.

Wreszcie siła wstrząsów maleje. Milczymy przez dłuższą chwilę z nadzieją, że to już koniec. Wiszący nad stołem żyrandol nadal się kołysze. Talerze w szafkach cicho pobrękują. Ale gdy z półki spada jakaś zbuntowana książka, oboje parskamy nerwowym śmiechem.

Maximus delikatnie całuje mnie w skroń.

– Wszystko w porządku? Nic się tu nie poluzowało?

– Nic a nic – odpowiadam, podciągając się na jego twardych mięśniach, by zajrzeć mu w oczy. – Ale sprawdź jeszcze tu.

Demonstruję, o jakie miejsce dokładnie mi chodzi, przywierając ustami do jego warg. Z początku mój pocałunek jest słodki i delikatny, ale jego

gardłowy pomruk jest jak pantera bawiąca się kłębkami mojej samokontroli. Momentalnie jestem rozbrojona. I bezwstydnie rozbudzona. Szczególnie w jednej partii ciała...

Nie namyślając się dłużej, przekręcam się i dosiadam mojego pięknego półboga. Gdy do głosu dochodzi nasza niezwykła więź, mam wrażenie, że to on jest źródłem tego trzęsienia ziemi. Moje westchnienia mieszają się z jego jękami, kiedy zaciska dłonie na mojej talii, dyktując rytm zmysłowego ocierania się mojej szparki o jego pulsującego, twardego penisa.

I gdy już wstrzymuję oddech, gotowa go przyjąć, nagle zmusza mnie, bym przestała. Jego dłonie wędrują po moich żebrach, piersiach i szyi aż do twarzy, którą ujmuje swoimi długimi, silnymi palcami.

– Jesteś moją magią, Karo – oznajmia chrapliwym szeptem. – Tu i teraz, w moich objęciach.

Przytulam policzek do jego dłoni.

– A ty moim trzęsącym ziemią bogiem.

Gdy w odpowiedzi parska śmiechem, każę mu wysłuchiwać mojego chichotu, dopóki się nie uspokajam. Będę wielbić każdy centymetr jego boskiego ciała aż po grób. I tak, zaraz to usłyszysz.

Ale kiedy nachyliłam się, by nie umknęła mu ani jedna sylaba, tracę równowagę i padam na niego.

Nie – to przez drugi wstrząs, który trzęsie mieszkaniem. I całym miastem, sądząc po huku i widoku z jego okien na szóstym piętrze.

– Hola, skarbie. – Tym razem to jego ton jest żartobliwy.

Przytrzymuje mnie za drżące barki, a ja wtulam twarz w jego szyję.

– Znowu?

– To pewnie tylko wstrząs wtórny – uspokaja. – Dorastałaś w tym mieście. Wiesz, czego się spodziewać. – Ale tym razem wstrząsy są dwa

razy dłuższe niż wcześniej. – Okej, może to pierwsze było wstępne... – poprawia się.

Chcę mu wierzyć, zwłaszcza gdy ściany zaczynają trzeszczeć, a na ziemię spadają kolejne książki, ale wciąż obejmuję go kurczowo za szyję, jakbyśmy lada chwila mieli również spaść z jego dużego, bezpiecznego łóżka.

– Masz rację – mówię, próbując uspokoić oddech, gdy wstrząsy słabną. – Nie wiem, dlaczego jestem taka lękliwa. – Usiłuję się roześmiać, owijając nas szczelniej kołdrą. – W dzieciństwie traktowałam to jak dobrą zabawę.

Oślupiały Maximus unosi brew.

– To pewne: jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znam.

Śmieję się.

– Możesz wierzyć lub nie, ale przy Rereku to była bułka z masłem. I jedna z niewielu rzeczy, których moja matka nie mogła kontrolować.

– A teraz?

– Teraz uświadomiłam sobie, jak niewiele sama jestem w stanie kontrolować.

Ziemia nisko pod nami trzęsie się po raz trzeci i chowam się w jego bezpiecznych ramionach.

Niebo za oknem dziwnie ciemnieje. Rozsądek podpowiada mi, że pewnie przespaliśmy większość dnia i zapada wieczór, ale intuicja odparowuje, że coś tu jest nie tak, i uruchamia własny alarm. Kurczowo ściskam Maximusa, łapiąc powietrze niczym nastoletnia histeryczka. Poza wyciem syren na ulicach panuje upiorna cisza, jakby nagle zupełnie opustoszały, bo wszyscy ukryli się w domach z bliskimi.

I czekali...

Tylko na co?

Gdy przychodzi kolejny wstrząs, już wiem. Bulwary pod oknami przestają być pogrążone w ciszy. Rozlega się jeszcze głośniejsze wycie syren i zgrzyt metalu o chodnik w parze z panicznymi krzykami i nawoływaniem. Słysząc modlitwy w co najmniej dziesięciu językach. Większości nie rozumiem, ale niektóre wyrażenia w każdej formie złapałyby za serce. To błaganie o pomoc, litość i przebaczenie.

Jeszcze niedawno sama modliłam się tak w duchu, spoglądając z zimnego okna na miasto upiorów.

– Maximusie. – Wypowiadam jego imię, bo czuję, że muszę. Bo sam jego dźwięk dodaje mi siły. Uspokaja, zapewniając, że wszystko będzie dobrze, bez względu na protesty mojego układu nerwowego. Podnoszę głowę, okazując mu to siłą spojrzenia i mocniejszym uściskiem. – Powiedz, że najdziwniejsza seria wstrząsów tektonicznych w historii tego miasta pierwszego dnia po naszym powrocie stamtąd to tylko zbieg okoliczności.

Nie jestem w stanie wypowiedzieć nazwy tego miejsca na głos. I może nigdy nie będę. Ogarnia mnie fala wdzięczności wobec mężczyzny u mego boku, który długim, acz delikatnym pocałunkiem wyraża zrozumienie dla moich obaw.

– Wstańmy i włączmy telewizję – proponuje. – Lokalne stacje na pewno mają najświeższe informacje. Równie dobrze mogło to być trzęsienie ziemi, a po nim jakaś katastrofa w metrze albo potężna awaria sieci energetycznej...

– To mnie wcale nie uspokaja.

– Kara. – W jego głosie jest taka sama pewność siebie jak w pocałunku. Z równą swobodą wstaje i idzie do komody po czarne spodnie dresowe, po czym je wkłada. – Co by się nie działo, nic nam się nie stanie. Obiecuję.

Obejmuję się, walcząc z nowymi dreszczami.

– Cieszę się, ale nie jestem spokojniejsza.

Nachyla się i raz jeszcze zamyka mi usta pocałunkiem.

Jego włosy zasłaniają nasze twarze niczym kurtyna, a ja mam ochotę je zebrać i nigdzie go nie puszczać.

Po krótkiej chwili się wyprostowuje i wciska mi coś do rąk.

– Proszę. Możesz wskoczyć w Pana Fluffy’ego.

Śmieję się lekko.

– W kogo?

– W moją ulubioną koszulkę. Pan Fluffy jest cały twój.

Rozkładam T-shirt, już nazywając go w myślach najbardziej miękkim namiotem, jaki kiedykolwiek będę na sobie miała, i parskam cichym śmiechem. I rzeczywiście: środek czarnej tkaniny zdobi wytłaczanka lawendowego króliczka – z szatańskim uśmiechem i naładowaną kuszą do kompletu.

– Chcę wiedzieć? – pytam kpiąco, gdy ją wkładam.

– Przed tobą nie mam żadnych tajemnic, mały demonie – odpowiada. – Ale tak dla jasności, Pan Fluffy nie jest moim nickiem w *Call of Duty*.

– Dzięki, dobrze wiedzieć.

A jeszcze lepiej dowiedzieć się wszystkiego z lokalnych wiadomości włączonych przez Maximusa. Wstyd się przyznać, ale reporterzy, którzy na co dzień rozkładają na czynniki pierwsze moje życie osobiste, nagle stają się moimi najlepszymi przyjaciółmi, a to dzięki wyczerpującej relacji na żywo, nie wyłączając map z połową tuzina uskoków położonych bezpośrednio pod Los Angeles i jednym dużym pod San Andreas na wschodzie. Nie wyłączam się nawet podczas komentarza ekspertów na temat procesu upłynniania gruntu oraz ostrzeżeń o tsunami i osuwiskach. Wszystko to jest do przełknięcia, bo nigdzie nie ma wzmianek o ogniu buchającym w niespodziewanych miejscach czy tajemniczej postaci w trzyczęściowym szkarłatnym garniturze przechadzającej się Olive Street.

To plus obecność mojego silnego mężczyzny, który od półtorej godziny nie wypuszcza mnie z objęć, sprawia, że oglądam wiadomości ze stosunkowo normalnym tętnem. Po pewnym czasie nawet się uśmiecham, gdy wyjmuje z szafy koc i otula nas nim na sofie.

Z westchnieniem zadowolenia przytulam się do jego boku, myśląc sobie, że tylko tyle mi trzeba – dopóki mój żołądek nie przypomina mi o swoich potrzebach przeciągłym burczeniem.

– Do licha – mruczy pod nosem Maximus. – Jadłaś coś w ogóle... tam na dole?

Wzruszam ramionami, wdzięczna, że powstrzymał się przed dodaniem „tej” nazwy.

– Wiesz, apetyt był ostatnim z moich problemów.

Zaciska usta, a wyraz jego twarzy łagodnieje. Na swój sposób wie, o czym mówię, i mam ochotę go za to pocałować.

Zanim mam jednak szansę wcielić to w czyn, mówi:

– Sprawdzę, co mam w lodówce. Ale obawiam się, że zostało tylko masło orzechowe i dżem.

Mój jęk odpowiedzi aż ocieka obietnicą rozkoszy dla podniebienia.

– O tak, poproszę! – Na samą myśl o zatopieniu zębów w moich ulubionych smakach dzieciństwa mam ochotę wyłączyć gadające telewizyjne głowy.

Ale gdy Maximus jest raptem w połowie drogi do kuchni, budynkiem wstrząsa kolejne tąpnięcie. Zataczając się, mój ukochany przeklina pod nosem i cofa się pod ścianę nośną.

– Nie ruszaj się z miejsca, Karo. Ten wstrząs wtórny jest silny.

W niczym to jednak nie przypomina wstrząsu wtórnego. Trzy następne sekundy ciągną się w nieskończoność, gdy chowam się pod kocem, przyciskając policzek do poduszki.

Wygląda na to, że uskoki same postanowiły zagrać w *Call of Duty*.

I głośno komunikują to światu.

Przez dobrą minutę zastanawiam się, czy rzeczywiście wybuchła wojna – byle tylko bez udziału boga w szkarłatnym garniturze. Mam wrażenie, że ktoś zrzucił bombę na budynek, a ta powybiła szyby w oknach i zrzuciła kolejne książki z półek na trzeszczącą podłogę.

– O jasna cholera – rzucam ochryple i zakrywam rękami głowę. Zwijam się w kłębek, tylko czekając, aż zwałą się na mnie kawałki sufitu.

W końcu budynkiem przestaje kołysać. Ściany nieruchomieją. Na ulicach pod nami jedna po drugiej milkną syreny alarmowe.

Zastygła w bezruchu przełykam z trudem. Ta martwa cisza jest niemal tak przerażająca, jak samo trzęsienie ziemi.

– Kara?

– Nadal tu jestem – odpowiadam ochrypłym głosem.

Maximus wypuszcza powietrze z wyraźną ulgą.

– To dobrze. Ja też.

Wyglądam zza sofy, patrząc, jak dźwiga się z podłogi. Gdy mnie zauważy, przekrzywia głowę z uśmiechem.

– Wszystko w porządku? – pyta szeptem.

– Jeśli odpowiem, że jak nigdy, to postoisz tam jeszcze chwilkę?

– Nie. Wtedy ja odpowiem, że ci nie wierzę. – Parska śmiechem na widok mojego przywołującego spojrzenia, ale zaraz marszczy brwi. – Jesteś bardzo blada. Na pewno...

Nagle rozlega się uporczywy dzwonek telefonu. Ponieważ mój jest w torebce, która została w mieszkaniu piekielnego Rereka, rozglądam się w poszukiwaniu smartfona Maximusa.

Gdy tylko obraca się na pięcie i zerka w ekran telefonu leżącego na desce do krojenia, jemu samemu krew odpływa z twarzy.

Pośpiesznie odbiera połączenie, włączając głośnomówiący.

– Cześć, mamó – wita się. – Czy wszystko...

– Maximusie – przerywa mu bez ceremonii. Może wszystkie matki tak mają, nie tylko moja. – Dzięki Bogu, czyli jesteś cały i zdrowy? Gdzie jesteś? W księgarni? Bardzo tam głośno.

– W domu. Ostatni wstrząs chyba pozbawił moje okna szyb.

– Ale czy tobie nic się nie stało? – dopytuje. – Jesteś cały i zdrowy?

Maximus przewraca uroczo oczami na mój użytek. Podciągam się na sofie i kładę brodę na oparciu. Nie chcę uronić ani słowa. Jeszcze nie poznałam Nancy Kane, ale mam ochotę parsknąć śmiechem, słysząc tę rozmowę. Kobieta jest moich gabarytów, sądząc po jej fotografiach zdobiących mieszkanie jej syna, a martwi się o niego?

– Nic mi nie jest, naprawdę. – Podchodzi, by pogłaskać mnie po głowie swoją szeroką dłonią. – A co u ciebie? Jesteś w domu, tak? Poniedziałki masz wolne.

Chyba jednak jest poza domem, bo nagle słyszymy szelest, jakby zasłaniała ręką słuchawkę. Czyżby z kimś rozmawiała?

Nie, ona na kogoś wrzeszczy!

– Mamó? – dopytuje Maximus. – Hej, jesteś...

– Przepraszam. Mamy tu prawdziwy młyn.

– Tu, czyli gdzie? – Między jego brwiami pojawia się głęboka bruzda. – Wszystko gra?

– Służby szybkiego reagowania organizują doraźne punkty pomocy medycznej w mieście i rozsyłają esemesy z prośbą o zgłaszanie się do

wolontariatu. Nie czytałeś? Jeden z największych punktów jest u was na kampusie.

Maximusowi ciemnieje w oczach.

– Przez większość dnia nawet nie zerknąłem w telefon. Odkąd się zaczęło, jesteśmy przyklejeni do telewizora.

– „My”? Jest z tobą... Kara?

W jej głosie słyhać napięcie, ale nie mogę powiedzieć, by rzuciła moje imię jak przekleństwo. To raczej naglące pytanie.

– Czemu to takie ważne? – odzywa się wreszcie Maximus.

– Błagam, po prostu odpowiedz, synu. Czy Kara jest teraz z tobą?

Maximus przekrzywia głowę, posyłając mi pytające spojrzenie, a ja kiwam głową.

– Tak. Czemu chcesz wiedzieć?

– Bo właśnie przywieźli kolejną pacjentkę. – Pauza, którą robi, świadczy o mieszaniu profesjonalizmu ze współczuciem. – Karo... tak mi przykro, skarbie. To twoja siostra, Kell.

Maximus

– DZIĘKUJĘ, PANI WORTHINGTON – mówię do słuchawki, patrząc, jak Kara naciąga sznurki moich starych sportowych spodni. Choć są wyblakłe i dawno zdążyły się skurczyć w praniu, zamienia je w modny outfit, zawiązując sznurek na wysokości spustu kuszy Pana Fluffy’ego. – Teraz to chyba ja wiszę pani ciasteczka – dodaję, gdy moja sąsiadka obiecuje przyjść za pięć minut z akcesoriami do zabezpieczenia okien. Ta kobieta ma w szafie pelerynę Supermana, to pewne.

Ale w tym momencie pani Worthington nie może być jedynym superbohaterem w budynku. Gdy tylko Kara skończy się ubierać, muszę stanąć na wysokości zadania – dla niej.

Ta myśl dodaje mi skrzydeł, gdy pośpiesznie pokonuję dzielące nas metry. Ma na nogach tylko moje ciepłe skarpety, a nie chcę, żeby nadepnęła na szkło. Moja opiekuńczość nie kończy się jednak na jej stopach. Nie umknie mi nic pomiędzy nimi a mieszkami włosów na jej głowie. Na widok jej drżących ramion i zboląłego, niecierpliwego spojrzenia, powtarzam w duchu swoje przyrzeczenie ze zdwojoną mocą.

– Do diabła – szepce. – Czemu nie znam zaklęcia teleportacji?

Ściskam jej ramiona i nachylam się, zmuszając ją do utrzymania kontaktu wzrokowego.

- Podejrzewam, że opanowanie go zajęłoby ci cały dzień.
- Możemy już iść? Czy musimy poczekać na twoją sąsiadkę?
- Pani Worthington ma zapasowy klucz – mówię i biorę ją za rękę. –

Ruszajmy.

- Dziękuję, Maximusie – szepce ochryple w moje ramię. – Dziękuję.

Ale jej rozgorączkowany głos nawet się nie umywa do przyspieszonego oddechu. Przez całą drogę na kampus jest zdenerwowana i niespokojna.

Przemierzając gruzowisko, w jakie zamieniły się ulice naszego miasta, pozwalam jej wiercić się do woli z nadzieją, że wyłapie moje kojące wibracje. Na szczęście na miejscu już jest policja, która kieruje ruchem drogowym, zaprowadzając porządek, ale gdy tylko przyglądam się z bliska całemu temu pobojuwisku, mam wrażenie, że wróciliśmy do miasta upiorów, nie aniołów.

Kiedy wjeżdżamy na parking przy Alameda Arena, gdzie urządzono punkt pomocy medycznej, Kara przywdziewa maskę spokoju, choć w jej brązowych oczach nadal szaleje niepokój. Wiem, że chce jak najszybciej wyskoczyć z auta i pobiec do Kell, wyciągam jednak rękę i ściskam jej dłoń.

- Wszystko będzie dobrze, piękna.

Kiwa bez przekonania głową.

- Nawet ty nie jesteś w stanie mi tego obiecać.

Ściągam brwi, żałując, że nie mogę zaprzeczyć. Niestety ma rację.

Podenerwowanie Kary nie przygotowuje mnie na to, jak zwinnie opuszcza furgonetkę. Efekt jest spotęgowany, gdy przystaje przed maską wozu, by na mnie poczekać. Zupełnie jak na czerwonym dywanie – z tym że zamiast sukni wieczorowej ma na sobie kreację w stylu luźnego szyku.

Chciałbym móc dłużej się pozachwycać siłą ducha, z jaką przyjmuje od losu cios za ciosem, ale w tej chwili muszę się zadowolić złożeniem na jej

czole gorącego pocałunku.

W razie gdyby to nie wystarczyło, ściskam jej dłoń i szepczę:

– Dasz sobie radę ze wszystkim. Wróciłaś z piekła. Dosłownie.

– Ty też.

Kiwam z powagą głową.

– Całkiem dobrana z nas para. – Przerrywam, przyglądając się jej zmartwionej twarzy. – Jakby co, to nigdzie się nie wybieram.

W odpowiedzi ściska lekko moje palce i zagłębiamy się w chaosie otaczającym wejście Alameda Arena. Ta przestronna hala mieszcząca wielotysięczną widownię to dobry wybór na doraźny punkt pomocy medycznej, choć nie mogę oprzeć się wrażeniu, że panujący w środku chaos jest jak żywcem wyjęty z najkoszmarniejszej filmowej dystopii. Ratownicy wszelkiego autoramentu biegają w tę i z powrotem, przedzierając się przez tłumy zebrane pod ekranami, na których zwykle są wyświetlane reklamy uczelnianych eventów i rewii objazdowych. Dziś jednak ich miejsce zajęły lakoniczne listy rannych wraz z godziną przyjęcia i informacją o doznanych urazach.

Gdy stajemy na tyłach jednej z grup, Kara wspina się na palce.

– Cholera, nic nie widzę.

– Może mogłabym pomóc. – Propozycja pada z ust stojącej obok uśmiechniętej kobiety, która wydaje mi się mgliście znajoma. Odwracam się z parszywym uczuciem, że jej nie poznaję. W przeciwieństwie do niej, bo teraz uśmiecha się już od ucha do ucha. Spod jej błyszczącej mosiężnej opaski, jedyne kolorowe elementy jej stroju, wystają krótkie sprężynki kasztanowych loków okalające twarz. Ma na sobie czarne legginsy, koszulkę z napisem „personel” w tym samym kolorze i praktyczne baleriny.

– Profesorze Kane, powiedziałabym, że miło pana znów widzieć, ale zważywszy na okoliczności...

– Profesor Levin. – Uśmiecham się z wdzięcznością do Kary, która obraca się z gracją do poznanej w sobotę profesor prawa o osobliwie błyszczących oczach. – Pomaga pani przy rannych? – pyta nerwowo, zerkając na smartpada w dłoniach Erin, która w odpowiedzi kręci rysikiem.

– Wszystkie ręce na pokład, jak to mówią. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, całowałabym ich po stopach za możliwość ucieczki od góry esejów do sprawdzenia.

– Skąd ja to znam – odpowiadam. – Ale to i tak bardzo szlachetne z twojej strony, że zgłosiłaś się do pomocy.

Erin macha lekceważąco ręką, jakby mówiła „och, przestań” w stylu hollywoodzkiej gwiazdy.

– To żadna pomoc.

Przez krótką chwilę tylko się jej przyglądam, zastanawiając się, czy to jakaś ukryta aluzja. Ale zanim mam szansę dobrze się jej przyjrzeć, Kara pokazuje na jej pada.

– Masz może uaktualnioną listę? Szukam kogoś.

Erin posyła jej współczujące spojrzenie.

– Zerknijmy. Kogo konkretnie szukasz?

Nagle czuję pociągnięcie za łokieć, które przerywa nam rozmowę. Odwracam się na pięcie, by spiorunować intruza wzrokiem, ale zamiast tego porywam go w ramiona i mocno przytulam.

– Mama.

Chowam nos w jej kucyku. Jej włosy pachną tak jak zawsze: czymś owocowym, co kupiła w drogerii, bo spodobało się jej kolorowe opakowanie. Obejmuje mnie równie mocno. Moja emocjonalna reakcja to nic w porównaniu z jej wzruszeniem. Tym razem jednak w ciągu kilku sekund, w których normalnie zajrzałyby mi w twarz w poszukiwaniu

śladów przemęczenia czy niepewności, odrywa się ode mnie, by uściskać Karę.

– Cześć – mówi w końcu. – Jestem Nancy. Przykro mi, że nie poznajemy się przy kieliszku wina i desce serów, ale gdy ten młyn się skończy, będziemy miały na to dużo czasu.

– Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Je... jestem Kara.

– Witam. – Erin wyciąga rękę do mamy, rozdzielając je. – Erin Levin. Ja też wykładałam na University of Alameda.

– O? – Mama ściska dłoń Erin, ale podejrzliwie mruży oczy. – Na wydziale Maximusa?

Erin kręci głową.

– Zastępstwo na wydziale prawa.

– A, rozumiem.

Co dziwne, w tonie mamy pobrzmiwa jakiś niepokój, a ja od razu próbuję rozszyfrować zmianę w jej zachowaniu. Szyta grubymi nićmi serdeczność i czająca się pod nią podejrzliwość zupełnie do niej nie pasują, choć rozmywiają się równie szybko, jak się pojawiły.

– Przykro mi, że nie mamy więcej czasu, by się zapoznać, ale muszę was porwać – mówi stanowczo mama. – Tędy.

Gdy idziemy za nią ocienioną ścieżką biegnącą wzdłuż budynku, od czasu do czasu się odwraca, by zobaczyć, czy się nie zgubiliśmy.

– Kell naprawdę tu jest? Nie znaleźliśmy jej nazwiska na listach przyjętych. – Nie chcę robić Karze nadziei, ale wolałbym oszczędzić jej stresu, jeśli się okaże, że Kell jest cała i zdrowa.

– Celowo go nie opublikowaliśmy – wyjaśnia mama. – Z tysiąca powodów, których zapewne sami się domyślicie.

– No tak – bąkam. Głupio mi, że o tym nie pomyślałem. – Nic tak nie przeszkadza w pracy jak najazd mediów. Dzięki, mammo.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, kochany synku.

Nie zatrzymując się, Kara daje mi czułego kuksańca w bok.

– Teraz już wiem, po kim jesteś taki wspaniały, profesorze.

Uśmiecham się i po chwili przystajemy przed drzwiami z tabliczką „Tylko dla personelu”, gdzie urzęduje ochroniarz kampusu. Poznaje mnie i kiwa przyjaźnie głową na powitanie, po czym wyjmuje kartę magnetyczną i nam otwiera.

Mrużąc oczy, wchodzimy do dużej, jasno oświetlonej sali. Dopiero gdy przyzwyczajam się do światła, uświadamiam sobie, że to bynajmniej nie wina mrocznych plenerów, w których ostatnio przebywałem. Wsparcie dla długich fluorescencyjnych żarówek stanowią ogromne przenośne lampy zabiegowe oświetlające pół tuzina łóżek szpitalnych na kółkach. Z dwóch dobiegają jęki pacjentów, a z trzech innych ponure pikanie aparatury do podtrzymywania życia. Natomiast z szóstego, stojącego najbliżej nas, słychać...

Nucenie?

To wyraźnie kobiecy głos.

Kara rusza prosto ku zasłonce, zza której dobiega.

– Kell? Kell, nic ci...

Przewidziawszy jej reakcję, mama łapie Karę za łokieć, by ją zatrzymać, choć to jej spojrzenie jest bardziej autorytarne, jak przystało na pielęgniarkę.

– Spokojnie – nakazuje łagodnym głosem. – Możesz się z nią zobaczyć. Już jej powiedziałam, że tu jedziesz. Ale przedtem musimy coś omówić.

– Omówić? – Kara na powrót sztywnieje, zaglądając jej nerwowo w twarz. – Co takiego?

– Macie prywatnego lekarza? To znaczy lekarza rodziny? – Błękitne oczy mamy nabierają barwy jesiennego nieba, co w dzieciństwie zawsze mnie dręczyło, bo oznaczało, że coś ukrywa.

– Tak – mówi cicho Kara po chwili wahania. – Od zawsze.

Mama kiwa głową z zaciśniętymi ustami.

– Tak myślałam. Gdy przyszły wyniki badań Kell... – Wyrywa się jej zniecierpliwione westchnienie. – Pewnie już wiesz, co powiem. Składowi jej krwi z trudem podołałby zespół naukowców. Na szczęście nie ma czasu, by go powołać, i nikt nie nabrał zbyt wielu podejrzeń. Mamy tu prawdziwy młyn, więc nietrudno było zająć lekarzy innymi pacjentami.

– O nie. – Oczy Kary zamieniają się w spodki, gdy uświadamia sobie, co to oznacza. Na pewno się zastanawia, czy sekrety rodzinne Valarich są zagrożone. – Jak poważne są jej obrażenia?

– Obawiam się, że ma pękniętą kość nogi. Jej stan jest stabilny, ale na razie nie mogę jej wypisać.

– Pęknięta kość? Będzie konieczna operacja? – dopytuje Kara i w tej samej chwili nucenie Kell przechodzi w... śpiew.

Mama kręci głową z takim zdecydowaniem, że aż zamiata kucykiem.

– Nie sądzę, ale nie jestem lekarzem. W tym cały problem. Cały czas usiłujemy ich do niej nie dopuszczać.

– Rozumiem. Czy istnieje jakiś sposób, żebyśmy mogli zabrać ją do domu? Nie chcę narażać pani na utratę uprawnień, ale pewnie zdążyła się już pani wszystkiego domyślić. A w domu otrzyma pomoc medyczną.

– Zdaję sobie z tego sprawę, naprawdę. – Mama kończy zdanie z ciężkim westchnieniem. – To ryzykowne, ale możliwe. Postaram się, żeby jej karta... zniknęła, że tak powiem.

Mam ochotę jeszcze raz wyściskać mamę za ten beztroski humor, który zawsze wychodził jej lepiej niż mnie, ale Kara mnie uprzedza, przytulając

ją z wylewnością, do jakiej zdolne są jedynie kobiety.

– Dziękuję – szepcze łamiącym się głosem. – Odplacę się tym obiecany winem.

Gdy mama się od niej odrywa, mógłbym przysiąc, że też ma szkliste oczy. Robi mi się ciepło na piersi, patrząc na ten wyraz szczerzej akceptacji z jej strony.

– Z takim argumentem nie będę się spierać – odpowiada żartem, po czym wskazuje zasłonkę, za którą Kell niezbyt czystym głosem śpiewa jedną z popularnych ballad. – I czy moglibyście ją wyłączyć, zanim komuś przyjdzie do głowy zerknąć w jej kartę?

Szybkim całusem w policzek i z boleśnie szerokim uśmiechem odsyłam mamę do czynienia papierkowej magii, ale gdy tylko ruszam za Karą do łóżka Kell, uśmiech schodzi mi z ust. Pomimo tego prywatnego koncertu dla dodania sobie otuchy wygląda na bardzo drobną i kruchą. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak bladej.

Jedną nogę w grubej szynie ma zawieszoną na przenośnym stojaku trakcyjnym i jest pod kroplówką. Jeśli nawet Kara wyczuwa mój niepokój, ukrywa to pod szokująco pogodną maską, zupełnie jakby przed wejściem wyprztykała się ze wszystkich obaw.

– Kell – szepce. – Co się stało?

Kell odrzuca ze śmiechem głowę.

– To tylko parę siniaków.

Na drugiej, odkrytej nodze ma pełno zadrapań i rzeczonych siniaków, a ja mimowolnie powtarzam w duchu pytanie jej siostry.

Co się, do diabła, stało?

Kara puszcza moją rękę, by przykryć jej dłoń.

– Pracujemy nad tym, żeby cię stąd zabrać. W domu zajmie się tobą doktor Doug. Możesz się rozluźnić.

Kell prycha, przyglądając nam się szklistym wzrokiem.

– Rozluźnić się? – powtarza z wyczuwalnym przekąsem. – O, wierz mi, jestem rozluźniona. Niezły towar mają w tych kroplówkach. Martini oczywiście byłoby jeszcze lepsze, ale nie narzekam. Mmm, martini z dwiema oliwkami nadziewanymi niebieskim serem...

– Okej, ciii.

Kara kładzie jej dłoń z powrotem na cienkim prześcieradle pokrywającym plastikowy materac. To odwraca uwagę Kell na tyle, bym niepostrzeżenie odchylił koc. Jej ubranie jest porozdzierane i pokryte grubą warstwą kurzu.

– Kell. – Opuszczam koc, ale przyglądam się jej posiniaczonemu lewemu bokowi. – Co się stało? Pamiętasz coś?

Moje pytanie aż za bardzo ją uspokaja. Gdy jej oczy zachodzą mgłą, oczy Kary wypełniają się rozpaczą.

– Nie... nie chcę. – Kell kończy z głośnym jękiem.

– Kochanie – szept Kary przypomina przeprosiny – proszę, musisz nam powiedzieć. Zwłaszcza jeżeli... – Zawiesza głos i wstrzymuje oddech, a jej ramiona sztywnieją. – Zwłaszcza jeżeli to było celowe działanie. – Muska dłonią zmarszczone czoło Kell. – Siostrzyczko? – nie ustępuje. – Ktoś zrobił to celowo?

Jej stres natychmiast mi się udziela. Próbując ułożyć tę układankę, sam zacząłem podejrzewać, że padła ofiarą umyślnego ataku. Ale może Kara zdążyła już to wyczuć i nabrać pewności.

– Powiedz mi, Kell – cedzi. – Czuję, że próbujesz to przede mną ukryć, ale dlaczego?

Kell podnosi na nią dziwnie przytomny wzrok.

– Wiesz. Dlaczego – odpowiada z zaskakującą mocą.

– Nie – odparowuje Kara. – Nie wiem. Czy to ma jakiś związek z Ardenem?

– Może ma, może nie ma.

Kara sztywnieje.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Zaraz, czy ty go chronisz?

– Może tak, może nie – powtarza szyderczo Kell i pokazuje siostrze język.

Mojego małego demona wcale to nie bawi.

– Odkąd to Arden Prieto stał się dla ciebie taki ważny?

– Hmm. – Kell udaje, że się zastanawia. – Od dnia, w którym został moim pieprzonym inkubem?

– Prieto – bąkam osłupiały, jakby to miało sprawić, że jego nazwisko nie przyprawi mnie o mdłości. Marzenie ściętej głowy. – On ci to zrobił?

Kell się krzywi.

– Powiedzmy po prostu, że od słowa do słowa i...

– A może „powiedzmy po prostu” coś więcej? – odparowuje Kara. – Na przykład co dokładnie doprowadziło cię do takiego stanu?

Odpowiada jej tylko gardłowy pomruk frustracji siostry. Tych pomruków Kell ma cały arsenał.

– Po pierwszej serii wstrząsów wyprowadzili nas z zajęć. Ja zostałam dłużej, bo jedna z dziewczyn na moich zajęciach z gry na gitarze dostała ataku paniki.

– I? – dopytuje Kara.

– Kiedy w końcu wyszłam z Aquila Building, Arden czekał na schodach – ciągnie Kell. – Nie wyglądał na zachwyconego. – Wbija spojrzenie w Karę. Choć tylko lekko wykrzywia usta, w jej oczach płonie

dziwny ogień. – Ale nie przyszedł tam z mojego powodu. Zgadnij, z kim chciał porozmawiać?

Przybliżam się do Kary, czując, że potrzebuje nie tylko psychicznego, ale i fizycznego wsparcia. Nawet gdybyśmy oboje byli zwykłymi śmiertelnikami, wyczuwałbym jej roztrzęsienie. Gdy w końcu się odzywa, mógłbym przysiąc, że jestem w nim skąpany.

– Prawie się z nim nie kontaktuję. Na uczelnianym bankiecie zamieniłam z nim może parę słów. Od tamtej pory...

– Wiesz, sama się nad tym zastanawiam. Gdzieś ty się podziewała, droga siostrzyczko? I nie próbuj mi wmówić, że zaszyłaś się u Maximusa, bo wyczuję kłamstwo z szybkością...

Kara gwałtownie mruga.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Karo – nie ustępuje Kell – gdzie byłaś od sobotniego wieczoru? Bo jeśli choćby połowa z tego, co twierdzi Arden, jest prawdą, to pewien bezwzględny bóg nadal poluje na twoją duszę, a ty jesteś winna mieszkańcom tego miasta całą masę wyjaśnień.

Stojącą u mego boku kobietą wstrząsa gwałtowny dreszcz, przelewając drżenie w jej płytki oddech. Mimo to wciąż próbuje nie zdradzić się przed siostrą i jej przenikliwym spojrzeniem.

Kell wzrusza ramionami.

– Potem nasza rozmowa nabrała rumieńców, że się tak wyrażę.

Kara zastyga w bezruchu – który jest gorszy nawet od jej drżenia.

– Co takiego? – pyta wreszcie ochryplym głosem. – Boże, Kell.

– Chcesz powiedzieć – wtrącam – że to sprawka Ardena?

– On tylko zaczął. Dzieła dopełniły uskoki. Nazwij to punktem dla twojego nowego kumpla, Hadesa.

Cofam się, zanim na wzmiankę o Hadesie i Ardenie niemal w jednym zdaniu nerwy wezmą górę nad chaosem w mojej głowie.

Do diabła. Bez względu na to, czy Prieto dowiedział się o wszystkim z pierwszej, czy z drugiej ręki, wyładował swoją frustrację na Kell – tak zaciekle, że nie tylko jej ciało, ale i psychika zapłaciły druzgocącą cenę. Na samą tę myśl z moich palców strzelają iskry, gdy ratuję się ucieczką na taras dla pracowników.

Natychmiast zaczynam wściekle krążyć wokół czterech stołów pod rozciągniętą markizą. Minibłyskawice w moich zaciśniętych pięściach oświetlają meble ogrodowe z kutego żelaza, a potem przenoszą się na zewnętrzne ściany budynku.

Ale to nie tylko upust dla mojego wzbierającego gniewu. Niechętnie przyjmuję do wiadomości ich drugorzędne znaczenie, bolesną świadomość, jaką we mnie budzą.

Skoro Hades rozpoczął kolejne zajadłe polowanie na Karę, czy dzisiejsze tragiczne wydarzenia mają z tym jakiś związek? Czyżby Miasto Aniołów padło ofiarą niszczycielskich sił piekielnych?

A jeśli tak... to co dalej?

Kara

– KELL.

Chciałabym nią potrząsnąć, żeby się skupiła, ale nie śmiem. Już udawanie opanowanej jest wystarczająco trudne. W najgłębszych zakamarkach duszy czuję, że jej oskarżenia nie są bezpodstawne. To przeze mnie Arden stracił panowanie nad sobą.

– Kell. – Muszę zadowolić się objęciem jej ręką w pasie. Ostrożnie, by jej nie zabolalo, ale przytulam się do niej mocno. – Hej.

Porusza się niespokojnie, a w jej gardle narasta ochryply pomruk.

– Co?

– Spójrz na mnie.

– Po co?

Nie jestem od niej dużo starsza, ale gdy trzeba, potrafię zagrać tą kartą. A teraz nie mam innego wyjścia. W końcu wzdycha, ale jej westchnienie jest zbyt ciężkie i przeciągłe, bym mogła świętować ten mały sukces.

– Proszę, powiedz mi prawdę.

Jej ciało sztywnieje.

– Może sama zacznij ją mówić. Najlepiej od razu.

Tym razem to ja wzdycham znacząco.

– Okej. – I przebijam ją swoją delikatną dyplomacją. – O czym?

– Dobrze wiesz. Arden powiedział mi, że byłaś... tam. – Przełyka z trudem. – Właśnie czegoś takiego się obawiałam. Mama twierdzi, że nic nie wie. Próbowałam dodzwonić się do Jadena, ale bez skutku.

Wzdrygam się, jakbym dostała obuchem w głowę.

– Nie rozmawiałaś z nim ostatnio?

– Przecież mówię – warczy. – I nie mogłam pozbyć się poczucia, że...

Z gardła wyrywa mi się cichy jęk. To wystarczy, by potwierdzić jej przeczucia – i moje obawy. Jeśli szpiedzy Ardena w zaświatach donieśli mu o tym, że jestem gościem honorowym w Dis, mógł się także dowiedzieć o sukcesie misji ratunkowej Maximusa i dziadka.

Ale miejmy nadzieję, że nie zna szczegółów. Podejrzewam, że gdyby napomknął Kell chociażby o mojej akcji z księgą zaklęć, naszprycowana lekami czy nie, od wejścia zasypałaby mnie pytaniami.

Ulga, że nie muszę się z tego jeszcze tłumaczyć, dodaje mi tak potrzebnej cierpliwości.

Nadal obejmując ją w pasie, siadam przy niej na łóżku. Spojrzenia naszych niemal bliźniaczych brązowych oczu się spotykają. Czasami mogłabym przysiąc, że widzę w nich odbicie własnej duszy – ale nie dziś. Rozumiemy się, ale zajmują nas miliardy zupełnie różnych myśli. Nie przeszkadza mi to, bo naszą siostrzaną więź wzmacniają nadprzyrodzone zdolności. Czuję, że na powrót się rozluźnia. Po chwili przekrzywia głowę, marszcząc nos.

– No więc? – nie ustępuje. – To jak będzie? Bo wiesz, że wciąż masz na sobie zapach piekła, prawda? Założę się, że bez trudu mogłabyś mnie tam przeszmurować i trochę oprowadzić.

Zaciskam usta.

– Nawet sobie tak nie żartuj, okej?

– Och, ja wcale nie żartuję.

Pomimo tych pretensji głaszczesz delikatnie moją dłoń. Jej pieśczoć mówi sama za siebie. Raczy mnie doprawdy wyjątkową mieszanką złości i czułości... Ale jeśli myślisz, że jej odpuszczę, to się grubo mylisz.

– Do diabła, Kell. Mów, co powiedział Arden. Musisz mi powiedzieć, bo jeśli nadal mam sobie dopisywać...

Przez jedną krótką chwilę zastanawiam się, ile moich własnych demonów podniosłoby łeb, gdyby Arden zrobił jej krzywdę nie do naprawienia. Jej poobijana psychika już ścisnęła moją duszę za gardło.

– Proszę, siostrzyczko.

– Prawie słowo w słowo to, co ci właśnie powiedziałam. – Przerywa głaskanie moich knykci, gdy jej oczy robią się szkliste, a ich kąciki się ściągają. – Wyszłam przed Aquila Building. Arden czekał na schodach. Zanim otworzyłam usta, zaczął mieszać cię z błotem za ucieczkę z piekła i złamanie wszelkich możliwych tabu.

– Czemu tracił czas, żaląc się akurat tobie?

– Bo ten dupka myślał, że jestem z wami w zмовie. Oskarżył mnie, że pomogłam Maximusowi i dziadkowi dostać się do piekła. Jakbym miała o tym jakieś pojęcie. – Kell przewraca oczami i na chwilę je zamyka. – Potem zaczął gadać w kółko o jakiejś księdze, jakby wierzył, że krzykiem coś ze mnie wyciągnie. Serio, czułam się jak przesłuchiwana przez złego glinę, gdy po tym dobrym wszelki ślad zagał. Nie wie, że do tanga trzeba tych dwojga, bo inaczej nici z przyznania się do winy?

To powiedziawszy, zaczyna chichotać.

Mnie z kolei wcale nie jest do śmiechu. Krew zastyga mi w żyłach, tworząc tam stalaktyty i stalagmity.

– O... księdze? – wyduszam wreszcie.

Kell nie przestaje chichotać, podczas gdy mi żołądek podchodzi do gardła.

– Nie chciał rozwinąć tematu, ale w kółko powtarzał, że na pewno wiem, gdzie jest. Że jej miejsce jest w zaświatach i nie miałaś prawa jej zabrać. – Mruży sennie oczy, po czym nachyla się do mnie i pociąga nosem. – Wiesz coś o tym?

Momentalnie się odsuwam. Kręcę głową, wmawiając sobie to kłamstwo, by Kell go nie wyczuła.

– Co się stało po waszej kłótni?

– Był kolejny wstrząs. Ludzie się rozbiegli, ale Arden nie ruszył się z miejsca. Pomyślał sobie pewnie, że wykorzysta okazję, żeby zmusić mnie do mówienia.

Zaczyna się we mnie gotować, ale przełykam złość, żeby przepytywać ją dalej.

– Co zrobił?

Kell odchyła głowę ze smutnym uśmiechem.

– Wstrząs był tak silny, że zakołysało posągiem. Wystarczyło, że lekko go pchnął.

– Posąg? – Przeczესuję pamięć w poszukiwaniu rzeczony rzeźby. – Ten wielki klucz wiolinowy z betonu na dziedzińcu?

Kell cmoka.

– Nie inny.

– Ale on ma ze trzy metry wysokości!

Wzrusza ramionami.

– Był już pęknięty u podstawy. A Ardenowi nie brak szybkości i siły. Na szczęście mnie nie zabił, bo wtedy musiałby się ożenić z Jadenem. Dopiero by się wkurzył!

Zanosi się śmiechem z własnego żartu, ale i tym razem jej nie wtóruję. Nie mogę.

Przez kilka długich sekund przedzieram się przez chaszczę, które wyrosły w mojej głowie. Gdybym miała je teraz odmalować, przypominałyby kolczaste pnącza porastające Dis. Na samą myśl o tym, że Kell musiała się bronić przed Ardenem i tym olbrzymim betonowym blokiem... zaczyna ogarniać mnie rozpacz podobna do tamtej, a za żadne skarby świata nie chcę powtórki. Nigdy.

– Co znowu? – pyta słodko Kell.

– Jestem wściekła, okej? – mówię w końcu. – Jestem wściekła i mam ochotę rozszarpać go na kawałki. Nie miał prawa rzucać oskarżeń. W niczym nie zawiniłaś. Od samego początku jesteś niewinna, a teraz...

Na dźwięk mojego podniesionego głosu uderza mnie w grzbiet dłoni.

– Okej, przycisz się trochę. Myślałam, że miałyśmy nie zwracać na siebie uwagi. Czy może wolisz, żeby wszyscy w budynku poznali prawdziwe sekrety Valarich?

Skupiam się, by nakazać sobie w duchu spokój, ale wściekłość narasta, grożąc wybuchem. To zresztą nie tylko gniew. Zzerają mnie wyrzuty sumienia i poczucie bezsilności. Przytulałam się z Maximusem na sofie, kiedy moją siostrę zaatakował inkub.

– Przepraszam – bąkam. – Ale on jest odrażający. To agresywny oprych.

Na powrót wsuwa dłoń w moją.

– Owszem. Ale nic nie możemy z tym zrobić. Teraz najważniejsze jest...

– Dopilnować, żebyś nigdy więcej nie musiała oglądać tego łajdaka bez serca. – Zaciskam dłonie, a ona tylko przewraca oczami.

– Zapomnij o tych mrzonkach raz na zawsze, siostrzyczko – mówi z mocą dorównującą jej uściskowi. – Arden może i jest odrażającym tchórzem bez serca, ale wywodzi się z potężnego rodu. Obie wiemy, co to oznacza.

Wciągam gwałtownie powietrze.

– Musi być jakieś wyjście!

– Nie ma. A twój bunt nikomu nie pomaga. Nie dość biedy sobie napytałaś?

Nagle z jej spojrzenia wyparowuje cała czułość.

– Kell...

Przekręca się na bok, ignorując mnie.

– Daj spokój, nie chcę się o to kłócić.

– To się nie kłóć – odparowuje. – Jestem naprawdę zmęczona, K-demon. Lepiej poszukaj Maximusa. Jak będę gotowa dać dyla, jego mama was znajdzie.

Muszę przyznać, choć niechętnie, że ma rację. Kto wie, jaki los Maximus szykuje właśnie Ardenowi – i choć z największą chęcią przyklasnęłabym jego zamiarom, szukanie teraz zwady z Prietem to nie najlepszy pomysł. Z napomnień Kell wynika, że ma wtyczki w samym Dis, a może nawet w najbliższych kręgach Hadesa.

Nie. Nie „może”.

Na pewno.

Co czyni go wrogiem, od którego trzeba trzymać się z daleka – ale lepiej nie wysyłać go na tamten świat. Bez względu na to, czy to się nam podoba, czy nie.

Maximus

– ZMIESZCZĘ SIĘ?

Szept Kary to ostatni zastrzyk na uspokojenie, którego potrzebuję, by ugasić strzelające z palców iskry. Gdy siada przy mnie na jednym ze stołów, usiłuję rozgonić resztki chmur burzowych, które zebrały się nad tarasem.

Wsuwa mi rękę pod ramię i przytula policzek do mojego barku. Nachylam się, by jej zakosztować... Z każdą sekundą coraz bardziej potrzebuję jej korzennego smaku i zapachu. Nigdy nie przestanę pragnąć tej olśniewającej ognistej piękności...

Jej oddech staje się urywany, działa na moje zmysły jak najlepszy afrodyzjak. Ta chmura będzie jednak musiała poczekać, bo nagle wszystko inne przestaje istnieć. Po chwili jednak niechętnie przebijam naszą piękną bańkę. Musimy porozmawiać, a nie wiem, jak długo nam to zajmie. Nie po całej tej gonitwie myśli, którą z takim trudem wreszcie uspokoiłem.

– Chcę wiedzieć, co Arden znowu odwalił.

– Jest jego narzeczoną, ale obawiam się, że dla pełnokrwistego demona to niewiele znaczy. – Kara ciężko wzdycha, odgarniając z twarzy niesforny kosmyk. – I wie o księdze zaklęć.

Zaciskam zęby.

– Skąd wiesz?

– Był pewien, że Kell zna miejsce jej ukrycia. I podejrzewa, że pomogła ci się dostać do piekła. Kiedy zaprzeczyła, uciekł się do brutalniejszych metod, by wyciągnąć z niej prawdę.

– Powiedziałaś jej o księdze?

Kręci głową.

– Żartujesz? Jeśli jej teraz cokolwiek powiem, w drodze do domu oznajmi to całemu światu. Powiem jej we właściwej chwili.

Przeczesałam włosy wolną ręką.

– Słusznie. To co zrobimy z Ardenem?

– Teraz? Nie mam pojęcia. Kell sprawia wrażenie... zrezygnowanej. Nie odpłaci mi pięknym za nadobne i nie chce, byśmy zrobili to w jej imieniu.

– Bez żartów. Wiem, że inkuby są z natury drapieżne, ale Arden Prieto to gad w garniturze od Gucciego. Nie może ujść mu to na sucho.

Przerywa mi, ściskając moją rękę.

– Maximusie, nie mam wyboru. To przeze mnie jest na niego skazana. Ciężko z nią dyskutować. Skoro chce poradzić sobie z tym sama, muszę jej na to pozwolić. Zasługuje, bym uszanowała jej decyzję, nawet jeśli się z nią nie zgadzam. Zupełnie.

Zamiast odpowiedzieć, zsuwam się ze stolika. Czuję, że jeśli nie znajdę ujścia dla wściekłości, sprowadzę nad Los Angeles kolejną burzę z piorunami.

– Maximusie – zaczyna błagalnym głosem. – Proszę, usiądź...

– Wiesz co? – Odkręcam się do niej. – Obsesja twojej matki na punkcie spuścizny Valarich z dnia na dzień kosztuje coraz więcej, a cenę płacicie ty, Kell i Jaden. Przykro mi, Karo, ale nie zamierzam patrzeć z założonymi rękami, jak któreś z was płaci tę najwyższą. Coś trzeba z nim zrobić.

Niedawno stanąłem do walki z Cerberem, myślę, że i z Ardenem sobie poradzę.

Każde moje słowo jest szczere, ale natychmiast mam ochotę wszystko cofnąć. Pewnie wyszedłem na górnolotnego głupca, choć reakcja Kary mówi coś więcej. Dużo więcej.

– Maximusie – szepce moje imię. W jej głosie nie znać jednak nagany, tylko... pozytywne zaskoczenie, a może nawet szok.

W co się tak wpatruje ponad moim ramieniem? Odwracam się, wędruję wzrokiem za jej spojrzeniem i gdy tylko zdaję sobie sprawę, co wprawilo ją w takie zdumienie, pewnie mam nie lepszą minę. Dodatkowo zaprawioną nutą przerażenia.

To Zeus. Zbliża się do nas nieśpiesznym krokiem. Jego rozpięta pod szyją koszula i luźne spodnie sprawiają, że przestaje mi się tak ciężko oddychać, ale jego swobodny strój jest jedynym elementem nonszalancji w jego wyglądzie. Nieustraszony i niefrasobliwy bóg gdzieś wyparował, a jego miejsce zajęła chmura burzowa na nogach, co potwierdza wściekłość malująca się na jego twarzy.

– Witaj, synu – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Co ty tu robisz? – pytam szorstko.

– Ciebie też miło widzieć – odparowuje ironicznie. – Gdybym wiedział, że masz w planach doprowadzić Hadesa do białej gorączki, poprosiłbym Greków o przesunięcie festiwalu wina na dogodniejszy termin.

Unoszę gwałtownie brwi pod samą czuprynę.

– Nie przypominam sobie, żebyś pośpieszył mi z pomocą.

Moje oskarżenie nie spotyka się ze spodziewaną reakcją. W jego stalowym spojrzeniu dostrzegam błysk niepohamowanego gniewu, z którego słynie. Wyczuwam go, lecz go nie czuję.

– Rozumiesz, dlaczego nie mogłem się mieszać – odpowiada nieswoim głosem.

– A ty powinieneś zrozumieć, dlaczego ja musiałem.

– Do tego stopnia, żeby wyruszyć do piekła? – Jego nozdrza się rozszerzają. – W towarzystwie czarnoksiężnika, któremu już raz udało się stamtąd uciec?

Krzyżuję ręce na piersi.

– Przynajmniej się pojawił. I nie zostawił mnie w potrzebie.

Mam ochotę nim potrząsnąć, ale wiem, że to nic nie da, więc się powstrzymuję.

Z. przekrzywia głowę, wyciągając swój prastary kark.

– W twoich ustach brzmi to tak prosto i niewinnie. Tyle że wywołałeś furię mojego brata, jakiej ten świat nie widział od stuleci. Tłumaczyłem ci to. Oto konsekwencje, gdy boski gniew przekracza granice wymiarów.

– A Hades jest wściekły – szepce łamiącym się głosem Kara.

Sam mam nerwy napięte jak postronki. Tak bardzo chciałbym porwać ją w ramiona, żeby się nie bała, ale nie śmiem oderwać oczu od ojca. Patrzy na mnie ponuro i nie mówi ani słowa więcej. Jediną oznaką zmiany, która w nim nastąpiła, jest ciężkie westchnienie, po którym wydaje z siebie gniewny pomruk.

– Mój brat nie umie przegrywać. – Obejmuje spojrzeniem nas oboje. – Ale tego pewnie już się domyśliłaś.

– I teraz odpłaca nam pięknym za nadobne – dopowiada Kara. – A rachunek wystawił Los Angeles.

– Musi być jakiś sposób, by nawiązać z nim dialog – zwracam się do ojca. – Przecież nie może zrównać z ziemią całego miasta.

– I tuzina innych w pobliżu – dodaje Z. – Nie wyłączając paru dzielnic Las Vegas i wszystkiego po drodze. Nikt nie wie, gdzie się zatrzyma.

Mrużę z namysłem oczy.

– Nie zniszczy przecież swoich dwóch ulubionych siedlisk grzechu... Miałby to zrobić w jakimś mglistym geście odwetu? Gdzie tu sens i logika?

Z. odrzuca głowę, wybuchając śmiechem.

– Myślisz, że jego ego bierze to pod uwagę? Synu, gdyby tak było, historia nie znalazłaby tylu powodzi, pożarów i kataklizmów. – Przystaje się śmiać. Opuszcza głowę i obnaża zęby w rzadkim pokazie złośliwości. – Mam świadomość, że sam słynę z wybuchowości, ale wiercie mi, przy Hadesie jestem łagodny jak baranek.

– Baranek? – Teraz ja mam ochotę wybuchnąć śmiechem, ale na widok jego grymasu szybko przytomnieję.

– Nie możemy sobie teraz pozwolić na...

Przerywa gwałtownie, gryząc się w język. Oboje z Karą się wzdrygamy. Gdy wpatruje się w coś ponad naszymi głowami tak jak przedtem Kara, krew zastyga mi w żyłach. Przez krótką przerażającą chwilę nie mam pojęcia, co zrobić. Udawanie, że jestem gotów na konfrontację z Hadesem, byłoby równie absurdalne, jak wtedy w piekle. Jeszcze gorzej, jeśli zabrał ze sobą swoich sługusów.

– Na Plejady – szepce ochryple Z., przerywając tę straszną ciszę.

Wędruję za jego wzrokiem, który wbija w zbliżającą się do nas szybkim krokiem kobietę. Mój mózg zdaje się pracować na zwolnionych obrotach – za późno uświadamia sobie powagę sytuacji. Już nic nie jestem w stanie zrobić. Nie ostrzegę mamy przed mknącym prosto na nią emocjonalnym meteorem...

– Okej, udało mi się wypisać Kell bez wprowadzania wszystkich wyników badań – rzuca jednym tchem mama, z wprawą zawodowca

przekręcając kartki na swojej podkładce. – Karo, jako osoba upoważniona przez nią do otrzymywania informacji medycznej, musisz tylko podpisać...

Gdy podnosi wzrok, podkładka wypada jej z rąk i ląduje na ziemi u jej stóp. Jej palce zaczynają się trząść, a podbródek drżeć.

Jednocześnie mam nieodparte wrażenie, że po raz pierwszy, odkąd go znam, mój ojciec jest na granicy łez. Wygląda, jakby ktoś spuścił z niego całą parę.

A tym kimś jest Nancy Kane.

– Zeus.

W odpowiedzi wypuszcza powietrze nosem i z trudem przełyka ślinę przez ściśnięte gardło. Ale w drżących kącikach jego ust czai się radość. Nie sposób jej z niczym pomylić. Jako mężczyzna jestem tego pewien. Jako jego syn jestem wzruszony. Wdzięczny. Tylko najsilniejszy dorosły jest w stanie pokazać łzy swojemu dziecku. Dobrze wiem, bo nieraz widziałem łzy mamy.

– Nancy – odzywa się wreszcie.

Nabożna cześć, z jaką wypowiada jej imię, bynajmniej nie zbija jej z tropu. Krzyżując ręce na piersi, zaczyna się cofać.

– C-co ty tu robisz?

Z. kręci głową, jakby nie rozumiał jej słów.

– Jesteś stokroć piękniejsza niż w dniu, w którym się poznaliśmy.

– To nie jest odpowiedź – nie ustępuje mama. Ton głosu ma chłodny, a sylwetkę usztywnioną. – Co ty tu robisz, do diabła?

Kara

GDYBYŚMY WCIAŻ MIELI Z MAXIMUSEM jakieś złudzenia co do źródła serii wstrząsów, w tym momencie modliłabym się do matki natury o jeszcze jeden. Ale na razie Hades trzyma się z daleka od uskoków, więc oboje błądzimy skrępowanym wzrokiem, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy podczas pierwszego spotkania jego rodziców, odkąd był dzieckiem.

Gapię się bezczelnie na dwoje ludzi, których ewidentnie nadal do siebie ciągnie, bez względu na to, czy chcą się do tego przyznać, czy nie. Przepływająca między nimi energia jest tak silna, że mogłabym ją wziąć za swoją. Teraz gdy w moim życiu pojawił się Maximus, to zjawisko nie jest mi obce.

– Wszystko mogę wyjaśnić, *leaina*.

– Słucham. Tylko proszę bez greckich wtretów.

Przygryzam usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Dwa magnesy, bez dwóch zdań. Tyle że jeden z nich nie chce dać się przyciągać.

Może po tych wszystkich latach przystojny władca bogów już nie zwala Nancy Kane z nóg. Mimo to przypominają parę rodem z wielkobudżetowego musicalu, którą los pcha ku sobie z taką siłą, że reszta aktorów na scenie zastyga w bezruchu albo tonie w mroku.

Aż przykro patrzeć na oczarowanego Zeusa, któremu mama Maximusa wylewa na głowę kubel zimnej wody. Może to zwykłe nerwy, ale wyczuwam tu coś innego. Jej niechęć jest jak dmuchane szkło, które musi wystygnąć. Rozgrzane, acz zimne. Groźne, acz kruche. Ale wystarczy jeden fałszywy ruch, by się stłukło...

Co ona wie, czego my nie wiemy? Jakie jeszcze sekrety może skrywać? To, że Maximusowi wymazano z pamięci wszelkie wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, tylko wzmagą moją ciekawość. Niestety na razie nie ma co liczyć na uzyskanie od niej odpowiedzi. Już dawno nie wyczuwałam aury takiej niewzruszoności.

– Maximus o niczym ci nie powiedział? – Z. przybiera tak oskarżycielską i poirytowaną minę, że moja ludzka strona aż się krzywi.

Nancy zaciska szczęki.

– O czym?

Trzeba mu oddać, że Z. znacząco się waha, nawet nie zerkając na syna. Może czuje, że Maximus pierwszy puści farbę.

I oczywiście się nie myli.

– Kara była w niebezpieczeństwie, mamó. – Staje pewniej, patrząc jej w oczy. – Więc musiałem po nią pójść.

Nancy przenosi na mnie przestraszony wzrok.

– W niebezpieczeństwie? Jak to? Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku – wyrzucam z siebie, skruszona, że tak się o mnie martwi, przerażająco łatwo zapominając, że wszystkie matki tak mają. Nagle z równie wielkim przerażeniem uświadamiam sobie, że nie wiem, czy wytrzymałabym z nią dwadzieścia dwa lata. – Naprawdę, Nancy.

– Ale jeszcze przed paroma dniami nic nie było w porządku – wyjaśnia Maximus. – Dlatego musiałem wybrać się po nią do piekła.

Nancy blednie, opada ciężko na jedną z ławeczek i chowa twarz w dłoniach.

– O Boże.

Maximus podchodzi do niej z wyciągniętą ręką. Jego poczucie winy ściska mnie za serce.

– Mamo...

Nancy zasłania się dłonią, zatrzymując go.

– Nie. Daj mi chwilę, dobrze? Tym razem nie wymknąłeś się po prostu do Jessego, żeby pograć w *World of Warcraft*, do licha.

Maximus nie wstaje z kucek u jej boku, ale trzyma ręce na udach. Celowo czy też nie, podnosi błagalny wzrok, który ląduje akurat na jego ojcu.

Z. staje na wysokości ojcowskiego zadania i przyjmuje postawę władcy dzierżącego berło zwieńczone złotym orłem.

– Słuchaj matki, synu.

I zupełnie jakby orzeł nagle ożył i wzbił się w powietrze, ciszę przecina huk. Dopiero po chwili zdają sobie sprawę, że to wybuch śmiechu Nancy.

– Przez ponad dziesięć lat nie potrzebował do tego ojcowskich nakazów.

Nie będę udawać, że przeszywający wzrok Z. nie napędza mi strachu. Nawet Maximus wzdryga się na widok przejawu sławetnej wybuchowości swojego ojca. Ale niezrażona Nancy zrywa się na równe nogi, wytrzymując jego spojrzenie. To prawdziwa lwica w miętowym kitlu, a ten orzeł jeszcze nie wie, że zaraz będzie zwiewał, gdzie pieprz rośnie.

– Jeśli nie chcesz usłyszeć prawdy, to wracaj, skąd przyszedłeś. Tak będzie lepiej.

– Nigdzie się nie wybieram. – Z. chowa nonszalancko rękę do kieszeni spodni, co zupełnie nie pasuje do gęstej atmosfery, która zapanowała. Mam ochotę skandować jej imię jak cheerleaderka, gdy Nancy zadziera brodę i patrzy mu prosto w oczy. Choć jej słowa ociekają energią pod tytułem „nie prowokuj mnie”, jej błękitne oczy pałają błaganiem o nazwie „weź mnie”.

I nie podpowiada mi tego tylko intuicja. Mówi mi to głos serca, a potwierdza doświadczenie. Nancy Kane prowadzi wewnętrzną walkę, której nie ma szans wygrać. Jest zakochana. Za zabój i na wieki. Mimo to stawia mężny opór. Dorzuca nawet sztucznie nonszalanckie wzruszenie ramion.

– Mamy tu mały młyn, było trzęsienie ziemi, jeśli nie zauważyłeś. – Macha ręką w stronę budynku za nami. – Wiem, że ciężko ci spojrzeć na sytuację z naszej perspektywy nędznych śmiertelników, ale...

– Nancy.

– Możesz wierzyć bądź nie, ale w tym jednym mieście jest nas więcej niż was na tym waszym Olimpie razem wziętych. Więc jeśli chcesz się na coś przydać...

– Nancy.

Wreszcie przerywa, odpowiadając takim samym rozmarzonym spojrzeniem jak jego, gdy Z. podchodzi bliżej i jego usta zatrzymują się tuż przy jej wargach. Gdy jego intencje nie pozostawiają żadnych wątpliwości i nawet Maximus przeklina pod nosem, szczęka mi opada. Okazuje się, że władca olimpijskich bogów jest większym kozakiem, niż myślałam. Na szczęście oleju w głowie też mu nie brakuje, bo wycofuje się od razu po spoliczkowaniu przez Nancy. Momentalnie przybiera zatwardziałą minę.

– A ja, wierz lub nie, jestem tu właśnie z tego powodu – odpowiada oschle. – Sprawa nie jest taka prosta, na jaką wygląda.

Nancy przełyka z trudem.

– Och.

– To, co się dzieje... Nie jest winą uskoków, które gremialnie postanowiły zatrząść miastem w posiadach.

– Tak. – Maximus porusza się niespokojnie i ciężko wzdycha. – To nadąsany Hades tupnął nóżką.

Z. odkręca się na pięcie i przesywa go wzrokiem.

– Zachowaj podobne uwagi dla siebie, bo ściany mają uszy. Chyba już dość zagrałeś mu na nerwach, nie sądzisz? – Maximus w odpowiedzi tylko patrzy nań spode łba. – To ktoś, kto w najlepszym wypadku jest bestią na łańcuchu. Jeśli zależy ci na tym wymiarze i jego mieszkańcach, nie prowokuj jej, by się z niego zerwała.

– Jaki obecnie jest stan łańcucha? – pytam mimowolnie.

Podejrzewam, że Z. tylko czekał na to pytanie, ale nie kwapi się z odpowiedzią.

Ciszę wypełnia kolejne ciężkie westchnienie Maximusa.

– Pewnie już długo nie pociągnie.

Z irytująco niezachwianym spokojem rysuje kciukami kółka na palcach wskazujących.

– Chcesz sprawdzać jego wytrzymałość czy możemy wreszcie się zastanowić, co z tym fantem zrobić? – pyta retorycznie.

Słyszając to, oddycham z ulgą, zwłaszcza że wyraz twarzy Maximusa łagodnieje. Na pewno niełatwo mu przełknąć gorycz wobec ojca i zdać się na jego doświadczenie, ale być może zaczyna sobie uświadamiać, że nie wszystko jest czarno-białe. Wspomnienia z dzieciństwa mają to do siebie, że w miarę upływu lat nabierają wielu odcieni szarości.

– Okej, masz rację – przyznaje. – Tylko gdzie? Moje mieszkanie jest spalone, tak samo dom Kary.

– Podobnie jak cała reszta kontynentu. – Z. przekrzywia głowę, nie tracąc ani krzty spokoju.

Maximus kiwa z pokorą głową.

– Masz jakiś pomysł?

– Nie. – Nancy odciąga Maximusa za łokieć, ukazując nowe pokłady zdeterminowania. – Po prostu nie. Nie potrzebujemy jego pomocy! Przez wszystkie te lata świetnie radziliśmy sobie sami. Prawda?

Maximus przyciska rękę do ciała, przyciągając jej dłoń.

– Mamo. – Delikatnie przykrywa ją swoją. – Przez wszystkie te lata nie mieliśmy do czynienia z czymś takim.

Jej twarz się ściąga.

– Co nie znaczy, że nie damy sobie z tym rady – odpowiada ochryłym głosem.

– Nie wiesz, z kim chcesz się mierzyć, Nancy – wtrąca Z. – Hades nie zawahałby się wyrwać niemowlęcia z ramion matki, jeśli to miałyby się przysłużyć się jego celom. Ani zabić.

– I ty się dziwisz, że uciekłam z naszym dzieckiem z twojego świata? – naskakuje nań Nancy.

Z. przybiera surowy wyraz twarzy.

– Masz na myśli świat, który teraz jest dla niego najbezpieczniejszym schronieniem?

– Hola, hola. – Maximus nieruchomieje. – O czym ty, do diabła...

– Nie – kategorycznie wcina się Nancy. – Wykluczone. Zabraniam.

– To dorosły mężczyzna. Sam może o sobie decydować...

– A teraz jego decyzją jest sprzeciw wobec twojej woli, którą chcesz mu narzucić tylko dlatego, że od czasu do czasu zakładasz koronę!

Z. wciąga powietrze.

– To nie korona czyni ze mnie króla.

– A DNA nie czyni z Maximusa twojej marionetki. – To mówiąc, Nancy nie waha się stanąć z nim twarzą w twarz i spiorunować go wzrokiem. – Nie zmusisz go, by z tobą poszedł. Nie będziesz mu nic dyktował!

Z. nie pozostaje jej dłużny, bez mrugnięcia okiem wchodząc w jej przestrzeń osobistą.

– Nawet gdybym zabrał cię ze sobą?

Mam ochotę przytulić Nancy. Na samą myśl, że Maximus mógłby mnie zostawić i zamieszkać na Olimpie, moja dusza wyje z bólu. To nie miejsce dla demona, nawet półkrwi, tak jak Dis nie jest miejscem dla półboga. A z tamtej awantury ledwie uszliśmy z życiem.

– Nancy, nie zdołacie się ukryć przed jego gniewem. – Z. przenosi spojrzenie na mnie i na Maximusa. – On nie zna półśrodków i nie cofnie się przed niczym, by zadać ból.

– Więc jedynym rozwiązaniem jest zaszyć się na Olimpie? – odparowuje Nancy. – Za pierwszym razem ten genialny pomysł tak znakomicie się sprawdził!

Zapada przerażająco długa cisza, ale Z. zdaje się w ogóle niezrażony jej oporem.

– Coś wymyślimy – mówi w końcu. – A do tego czasu będziecie przynajmniej bezpieczni.

– „Bezpieczni”. A dokładnie w jakim tego słowa znaczeniu?

Uderza mnie to pytanie wypowiedziane aksamitnym szeptem. Nagle słyszę jakiś szelest i sztywnieję. Wszyscy czworo odwracamy się w stronę zewnętrznej furtki tarasu zamkniętej na potężną kłódkę.

Która jakimś cudem nie zdołała zatrzymać Erin Levin, co bynajmniej nie uchodzi mojej uwagi, zwłaszcza że wykładowczyni sunie ku nam

swobodnym krokiem, nie spuszczać wyzywającego wzroku z władcy bogów.

Jakby już kiedyś się spotkali. I to wiele razy.

– Erin. Hej – odzywa się Maximus. – Zgubiłaś się? Szukasz kogoś?

Wzrok wykładowczyni ześlizguje się z niego jak wąż w zawilgłej trawie, równie gładko przenosząc się na Z. Patrzy... rozważa... napawa się widokiem. Zaczyna robić się dziwnie. Z sekundy na sekundę przestaje być miłą, nieśmiałą kobietką, którą poznaliśmy w sali aukcyjnej na przyjęciu u rektor McCarthy.

Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co właśnie sobie uświadamiam. Jestem kompletnie ślepa i głucha na jej aurę. Zwłaszcza gdy tym razem to na mnie przenosi swoje niepokojąco intensywne spojrzenie. Jej błękitno-zielone tęczęwki nie są już takie błyszczące, teraz ich marmurkowe, nasycone pierścienie otaczają nienaturalnie rozszerzone źrenice.

Wstrzymuję oddech i cofam się, szukając silnego ramienia Maximusa. Ponieważ Erin Levin nie jest tym, za kogo się podaje. Czuję to w kościach. A następne słowo Z. potwierdza moje przypuszczenia.

– Megiera. – Jego warknięcie jeszcze nigdy nie było taką muzyką dla moich uszu. – Nie masz tu czego szukać.

Wszystkie mięśnie w moim ciele napinają się jak postronki. Wymieniamy z Maximusem znaczące spojrzenia.

Wyobraźnia podsuwa mi najdziksze scenariusze. Czy przysłał ją Hades, by zaciągnąć mnie z powrotem do królestwa, które wysie ze mnie duszę na długo przed unicestwieniem ciała? A może przybyła wymierzyć innego rodzaju sprawiedliwość?

Kątem oka dostrzegam gwałtowny ruch ręki Z., jakby szarpnął za niewidzialną smycz, przyciągając Erin za szyję.

– To ty nie masz tu czego szukać – odparowuje ta z syknięciem.

– Śmiesz mnie pouczać? – Z. szarpie mocniej za niewidzialną smycz.

Erin – Megiera czy kimkolwiek jest – wydaje z siebie krzyk i pada na ziemię. Wyginając szyję, wbija w niego spojrzenie już nie niebieskawozielonych, ale uderzająco turkusowych oczu. W jej gardle rośnie coś na kształt chichotu, któremu jednak nie jest dane ujrzeć światła dziennego.

– Jestem twoją Furią! – wybucha. – Mam wszelkie prawo tu być i wymierzać karę za sprzeniewierzenie się twemu prawu. Czyż nie jestem w twej służbie, by karać za kłamstwo, niewierność i złamanie przysięgi? Czy nie uczyniłeś mnie władną wymierzać zemsty za te grzechy?

– Byś zjawiała się tu na polecenie swojej królowej, a nie króla?! – ryczy Z. i gwałtownie prostuje rękę, jakby rzucał smycz na ziemię, a leżąca na ziemi Megiera zwija się i syczy z bólu.

– Mam okazywać litość tym, którzy złamali świętą przysięgę, tylko ze względu na ich pochodzenie?

– Dość! Wytłumacz się.

Dumna Furia dźwiga się na klęczki. Drżąc pod zagniewanym spojrzeniem swego władcy, traci niemal cały swój animusz. Oblizuje wargi, już przewidując reakcję na swoje następne słowa.

– Nie obawiaj się. Jej królewska mość proponuje kompromis. Maximus to w końcu twój bękart – mówi przesłodzonym głosem.

– Jeśli Hera przysłała cię z wiadomością, czym prędzej ją przekaż albo odeślę cię tam, skąd przyszedłeś – warczy Z. – Z pewnością zdołasz wyjaśnić swojej pani niepowodzenie misji.

Megiera ściąga łopatki i dumnie unosi głowę. Nie poruszając się, wbija wzrok w Maximusa, a potem we mnie.

– Świadomie sprzeniewierzyłaś się złożonej przysiędze – oznajmia, a ja przętykam nerwowo ślinę, czując, jak Z. puszcza nerwy.

– Moja droga małżonka jak zwykle daje wiarę swojej pałacowej koterii, nie sprawdzwszy faktów. – Wysuwa się naprzód. – Wracaj do swojej królowej i powiedz jej, że jeżeli tknie mojego syna...

Megiera odrzuca głowę, zanosząc się histerycznym śmiechem. Nawet na kolanach trzyma się kurczowo swojej namiastki władzy.

Powoli opuszcza głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Moja królowa pragnie cię powiadomić, że Maximus Kane nie ma wstępu na Olimp. Ani on, ani jego matka, ani kochanka-demon. Jeśli ośmielisz się ich sprowadzić, wiedz, że spotka ich niechybna śmierć. Hera nie okaże miłosierdzia.

Ostatnie słowo wypowiada z triumfalnym uśmiechem i unosi dwa najdłuższe palce.

– A ja z rozkoszą przysięgam, że tak się stanie.

Maximus

MOJE PŁUCA WŚCIEKLE POMPUJĄ POWIETRZE, a włókna w mięśniach rozrywa bolesne napięcie. Zachodzę w głowę, z jakiej przyczyny. I już wiem, że chodzi o coś więcej niż szok czy poczucie zdrady. To odwieczny konflikt pomiędzy agresją a instynktem przetrwania. Ratować się walką czy ucieczką?

Wracam myślami do mglistych wspomnień dni spędzonych na Olimpie. Biec do willi, jak każe mama, czy rzucić się na Klymene i jej drwiące towarzyszyki z całą siłą, jaką jestem w stanie z siebie wykrzesać?

Wydaję z siebie groźny pomruk i z satysfakcją patrzę, jakie wrażenie wywiera on na Megierze, która jednak po chwili się ulatnia. Te dwadzieścia kilka lat, które minęły, nic nie znaczą dla jej prastarej duszy. A ja jestem ważny tylko dlatego, że moje istnienie uzasadnia jej. Kolejny bękart, na którego poluje, by dowieść swojej wartości.

– Wynoś się.

To tylko dwa krótkie słowa, ale w moich uszach brzmią jak pieśń zwycięstwa. Nie mówię tego nawet na użytek złośliwie uśmiechniętej kobiety u moich stóp. To dla tamtego małego chłopca, który dawno temu błagał spojrzeniem Reginę, by mógł wykrzyknąć te słowa do tytanid na trawniku przed olimpijską willą.

– Przekazałaś wiadomość – mówię przez zęby – więc odejdz.

Tym razem dociera do mnie to, czego nie rozumiałem przez te wszystkie lata zadręczania mamy pytaniami. Niekiedy przeszłość to nie „dawno, dawno temu”, a „nie pamiętam” musi nam wystarczyć za odpowiedź.

Ta świadomość powinna przynieść ulgę, ale tak nie jest. Nawet gdy Megiera spełnia moją prośbę, zwijając się w kłębek i rozpływając w pustynnym pyłe, trudno mi ją zaakceptować. W głowie i sercu czuję dziwną pustkę, zwłaszcza w przeciągającej się ciszy, która zapanowuje po zniknięciu Furii.

– Bez obaw – wycedza wreszcie Z. – Hera nie ma aż tak długich rąk, by was dosięgnąć. Nie jestem jej mężem pantoflarzem, tylko jej królem!

Jego ryk marszczy wodę w ostatnich kałużach i sprawia, że przestraszona Kara cofa się o krok. Nie robi wrażenia tylko na mamie, która wbija w niego zimne spojrzenie.

– I ty się dziwisz, dlaczego przysyła szpiegów zamiast emisariuszy?

Ojciec zaciska groźnie szczęki.

– Nie jest prawowitą władczynią Olimpu. Nie decyduje o tym, kto ma nań wstęp.

– Ależ oczywiście, że nie, mój drogi – odpowiada mama przesłodzonym tonem z równie słodkim uśmiechem, czym ściąga na siebie jego surowe spojrzenie. – Daj spokój. Jest dużo bardziej wywrotowa i oboje dobrze o tym wiemy.

– Zatem odłożmy na razie ten temat. – Wkraczam do akcji, przyciągając do siebie mamę. – Podziękujemy za zaproszenie za złotą bramę, tatku.

Tym razem oboje rodzice podskakują zaskoczeni – choć zapewne z innych powodów. Mama przygląda mi się badawczo z nieskrywaną ciekawością.

– Skąd wiedziałeś o złotej bramie? – dopytuje.

– Znasz mnie – mówię z czułością. – Pewnie gdzieś wyczytałem.

Ale ta odpowiedź ma ją tylko uspokoić. Skąd nagle o niej wiem?

Czy to ważne? Teraz kiedy się boję, że ojciec nie będzie chciał ustąpić? Wystarczy, że mrugnie okiem, by przenieść mnie z powrotem na trawnik przed naszą olimpijską willę. Nie ma mowy. Nie zgadzam się. Nie gdy nie mam pewności, dokąd ulotniła się Megiera.

A i poza nią wiele należałoby wziąć pod uwagę. Jest kilka priorytetów, których nie zlekceważę. Na imię im Reg, Sarah i Jesse. Gio i Kell. Jaden, który, miejmy nadzieję, zdołał wymknąć się Rerekowi. Nawet Veronica. Nie mogę ich teraz zostawić na pastwę wściekłego Hadesa, który dopiero się rozkręca.

Nie ugnę się pod prężerem strachu przed gotującym się ze złości Zeusem.

I mama to wyczuwa. Opiera wyzywająco rękę na biodrze z uśmiechem aprobaty.

– Słuszna decyzja. Też bym taką podjęła.

W oczach Z. strzelają minibłyskawice.

– Kiedy chcę tylko tego, na co nigdy mi nie pozwalałaś? Chronić was...

– Przed niczym nas nie ochroniłeś. – Jej ton zadaje kłam dumnej postawie. – Nawet wtedy, gdy tak sądziłeś. – Przesuwa się, jakby chciała mnie zasłonić przed jego piorunującym wzrokiem, choć moja broda muska czubek jej głowy. – Nie wierzyłeś mi wtedy i nie spodziewam się, byś uwierzył teraz. Proszę tylko, byś pozwolił nam odejść w spokoju. Pójdziemy po siostrę Kary i jako rodzina postanowimy, jak poradzić sobie z tym kryzysem.

To odrobinę gasi złość ojca. Naturalnie pozostaje jeszcze decyzja, co z tym fantem zrobić, bo jak widać, Hades nie potrafi przegrywać

z honorem. Jego zemsta zdążyła się już odbić na Kell, Jadenie i połowie Los Angeles. Jak daleko się jeszcze posunie? I jak mocno ucierpią nasi przyjaciele, rodzina i mieszkańcy miasta?

Moją zadumę przerywa błysk światła. W ciepłych brązowych oczach Kary znajduję ukojenie dla swojej udręki. A co ważniejsze, widzę w nich szczerze, bezwarunkowe wsparcie, którego tak bardzo potrzebuję.

I załączek planu, który muszę usłyszeć.

– Wiem, gdzie należy zacząć. – Odwraca się i przykrywa dłonią moją rękę, którą nadal przytrzymuję mamę. – Chodźmy stąd.



Nie tak sobie wyobrażałem pierwszą wizytę w rezydencji Valarich. Sprawia wrażenie boleśnie pustej i pogrążonej w ciszy, ale oddycham z ulgą. Skupiając się, by nie urazić Kell, zwłaszcza gdy wnoszę ją po schodach na trzecie piętro, nie myślę o tym wszystkim, z czego Kara dla mnie rezygnuje, abstrahując od oczywistego. Atrium z wysuwającym dachem? Łazienka z lśniącym wodospadem obok wanny rozmiarów laguny? Boję się nawet zajrzeć do garderób, które mijamy po drodze, gdy Kara prowadzi mnie do sypialni większej od niejednego mieszkania mojego dzieciństwa.

Włącza lampę stojącą, a półprzytomna Kell cicho pojękuje w moich ramionach, gdy kładę ją delikatnie na łóżku.

– Kara! K-demon, kochana! Karaaa!

– Jestem tu – szepce Kara, siada na materacu przy siostrze i głaszcze ją po głowie. – Jak się czujesz?

– Mmm. Czy to już pora na martini? Poproszę wstrząśnięte, niez mieszane.

Jak na zawołanie rezydencja trzęsie się w posadach trzy piętra niżej.

– Cofam to, nie musi być wstrząśnięte.

– Już dobrze. – Kara ujmuje jej dłonie w swoje. – Spróbuj zasnąć.

Kell wzdycha i uśmiecha się sennie.

– Kocham was.

Gdy mama wraca z łazienki ze szklanką wody, śmiejemy się cicho z zamroczenia Kell, ale Kara ściąga brwi. Nie tylko ze zmartwienia, jeśli dobrze to odczytuję. Na pewno nadal ma do siebie pretensję za „wypadek”, który mógł pozbawić życia jej siostrę.

– Chcę odpowiedzi – bąka gniewnie pod nosem i podrywa się sztywno na nogi.

Mama już podkasuje rękawy.

– Idźcie – mówi. – Ja z nią zostanę. Bez obaw.

Przysięgam na wszystkich bogów i półbogów, siebie nie wyłączając, że nawet gdybyśmy wybierali się z kolejną wizytą do piekła, na widok czułości, z jaką Kara przytula mamę, w piersi rozlałoby mi się cudowne ciepło.

– Okej, chodźmy – szepce przez zaciśnięte usta i odwraca się w stronę drzwi.

Niespełna minutę później, gdy pukamy do drzwi domku jej dziadka, dowiaduję się, że to on jest naszym celem. Po raz kolejny poszukiwanie odpowiedzi prowadzi nas w progi Gio Valariego. A co gorsza, uświadamiam sobie, że jeżeli jej dziadek nie będzie umiał nam pomóc, mogę na zawsze stracić Karę.

I tym razem misja ratunkowa się nie powiedzie.

Na szczęście zastajemy go w domu. Wciąż jest poobijany po naszej szamotaninie z Cerberem, ale pod wszelkimi innymi względami znów

przypomina dobrotliwego starszego pana, którego poznałem przed kilkoma dniami w tych samych progach.

Na nasz widok na jego twarzy też maluje się ulga. Zaciskając powieki, przyciąga do siebie wnuczkę, by mocno ją objąć.

– Kara. Dzięki niebiosom, nic ci się nie stało.

– Nic a nic – odpowiada lekko łamiącym się głosem, ale odwzajemnia uścisk z taką samą siłą. – A tobie?

– Pewnie, że nie. – Odchyła się, by uszczypnąć ją serdecznie w podbródek. – Twój dziadek jeszcze nie jest taki stary.

Kara się krzywi.

– Przestań tak mówić. Gdybyśmy cię nie zastali...

– Miałabyś jeszcze ochronę tego tu osiłka – odpowiada żartem, po czym przenosi na mnie spojrzenie swoich błyszczących oczu.

Parskam śmiechem.

– Nigdy mi nie odpuścisz, co?

– Raczej nie, synu.

Żarty żartami, ale nie tracąc czasu, Kara przechodzi od razu do rzeczy, czyli do powodu naszej wizyty.

– Dziadku. – Patrzy mu w oczy, trzymając go za ramiona. – Na pewno wiesz, dlaczego tu jesteśmy.

Gio przekręca dłonie, by ścisnąć ją za łokcie.

– Owszem, mam parę teorii. Po powrocie zastałem przetrząśnięty dom i dowiedziałem się od Daltona, że to robota Ardena Priety...

Opuszcza ręce po bokach i rozcapierza palce niczym szpony. Rysujące się pod jego skórą żyły przypominają jarzące się czerwienią węże.

– Tak mi przykro, dziadku – szepce Kara. – Ale chyba wiem, czego szukał.

– Oczywiście. Chce tej przeklętej księgi. A w każdym razie jego szef chce ją odzyskać. Powiedz, masz ją nadal?

Kara kiwa głową.

– Tak. Jest...

– Nie mów mi – przerywa jej Gio. – Powinna zostać u ciebie. Nikomu innemu bym jej nie powierzył. Strzeż jej jak oka w głowie, Karo. Jeśli Hades tak bardzo chce dostać ją w swoje łapy, to znaczy, że jest potężniejsza, niż mogłoby się nam śnić.

Przerywa, by zaczerpnąć tchu, i Kara wykorzystuje moment na zastanowienie. Ale każda sekunda jest na wagę złota. Nie mamy czasu do stracenia.

– Rozmawialiśmy z Zeusem – wyrzucam z siebie. Nie ma sensu tego przed nim ukrywać. Zaskoczony zadziera głowę, a czerwone żyłki momentalnie znikają z jego dłoni i nadgarstków, przez co wygląda na starszego i wycieńczonego.

– Myślałem, że trzyma się z daleka od całej sprawy – rzuca pod nosem.

– Tak było, zanim Hades zaczął siał zniszczenie w Los Angeles.

– Hm. – Chrząka. – Całkiem logiczne.

Grymas na jego twarzy się pogłębia, a Kara oddycha coraz płycej.

– Błagam, dziadku – powtarza z jeszcze większym zdesperowaniem – możesz nam pomóc? Domyślasz się, co tym razem mogłoby powstrzymać Hadesa? Musimy znaleźć jakiś sposób, by...

Resztę zdania zagłusza huk wiatru, od którego dom trzęsie się w posadach. Razem z dzielnicą. I całym miastem.

Niczego już się nie dowiemy, bo wiatr zaczyna wyć w pobliskich kanionach, przetacza się przez śródmieście i wspina na wzgórza, po czym spada z furią w sam środek basenu.

Basenu?...

Niemal znajduję pocieszenie w swoim zdziwieniu, dopóki nie przypominam sobie, w jaki sposób Gio przeniósł mnie do piekła za pierwszym razem. Pamiętam też każde nasze cudowne ocalenie... W tym widoku nie ma nic cudownego.

Ten atmosferyczny derwiz podrywa wszystko, co nie jest przytwierdzone do podłoża. Każdy liść żywopłotu. Każdy płatek każdego kwiatu. Nawet kieliszki do martini i podstawki pod drinki z barku przy basenie...

Wszystko to zamienia się w jedną monstrualną podpałkę, gdy nad seledynową wodą wystrzeliwuje ognisty komin o wysokości co najmniej pięciu metrów, który błyskawicznie się spręża. Moje ściśnięte gardło zdaje się iść za jego przykładem, bo w soczystych płomieniach zaczynam dostrzegać kształty. Błyszczący szkarłatny garnitur. Przylizane kruczoczarne włosy. Arogancka, władcza postawa. Powoli z ognistego tygla wyłania się... on.

Kara

OGIEŃ, Z KTÓREGO POWSTAŁ, zamienia się w trujący dym, a ja czuję, że siły mnie opuszczają. Krew zastyga mi w żyłach. Oddech zamienia się w lodowaty powiew. Jasne myślenie jest niemożliwe tak samo jak przebicie bryły lodu wykałaczką. Gdy Hades się do nas zbliża, krocząc po wodzie i wychodząc z basenu, nie widzę, nie słyszę i nie czuję nic oprócz żalonych jęków i posępnego pustkowie, do którego przyszedł mnie zaciągnąć.

Strzepnąwszy krople wody ze lśniących skórzanych butów, przenosi onyksowe spojrzenie z powrotem na nas. Maximus przyciąga mnie mocno do swojego boku. Jego opiekuńczy uścisk jest niemal bolesny, ale nie dbam o to. Parę siniaków jest lepsze niż powrót do piekielnego więzienia. Jeśli tym razem Hades dostanie mnie w swoje szpony, już nigdy nie wypuści. Czeka mnie wieczność pod kuratelą babki w jej pustynnym dystrykcie.

Chyba że po tym wszystkim, co się stało, Hades cofnął dane jej słowo...

Nie. Nie!

Muszę jednak wziąć pod uwagę i taką ewentualność. Nie mogę beczynn timer patrzeć, jak przez moje egoistyczne pragnienia całe miasta obracają się w gruzy.

– Przyszedłeś się popisywać czy negocjować życie niewinnych ludzi?

Śmiałość i trzeźwość umysłu Maximusa sprawiają, że mocniej się w niego wtulam, chcąc jak najdłużej chłonąc jego ciepło i siłę.

Hades wygładza pąsowy krawat i wykorzystuje moment na przygotowanie salonowej riposty.

– Cóż, to zależy wyłącznie od pana, profesorze. – Unosi kruczoczną brew. – Mogę się do pana zwracać tym tytułem, prawda? Zważywszy na miejsce, w którym się spotykamy.

Wskazuje gestem metropolię w oddali, która zamieniła się w mroczne pogorzelnisko, tu i ówdzie oświetlane jedynie migotliwymi lampami i dogasającym ogniem zniszczenia. Momentalnie wyczuwam wewnętrzne rozdarcie Maximusa. Jest na granicy wybuchu, werbalnego, fizycznego albo obu naraz. Żadna z tych alternatyw nie wróży nic dobrego.

– Wasza wysokość – recytuje dziadek tonem starego dworzanina, w którym obok szacunku czai się pogarda.

W innych okolicznościach padłabym mu do stóp za uratowanie Maximusa przed nim samym – ale jakim kosztem? Jeżeli Hades zaciągnie go razem ze mną z powrotem do piekła, chyba pęknie mi serce.

– Z całym szacunkiem, czy mógłbym zapytać... – ciągnie.

– Nie mógłbyś – ucina Hades. – I ciesz się, że nie nasłałem na ciebie swoich dowódców, gdy miałem okazję, przybłądo. – Nie raczy nawet na niego spojrzeć, skupiając swój mroczny wzrok na mnie. – Kazałem tylko obserwować to miejsce, na wypadek gdybyś miał gości. Moja lojalna służba spisała się na medal. – Pstryka palcami w kierunku głównego wejścia do rezydencji.

Nie potrafię ukryć niedowierzania i odrazy.

W drzwiach stoi Arden, ale nie sam. Towarzyszy mu...

Nasz kamerdyner, Dalton. Zarządca, który jest z nami od zawsze, niezmiennie usłużny i sumienny, o nieskończonych pokładach cierpliwości... Już wiem, skąd ją czerpał.

Dopiero teraz dostrzegam podobieństwo jego liberii do uniformu dowódców Hadesa. Serce krwawi mi na myśl, że wszystkie te lata w naszym domu nic nie znaczą dla tego podłego zdrajcy. Przywieram do Maximusa, gorączkowo przeczesując wspomnienia i zachodząc w głowę, jak to możliwe, że nigdy nie wyczułam jego dwulicowości.

Teraz kłania się z szacunkiem swemu panu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, królu. Jak zawsze.

Choć mówi to ze swoim wytwornym akcentem, wyłapuję w jego głosie złowieszczą nutę, która przywodzi mi na myśl piekło. Drżąc z zimna i upokorzenia, mam wrażenie, że znów tam jestem.

Hades mógłby się o to w jednej chwili postarać. Już raz dowiódł, że przed niczym się nie cofnie. Mimo wszystko walczę z poczuciem tej strasznej rezygnacji, skupiając się na długich, silnych palcach, które oplatają moje ramię. Przywieram do żelaznych mięśni mężczyzny, który nie odstępuje mnie ani na krok. Tylko dzięki niemu się nie poddaję, bez względu na to, jak usilnie Hades próbuje się wedrzeć do mojej duszy i umysłu. To mu się nie uda. Potrzebny jest trzeci czynnik: bliskość i jego palący dotyk.

– Karo, moja droga. – Na fasadzie jego opanowania pojawiają się rysy frustracji. – Nie chcemy przecież kolejnej niepotrzebnej awantury. Poddasz mi się z uśmiechem i uratujesz swoje miasto, rodzinę i przyjaciół albo zaciągnę cię do piekła siłą i będziesz patrzyła na ich koniec.

– Dość./p>

Wbijam zaskoczone spojrzenie w dziadka. W przeciwieństwie do głosu Hadesa w jego aksamitnym tonie nie ma ani jednej zmarszczki. Moje myśli

zdażyły się rozbiegnąć we wszystkie strony świata. Chaos w mojej głowie przybiera formę tornada, gdy dziadek ze stoickim spokojem wciąga powietrze.

– Dusza za duszę, zgadza się? Zostałeś z niej okradziony, więc tylko dusza spłaci ten dług. – Ściąga łopatki i zadziera dumnie brodę. – Weź mnie zamiast niej.

– Dziadku! – krzyczę. – Nie!

Hades przerywa nam wybuchem złośliwego śmiechu.

– A czemu miałbym na to przystać, starcze?

– To ja uciekłem z zaświatów, choć wiedziałem, że tam jest moje miejsce. Byłem zrozpaczony i samotny i wykorzystałem swoje magiczne zdolności, by otworzyć przejście, do którego nie powinienem mieć dostępu. I tak, ukarałeś mnie za to, ale czy sprawiedliwie? Względem mojej córki i jej trojga dzieci?

Chcę na niego nakrzyczeć, ale nie mogę. Nawet bym go uderzyła, ale nie jestem w stanie poruszyć ociężałymi mięśniami. Każda kość, każde więzadło i ścięgno w moim ciele są przytłoczone przerażeniem, jakiego nie znałam. Bezdennym smutkiem.

Przed oczami zaczynają mi się przewijać sceny z życia. Nieproszone tłoczą się w moim umyśle. Dziadek z bujniejszą brodą i bez tyłu zmarszczek dopinguje mnie, gdy stawiam pierwsze kroki. Opowiada mi na dobranoc bajkę o wojowniczej księżniczce, by przegonić moje koszmary. I wreszcie: zjawia się w bibliotece Hadesa, ratując mnie przed najgorszym.

– Żyję na kredyt i chyba wszyscy o tym wiemy. – Wzrusza z pokorą ramionami. – A poza tym... Uzmysłowiłem sobie, że mam pewne niedokończone sprawy w twoim zakątku wszechświata.

Wyjmuje coś z kieszeni spodni, ale przez łzy nie jestem w stanie dostrzec, co to takiego. Mrugam ze złością, by przetrzeć zamglone oczy,

i wtedy go widzę: elegancki pierścień, który zawsze trzymał zamknięty w gablocie. Strzeżony... ale nie zapomniany. To pamiątka rodzinna. Wiem to, bo rubiny i brylanty mają taki sam kształt jak w moich kolczykach. Gdy zapytałam go kiedyś, dlaczego go nie nosi, udzielił mi odpowiedzi, która wówczas wydała mi się zagadkowa. Dopiero teraz rozumiem. Przełykając łzy, zmuszam się, by powtórzyć jego słowa.

– Powiedziałaś, że trzymasz go dla wyjątkowej księżniczki – szepczę. – Z odległej krainy.

Dziadek wciąga powietrze, nie kryjąc targających nim sprzecznych uczuć.

– A teraz muszę go jej wręczyć.

Jego ochryply głos i wilgotne oczy sprawiają, że czuję się jednocześnie mała i wielka. Jestem szczęśliwa z jego powodu i współczuję sobie samej. Nie cierpię swojego egoistycznej żałoby, ale nie jestem w stanie jej powstrzymać.

– Nie.

Gdy tylko słyszę głos Hadesa, wszystkie moje emocje zastygają. Mam ściśnięte gardło i czuję ciężar w piersi. Na twarzach dziadka i Maximusa maluje się to samo napięcie.

– Nie – powtarza bóg zaświatów, przeciągając sylabę z arogancką wesołością. Krzyżuje ręce na piersi i przekrzywia głowę, przywodząc na myśl kata wybierającego najlepszy kąt do zadania ciosu toporem. – Nie zrozum mnie źle, Valari, twoja oferta jest wzruszająca. Ale z niej nie skorzystam.

Na te słowa żegnam się ze zdolnością oddychania. A wraz z nią – mowy.

Dziadek wpycha pierścień z powrotem do kieszeni i rusza do przodu. Ale to Maximus wyskakuje pierwszy ze sprzeciwem.

– Dlaczego?

Na ustach Hadesa pojawia się najzłośliwszy uśmiezek z jego arsenału.

– Z tych samych powodów, które przed chwilą podałeś mi na tacy. – Wskazuje brodą dziadka. – Z technicznego punktu widzenia już odkupiłeś swoje winy. Patrzenie, jak płacisz za nie podwójnie, nie da mi żadnej satysfakcji. A poza tym za parę krótkich lat staniesz się moją własnością po wsze czasy. Stoisz nad grobem, Gio.

Nie tracąc stanowczości, przenosi wzrok na mnie. Gdy oczy zaczynają mu błyszczeć, żołądek podchodzi mi do gardła.

– Ale ta nieustraszona i fascynująca istota... tak oszałamiająca i zachwycająca...

– Przestała być twoją zabawką, Hadesie z zaświatów.

Na dźwięk tego niezziemskiego głosu odwracam się gwałtownie ku niebu, szukając jego właścicielki. Dołącza do mnie Maximus, tak samo zdezorientowany kolejnym przerywnikiem tej konfrontacji. Mam wrażenie, że głos dochodzi... zewsząd. Czuję go w nozdrzach wypełnionych zapachem mirry i jałowca. W oczach nadal wpatrzonych w gwiazdy, jakby lada chwila na ziemię miał spaść ich deszcz. W uszach, w których rozbrzmiewają dzwony i tryle.

A nade wszystko we krwi... która pulsuje dokładnie tak samo jak w chwili, gdy otwierałam księgę zaklęć w bibliotece Hadesa.

Moje zmysły uderza jeszcze potężniejsza fala wrażeń na widok formującego się nad basenem snopu ognia, podobnego do tego, w którym zmaterializował się władca zaświatów. Tyle że teraz płomienie przypominają okruchy lodu rzucające niezwykłą, napawającą grozą poświatę. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku, gdy słup światła krzepnie, przemieniając się w kobiecą postać.

Olśniewająco piękną kobiecą postać.

Jest wysoka i pełna gracji, ma nieskazitelną smagłą cerę i ciemnoblond fale opadające na dumne ramiona, a odziana jest w połyskliwą zieloną suknię podkreślającą jej pełne kształty i długie nogi. Na jej piersi błyszczą złote naszyjniki różnej długości z wysadzanymi klejnotami wisiorami.

Natychmiast rozpoznaję niemal wszystkie symbole na jej biżuterii i czuję mrowienie w opuszkach palców, które dotykały takich samych kształtów na kartach księgi. Czerpiąc z nich energię, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałam...

– Wow – wyduszam szeptem.

– Co tu się dzieje? – Maximus przyjmuje pozycję obronną. – Kim jesteś?

Zaciskam dłoń na napiętych mięśniach jego ręki.

– Nie ma się czego bać. – A przynajmniej mam taką nadzieję.

Maximus mruży podejrzliwie oczy. Hades idzie za jego przykładem, ale z zupełnie innych powodów.

– Hekate.

W odpowiedzi na jego szorstkie powitanie posyła mu olśniewająco promienny uśmiech.

– Hades. – Jej głos jest niczym najtwardsza stal pokryta miękkim jedwabiem. – Gdybyśmy spotykali się w innych okolicznościach, powiedziałabym, że miło cię widzieć.

– Jakżeby inaczej – odpowiada ten z przekąsem, na co bogini uśmiecha się szelmowsko. – Co to ma znaczyć? – pyta ze złością. – Jak widzisz, jestem trochę zajęty. Poza tym nikt cię tu nie zapraszał.

Jej pełne usta się rozchylają, by wybuchnąć lekkim śmiechem.

– A odkąd to potrzebuję zaproszenia? Powinieneś wiedzieć, że mogę się zjawiać, gdzie i kiedy zechcę. I zapewne wiesz już, dlaczego przybyłam.

Przerywa, jakby chciała dać mu szansę na odpowiedź. Ale on tylko dalej gotuje się ze złości, czego chyba również się spodziewała.

– Krew Kary otworzyła księgę – oznajmia. – Wiesz, co to oznacza. Dowiodła, że jest jedną z nas, i nie możesz dla kaprysu porwać jej do piekła. A teraz mi odpowiesz, Hadesie, bym wiedziała, że wszystko pojąłeś.

Mam wielką ochotę się odwrócić, by zobaczyć jego reakcję, ale tego nie robię. Wystarczy mi wiązanka przekleństw, jaką wyrzuca z siebie z wściekłością.

– Hadesie... Nie masz prawa jej tknąć. Podobnie jak Zeus. Możesz się dalej dąsać jak dziecko albo przełknąć tę stratę i zająć się nowymi podbojami.

Obraca się w stronę swojego dzieła zniszczenia rysującego się na horyzoncie. Chaos i ruiny. Piekło na ziemi. Gdy w końcu się odzywa, ledwie go słychać.

Hekate odchrząkuje.

– Mógłbyś powtórzyć?

– Tak. Tak, zadowolona? Zrozumiałem. Możesz ją sobie wziąć. I tak mi się... znudziła.

– Cudownie! – Gdy arcy czarodziejka kiwa głową, ciepły wietrzyk podrywa końcówki jej włosów. Podziwiając gwiazdy błyszczące w jej lśniących puklach, mogę się obyć bez zdolności mowy. Ale dziękuję Bogu, że jej głos działa bez zarzutu. Z zadartą brodą raz jeszcze zwraca się do Hadesa.

– A teraz przyjmiesz szczodłą ofertę Giovaniego Valariego i wrócisz do swojego królestwa, nie wyrządzając więcej krzywd na ziemi.

– Tylko tym razem! – wyrzuca z siebie Hades. – Nie zgadzam się na trwałe embargo na te słabe istoty z ich żalostnego wymiaru. Dobrze o tym wiesz.

– Nie pozwalasz mi zapomnieć – odpowiada pojednawczo Hekate.

– Więc powiedz to głośno – nalega bóg.

– Przysięga wygaśnię, gdy znów wrócisz na ziemię – spełnia jego prośbę czarodziejka. – Ale jeśli nie zakończysz tematu, następną wizytę złożysz bez swojej świty. – Kołysze się z gracją na piętach, unosząc brwi. – Przyjmujesz propozycję Valariego?

– Niech będzie – bąka pod nosem Hades. – Przyjmuję.

– Nie. – Wszystkie moje struny głosowe uaktywniają się naraz. – Nie. Błagam! – Przełamując strach, ruszam w stronę Hekate z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. – Błagam. – Padam na kolana. – Jako jedna z was... Oszczędźcie mojego dziadka!

– Karo. – Dziadek klęka przy mnie na trawie, ściskając moje drżące ramiona. – Hej, biedroneczko.

– Nie rób tego – łkam i rzucam mu się w objęcia. Przytulam twarz do jego piersi i wdycham jego nieodłączny zapach rumianku i cantuccini... wiedząc, że robię to po raz ostatni. Żadne błagania na nic się nie zdadzą. – Proszę, dziadku – powtarzam mimo to. – Nie rób tego... Czy możemy...

– Na to nie ma zaklęcia, mój skarbie. – Jego szept jest jak spokój po burzy. On zawsze był moją opoką, teraz jednak czuję, że ten gład się osuwa, podmywany deszczem tego, co nieuchronne, poddając się siłom, z którymi nie można wygrać. Przynajmniej na razie. – To najlepsze wyjście. Powinienem był to zrobić dawno temu. – Z jego piersi wrywa się ciężkie westchnienie. – Ale wtedy nie podarowałbym światu ciebie. Więc może jednak podążałem właściwą drogą.

Czuję ucisk w piersi, a w oczach zbierają mi się łzy. Wszystko mnie boli. Drżąc, oplatom ręce wokół jego szyi.

– Boję się.

– To dobrze – szepce. – Wierz mi, strach jest dobry, jeśli motywuje do działania. Nie zatrzymuj się, Karo. Twoja wędrówka dopiero się rozpoczyna. I jakaż to będzie wspaniała przygoda!

– Tego nie możesz wiedzieć – szlocham cicho. – Nie możesz wiedzieć...

– Ale wiem. – Odrywa się ode mnie, lecz nadal jest na tyle blisko, by przyłożyć czule dłoń do mojego policzka. – Widzę to wyraźnie w pewności siebie, którą zyskałaś... Widzę jasne światło twojej nowej siły.

Pociągam nosem i ściągam brwi.

– Mojej nowej...

– Wiesz, o czym mówię – podkreśla. – Wiesz to, bo dała ci odwagę, by nie tylko stworzyć księgę zaklęć, ale i czerpać z niej naukę. Wiesz to, bo widzisz ją spotęgowaną po stokroć za każdym razem, gdy patrzysz na Maximusa.

W to jestem skłonna uwierzyć, ale Maximus podchodzi, jakbym potrzebowała dowodu. I rzeczywiście: dostrzegam tę siłę w rysach jego pięknej twarzy, w jego spojrzeniu pełnym zachwyty i ruchach muskularnej sylwetki. A nade wszystko czuję płynące z głębi jego serca uwielbienie, miłość i oddanie.

Zmuszam się do opanowania. Zaczerpnąwszy powietrza, podnoszę wzrok na dziadka i nasze spojrzenia się spotykają.

– Znajdziesz sposób, żeby się czasem odezwać? – wyduszam z siebie. – Proszę.

– Oczywiście. – Odrywa dłoń od mojego policzka, by pokazać na moje serce. – Ale jeżeli będziesz mnie potrzebować, znajdziesz mnie tutaj.

Kiwam z niechęcią głową.

– Wiem, dziadku. Wiem.

Przyciąga mnie do siebie i mocno przytula.

– Kocham cię, biedroneczko.

– Ja też cię kocham. Tak bardzo, dziadku. Tak bar...

Ale już za późno.

Łzy kapią mi na kolana, a ramiona obejmują powietrze.

Dopóki nie materializuje się w nich Maximus. Przyciska mnie do serca, obejmuje mnie silnymi ramionami, a jego usta są cieplejsze od światła bijącego od Hekate, które spowija nas niczym błogosławieństwo... Nagle uzmysławiam sobie, że to nie tylko metafora.

– *Quod tuum est* – deklamuje bogini, wyciągając rękę. – *Et tu es eius. Exposita est in mundo.* – I drugą.

Gdy odwracam głowę, by się jej pokłonić, Maximus pyta szeptem:

– To jakieś nowe zaklęcie?

Ujmuję w dłonie jego twarz i napawam się nieziemską urodą mojego półboga.

– Nie jestem pewna, ale chciałabym, by nim było.

Unosi kącik ust.

– Tak?

Z uśmiechem przekładam zaklęcie na jego użytek:

– „On należy do ciebie, a ty należysz do niego. Tak zapisano we wszechświecie”.

Jego oczy ciemnieją, a twarz łagodnieje. Jestem szczęśliwa, że po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, znajduje pociechę w tych słowach. Dobrze wiem, że to jeszcze nie koniec.

„Jakaż to będzie wspaniała przygoda”.

Daleko mi do entuzjazmu dziadka, ale dzięki błogosławieństwu Hekate zgadzam się z nim co do jednego: jestem silniejsza. Gotowa do walki.

Mogłabym rzucić wyzwanie całemu światu. I czuję, że będę potrzebowała swojej nowej siły. Bardziej niż kiedykolwiek.

Wbrew podmuchom wiatru suknia Hekate zdaje się unosić, rodząc bezcielesne sylwetki, które zawisają nad jej ramionami. To jej bliźniacze dusze o różnych kolorach skóry i włosów, które łączą się z nią w geście błogosławieństwa. A przed moimi oczami otwiera się mglista kraina, tak różna od piekła, że od razu pojmuję, co to za miejsce.

– Karo – władczy głos Hekate przywołuje mnie do rzeczywistości.

O ile rzeczywistym mogę nazwać spotkanie z arcy czarodziejką udzielającą błogosławieństwa mi i mojemu chłopakowi-półbogowi.

Nie. Maximus jest już kimś innym. Kim on się stał?

Kim my się staliśmy?

„Tak zapisano we wszechświecie...”

Nie wiem, co to znaczy, ale bardzo mi się te słowa podobają. Choć nawet nie w połowie tak jak on. Miłość przepęlnia mi serce i wskazuje drogę mojej duszy. Moja wiara w nią pozostaje niewzruszona nawet wtedy, gdy następne słowa bogini napełniają mnie nieznanym lękiem.

– Karo Valari, jesteś zrodzona z ziemi. W twojej krwi śpiewa ogień piekielny, lecz twoja dusza deklamuje słowa niebiańskich dusz. Płynie w tobie dar magii. Nie należysz do żadnego boga i do żadnego wymiaru. Czy wiesz, co to oznacza?

Przełykam z trudem i kręcę głową. Bo jej słowa znaczą wszystko i nic zarazem. To dla mnie zbyt wiele, zbyt wiele jak na jeden wieczór.

– Jesteś teraz mostem, Karo. Mostem między światami. I nie tylko. – Posyła mi promienny uśmiech. – A ja będę twoją przewodniczką.

Uzmysławiam sobie, że i ja się uśmiecham, ale nagle uderza mnie trzeźwiąca myśl.

– A Maximus...

– Jest w twojej wędrówce ważniejszy niż ktokolwiek i cokolwiek innego – zdradza. – Nawet księga zaklęć. Wasze losy są na zawsze splecione.

Jej słowa wlewają w moje serce nadzieję, ale nie chcę wpadać w euforię. Zerkam na Maximusa, zastanawiając się, czy dręczą go podobne wątpliwości. Jeśli sądziłiśmy, że do tej pory nasz związek rozwijał się z prędkością światła...

Gdy jednak widzę linie jego pięknej twarzy, uśmiecham się. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak szczęśliwego. Oczy mu błyszczą. Głowę ma dumnie uniesioną. Jest mężczyzną moich marzeń – nawet tych, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Nachyla się i ujmuje z czułością mój policzek. Gdy jego usta dotykają moich, przelewam w niego swój oddech, myśli i każde uderzenie serca. Ból i wdzięczność mojej duszy, namiętność ciała – wszystko to należy do niego. Na zawsze. Składam to w najwymowniejszą deklarację, jaką mogą wyrazić moje usta.

– Tak bardzo cię kocham, Maximusie.

– I ja ciebie – wyznaje, zanim nasze dłonie i usta na powrót się łączą. – Tam, gdzie pójdziesz ty, pójdę i ja. – Mruga do mnie, jakby wyczuwał, że potrzebuję uśmiechu. – Do dzieła.

Zanim mamy szansę przypieczętować to kolejnym pocałunkiem, Hekate wyciąga do nas rękę.

– Ruszajmy zatem. Mamy wiele do zrobienia.

PODZIĘKOWANIA

Ta powieść, ta seria i wyjątkowy świat Maximusa i Kary nie powstałyby bez pomysłów, pasji i entuzjazmu mojej współautorki. Dziękuję, Angel, za Twój udział w tym projekcie i motywowanie mnie, gdy życie rzucało mi kłody pod nogi.

Szczególnie dziękuję całemu zespołowi Waterhouse Press za cierpliwość i wsparcie.

Dziękuję, mamó, że zawsze mnie dopingowałaś, gdy najbardziej tego potrzebowałam. I że przypominałaś mi, żebym o siebie dbała.

Meredith

Jestem niezmiernie wdzięczna cudownej Meredith Wild za zaproszenie mnie w podróż z Maximusem i Karą. Współtworzenie z Tobą to ogromny zaszczyt i przyjemność.

Pisanie w czasie globalnej pandemii to nie lada sztuka, mówiąc eufemistycznie. Dziękuję z całego serca moim przyjaciółkom, które ściągały mnie z niejednego gzymsu i przesyłały wirtualne uściski: Carey Sabali, Cynthii Gonzales, Victorii Blue oraz Marcie Frantz. Jesteście boginiami!

Chciałabym również serdecznie podziękować wspaniałemu zespołowi Waterhouse Press. Co dzień podziwiam Wasz talent, pasję i wsparcie. Dziękuję wszystkim i każdemu z osobna!

Gromadko Payne Passion: jesteście światłem mojego życia! Dziękuję za wszystko!

Angel

MEREDITH WILD



Bestsellerowa pisarka z list „New York Timesa” i „USA Today” znana na całym świecie. Po opublikowaniu swojej debiutanckiej powieści *Hardwired* (polski przekład: *Jesteś tylko moja*) we wrześniu 2013 roku, czerpiąc z dziesięcioletniego doświadczenia przedsiębiorczyni w branży technologicznej, self-publishing zamieniła na półki księgarń w Stanach Zjednoczonych i poza nimi.

W 2014 roku założyła własny imprint Waterhouse Press, z którym osiągnęła status bestsellerowej pisarki „New York Timesa” i „Wall Street Journal”. Gościła w programach *This Morning* oraz *Today Show* stacji CBS, a także na łamach czasopism „Hollywood Reporter”, „Publishers Weekly” oraz „Examiner”. Jej powieści wydano w dwudziestu trzech krajach świata.

Strona internetowa autorki: MeredithWild.com

ANGEL PAYNE



Autorka bestsellerowych romansów z listy „USA Today”, specjalizuje się w gorących historiach niezapomnianych samców alfa i zakochanych w nich kobiet. Spod jej pióra wyszły liczne serie książkowe, w tym trzymająca w napięciu Bolt Saga oraz Honor Bound, Secrets of Stones (wraz z Victorią Blue), Cimarron wraz z częścią Temptationn Court, Suited for Sin, Lords of Sin. W jej dorobku znajdują się również pojedyncze tytuły.

Jako rdzenna mieszkanka Południowej Kalifornii uwielbia naturę, na której łonie często czyta i pisze. Została w swoim rodzinnym stanie, gdzie mieszka razem z ukochanym mężem i piękną córką, miłośniczką cosplayu. Uwielbia podróżować, kupować buty i degustować whisky.

Strona internetowa autorki: AngelPayne.com

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Podziękowania](#)

[Meredith Wild](#)

[Angel Payne](#)

[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Fate of Storms

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Małgorzata Denys

Opracowanie graficzne okładki: Marta Lisowska

Projekt i zdjęcie na okładce: © Regina Wamba

Copyright © 2021, Waterhouse Press, LLC

Copyright © 2022 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki

an imprint of Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pismennej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-67247-45-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek